TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 8 – 14 lipca 2026 | nr 28 (4018)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Schizma u lefebrystów: wersja polska

Wołyń: głos potomka ocalonych

Córka i ojciec: nasz kryzys psychiczny

Eliza Kącka: dlaczego wrócił surrealizm

Mundial: Messi, Vozinha i stary atlas

OZEMPIC DLA WYBRANYCH

CO EKSPLOZJA POPULARNOŚCI NOWYCH LEKÓW NA OTYŁOŚĆ MÓWI O NASZEJ KULTURZE

STR. 10-15

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

epresa.pl 1f261a21cb

TYGODNIK POWSZECHNY

Droga od powojennej tymczasowości do dojrzałego zakorzenienia.

Poznaj niezwykłe losy mieszkańców Ziem Zachodnich i Północnych.

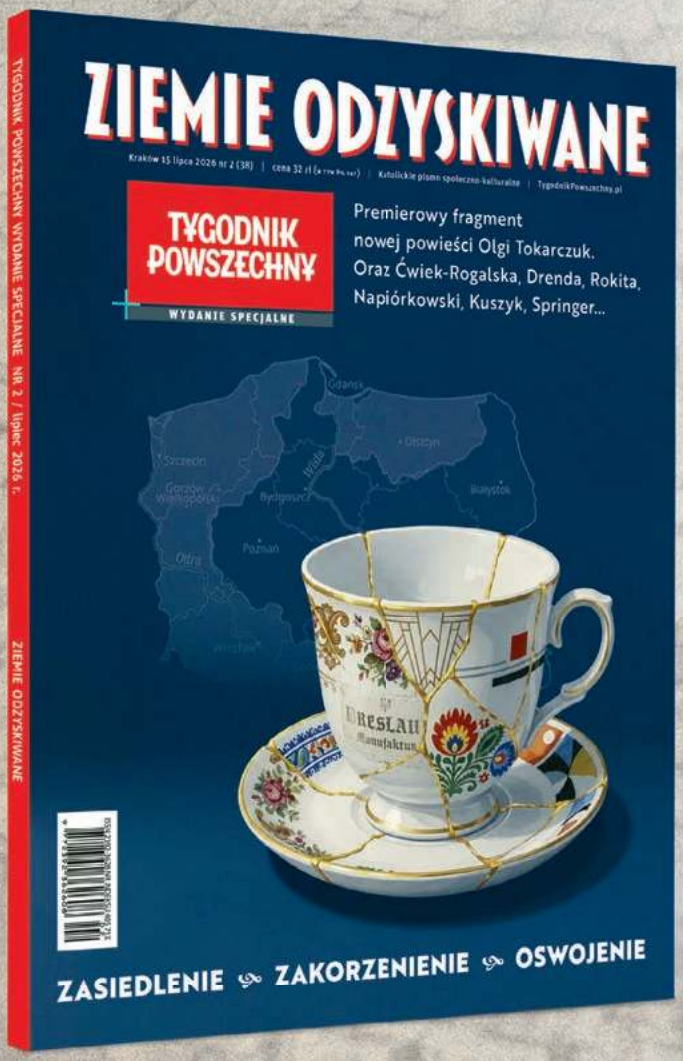

TYLKO U NAS!
Przedpremierowy fragment nowej powieści Olgi Tokarczuk. Sprawdź, na co czeka cały literacki świat!

Zamów nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego" już teraz w przedsprzedaży na: sklep.tygodnikpowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 1f261a212b

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Warszawa nie ma co jeść
MAREK RABIJ

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 System na skraju załamania
PATRYK SŁOWIK: *Wydatki na ochronę zdrowia rosną z roku na rok, a dostęp do lekarza się pogarsza*

20 O pamięć prawdziwą
JĘDRZEJ SOLIŃSKI: *Obserwując polsko-ukraińską awanturę o Wołyń, mam wrażenie, że politycy z obu krajów okradają nas, potomków polskich mieszkańców zachodniej Ukrainy, z pamięci i emocji*

22 Mądrość w porcelanie
ROZMOWA Z DANIELEM ZASADĄ Z MUZEUM ZABAWEK W KRYNICY *o zabawkach dawniej i dziś*

■ ■ PSYCHE

26 Trzeba się zamknąć. I być

FILIP KLIMASZEWSKI DLA „TP"

ROZMOWA Z HANIĄ I BŁAŻEJEM KMIECIAKAMI, CÓRKĄ I OJCEM, *o kryzysie psychicznym dziecka i wspólnym zdrowieniu*

■ ■ ŚWIAT

32 Gdzie Jezus ma twarz Majów
STANISŁAW STRASBURGER: *464 lata temu w miejscowości Maní na Jukatanie hiszpański inkwizytor kazał spalić dorobek piśmiennictwa Majów*

36 Mister Lis ma głos
PATRYCJA BUKALSKA *o ekscentrycznych kandydatach w brytyjskich wyborach*

38 Eden wysycha
IGOR KUŚMIERSKI: *Miejsce, które tradycja wiąże z biblijnym rajem, tętniło życiem przez tysiące lat. Aż do dziś*

40 Mołdawski błam
JULIUSZ PIELICHOWSKI: *Choć pod rządami prezydentki Mai Sandu kraj jest na prozachodnim kursie, wciąż targają nim sprzeczne interesy*

TEMAT TYGODNIKA

10 Ozempic dla wybranych
MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Przynoszą szansę dla ludzi borykających się z otyłością, ale i wielki eksperyment na całym społeczeństwie. Sprawdzamy, jaki jest bilans Ozempicu oraz innych analogów GLP-1. I co eksplozja ich popularności mówi o naszej kulturze.

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

■ FELIETONY ■
9 BARTOSZ MINKIEWICZ
25 OLGA DRENDA
43 WOJCIECH BONOWICZ
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE: PRZEMYSŁAW GAWLAS I MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ WIARA

44 Oaza czy oblężona twierdza
DAWID GOSPODAREK: *Obok ekskomunikowanych przez Watykan lefebrystów istnieją środowiska tradycjonalistyczne działające w ramach Kościoła katolickiego. Ich liczebność w Polsce gwałtownie wzrosła*

48 Modlitwa Jezusowa i zikr
MACIEJ BIELAWSKI *o dwóch tradycjach mistycznych – prawosławnej i muzułmańskiej*

50 Podkastowe nieposłuszeństwo
ROZMOWA Z ANNE GUILLARD, TEOLOŻKĄ: *Można żyć wiarą i być katolikiem, nawet jeśli się jest na marginesie wspólnoty*

53 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

54 Listy do redakcji

■ ■ HISTORIA

56 Król, hetman i wojna domowa
MACIEJ MÜLLER: *360 lat temu w bitwie pod Mątwami pogrzebano reformę państwa forsowaną przez króla Jana Kazimierza. Czy gdyby się udała, wiek później uniknęlibyśmy rozbiorów?*

■ ■ NAUKA

60 Wykuci w ogniu
KASPER KALINOWSKI: *Nauka zgadza się z mitami: opanowanie ognia było kluczowym etapem naszej historii*

■ ■ KULTURA

64 Słonie są zaraźliwe
ELIZA KĄCKA: *Surrealizm powraca*

69 Nieustanna walka
JAN BŁASZCZAK: *Choć System of a Down nie nagrywa muzyki od 20 lat, nie znaczy to, że postanowił milczeć*

72 Więcej niż zagadka
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK *o „Zniszczonej mapie" Kōbō Abe, powieści detektywistycznej na opak*

74 Domówka
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Zaproszenie" w reżyserii Olivii Wilde*

75 Sztuka życia
LEKTOR *o dziennikach „Ściszonym głosem" Kazimierza Wiśniaka*

■ ■ ZMYSŁY

78 Messi, Vozinha, Cabral i stary atlas
MICHAŁ OKOŃSKI *o nieoczekiwanie najlepszym meczu mundialu*

eprasa.pl 1f261a212b

KS. ADAM

Boniecki: *Moja medytacja*

Najdawniejsze wspomnienie: zakonne początki. Mistrz nowicjatu, cierpliwy i mądry, i moje wysiłki, by opanować wszystko, czego nowy sposób życia ode mnie wymaga. Jedne rzeczy wydawały się łatwe, inne trudne. Trudna była właśnie medytacja – ale prowadzona przez mistrza jakoś dała się wytrzymać. Gorzej było potem. Jako klerycy byliśmy zdani na siebie. Dawano nam książki do rozmyślania. Przyznam, że nie bardzo się w nich odnajdywałem. Na szczęście było Pismo Święte, do którego można było się schronić . Czy była to lektura, czy medytacja, nie wiem.

Potem przyszło kapłaństwo. Doskonałym sposobem medytowania przez tydzień było obmyślanie niedzielnego kazania. Nieświadomy, że pomijam mądre zasady medytacji św. Ignacego, oglądałem teksty nadchodzącej niedzieli, czytając je wielokrotnie. Wiedziałem już, że nie można tak po prostu siąść i napisać kazanie. Wiedziałem, że potrzebny jest czas. Ranne rozmyślanie „odprawiałem" chyba niezbyt dobrze. Niestety, rano nie myśli mi się najlepiej, ale tak są skonstruowane nasze zakonne modlitwy, że rozmyślanie rano albo wcale... W sumie przez te lata owego „wcale" było sporo. *Mea culpa.*

Czy są książki „do rozmyślań"? Oczywiście mnóstwo, wystarczy popatrzeć w ławki jakiejkolwiek kaplicy klasztornej. Czy są dobre? Pewnie tak, skoro zapełniają klasztorne kaplice. A jednak nigdy się w nie nie zagłębiałem. Ta szczerość nie przychodzi mi z trudem: nie będę udawał skruszonego grzesznika, skoro nim nie jestem.

GRAŻYNA MAKARA

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

PRZEMYSŁAW

Wilczyński: *Klasa otyłych*

Dobry tytuł jest na wagę złota, deliberacje nad dobrym tytułem trwają czasem dłużej niż pisanie kilku akapitów tekstu. Bywa, że dobry tytuł – tu odkrywam skrawek redakcyjnej kuchni – musi wylądować w koszu. Bo się nie mieścił albo odwrotnie: był za krótki. Bo podobny jest już w numerze i redaktor – ku swej zgryzocie, ale i radości – odkrył to w ostatniej chwili. Bo choć trafny, mógł być niestosowny.

Właśnie z tego ostatniego powodu tytuł „Klasa otyłych" – widniejący początkowo przy świetnym raporcie Michała Kuźmińskiego – został zastąpiony innym. Choć oddaje statystyczną prawdę (bieda zwiększa ryzyko otyłości), może też być odczytany jako stygmatyzujący. A ja go sobie bezwstydnie wyciągam z kosza z czystym sumieniem: kontekst, w którym go użyję, jest tyleż smutny, co sterylnie egalitarny.

Otóż w polskiej szkole istnieją już klasy, w których większość uczniów stanowią osoby otyłe bądź z nadwagą. To ponury paradoks: w czasie, gdy świat celebrytów porzuca ideę

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL
ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 31
SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 1f261a212b

Grzesznikiem może tak, ale niestety nie skruszonym. Zresztą teraz, kiedy jestem stary, patrzę na to nieco inaczej. Jeśli medytacja ma być modlitwą myślną, a zakonnik ma być „mężem modlitwy", to nie może być ona lekturą zapisu cudzych myśli. Co nie znaczy, że żadna cudza myśl się nie przydaje: zdanie zapisane przez kogoś innego może zmienić życie, wyprostować drogę. Wszystko jedno: w książce „do rozmyślań" czy w czymś nienabożnym.

Jakie z tego wnioski? Pierwszy dotyczy własnej niedoskonałości. Nie nauczyłem się medytacji i trudno to pod koniec życia nadrobić. Drugi wiąże się z nadrabianiem braków wynikających z pierwszego. Brak umiejętności aplikowania metod medytacji nie oznacza przecież zaniedbania jej samej. Jakoś te medytacje przecież praktykowałem: było to z pewnością rozważanie, myślenie, często modlitwa dotycząca mojego życia i spraw, którymi żyłem.

Najtrudniej napisać to, co napisać trzeba teraz. Dziś nie ma u mnie specjalnego czasu na medytację (pół godziny w pacierzach). Gdy mój wiek i stan mówią mi, że w każdej chwili mogę z tego świata odejść, nie „odprawiam" medytacji, a zarazem stan medytacyjny prawie mnie nie opuszcza. Po prostu tak jest, bez żadnego z mojej strony wysiłku. Jak człowiek czekający na pociąg czyta albo rozmawia, albo coś je lub się gapi, a w istocie czeka na pociąg i to jest główne jego zadanie, tak ja u schyłku życia czekam na odjazd.

Czekanie nie jest tak absorbujące, żeby nic innego nie można było robić. Więc żyję plus minus normalnie, ale nade wszystko czekam na odjazd. Czy to jest stan permanentnej medytacji? ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

„ciałopozytywności" z ozempikowym penem w ręku, by walczyć na śmierć i życie o szczupłą sylwetkę, szkoła idzie w drugą skrajność i mówi: wasze zdrowie mamy w nosie. Bo gdyby było inaczej, któryś z rządów przestałby gadać o „likwidacji plagi zwolnień z wuefu", a zrobiłby z tą plagą porządek.

Inna sprawa, że to też wina rodziców, w końcu to oni te zwolnienia piszą. Badania Fundacji Szkoła z Klasą pokazały, że wuef to przedmiot cieszący się najmniejszym wzięciem rodziców w czasie zebrań – traktowany jest jak piąte koło u wozu. Jeśli znajdzie się mądry, który to zmieni, zasłuży na miano prawdziwego – a nie papierowego – reformatora szkoły.

Na razie mamy plagę zwolnień, plagę nadwagi, a wszystko to – tu kolejny paradoks – w apogeum sporu o edukację zdrowotną. Przedmiot ten jest skądinąd potrzebny także z tego powodu: by zarysować wyraźną granicę między chudnięciem w pogoni za niedościgłym wzorcem estetycznym a tym dla zdrowia właśnie.

Naturalnie, że dla tej niewypełnianej przez szkołę ponadklasowej roli jest alternatywa: Ozempic. Ale z tekstu na kolejnych stronach dowiemy się także i tego: że farmakologia jest alternatywą niepewną i nie dla wszystkich. ©℗

Redaktor i dziennikarz „TP" piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło".

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

BEATA CHOMĄTOWSKA, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Ciąg dalszy reporterskiego cyklu o traumie sanatoryjnej: jak sobie poradzić z krzywdą sprzed lat?

MAGDA WOLNA DLA „TP"

SYLWIA CZUBKOWSKA:
Dlaczego młodzi ludzie nienawidzą sztucznej inteligencji?

DARIA ZE ŚLĄSKA:
Chcę, by moje piosenki były jak filmy Tarantino

MAREK WĘCOWSKI:
„Iliada" na czas wojny, „Odyseja" na czas pokoju. Rozmowa na premierę filmu Christophera Nolana

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 1f261a212b

OBRAZ TYGODNIA

29 CZERWCA – 5 LIPCA 2026

PORZĄDKI W WARSZAWIE: prezydent miasta Rafał Trzaskowski przyjął dymisję dwóch wiceprezydentek, a premier Tusk odgraża się, że jeśli nie otrzyma precyzyjnych rekomendacji dotyczących ochrony zdrowia, również podejmie decyzje, „także personalne". To pokłosie ujawnianych przez Kanał Zero i Onet afer w stołecznym Szpitalu Południowym, związanych nie tylko z istnieniem w placówce saloniku VIP, omijaniem kolejek do świadczeń i bardzo wysokimi zarobkami, ale też sytuacją w prosektorium, którego zwierzchnik promował firmę pogrzebową swojej wspólniczki oraz publikował w mediach społecznościowych zdjęcia ciał i szczątków ludzkich. ▪▪▪ **UKRAIŃSKI PARLAMENT** przyjął ustawę o Panteonie Narodowym, w którym mają spocząć „najlepsi synowie i córki narodu". O tym, czy będą wśród nich odpowiedzialni za mordy Polaków założyciele UPA, na razie nie wiadomo; o napięciu wywołanym przez tę inicjatywę rozmawiali szefowie MSZ Polski i Ukrainy, a Radosław Sikorski powiedział, że „dyplomacja woli ciszę i wymaga tego, by emocje opadły". ▪▪▪ **RZĄD ODTAJNI** informacje o skali pomocy dla Ukrainy w latach 2022-2026 (także za czasów poprzedniej władzy) w związku z pojawiającymi się w przestrzeni publicznej – kolportowanymi także przez polityków PiS i Kancelarii Prezydenta – informacjami, że Warszawa w ostatnich miesiącach przekazała Kijowowi część pocisków do baterii przeciwlotniczych Patriot, co miało osłabić nasz potencjał obronny. ▪▪▪ **LEX SZARLATAN** zostało przyjęte przez parlament: ustawa mająca wyeliminować z rynku i internetu groźne dla zdrowia i życia usługi niezgodne z bieżącą wiedzą medyczną, na etapie konsultacji społecznych oprotestowywana przez grupy zielarzy, akupunkturzystów i homeopatów, przeszła mimo sprzeciwu Konfederacji i wstrzymania się od głosu większości posłów PiS. ▪▪▪ **ZAKAZ SMARTFONÓW** w szkołach i przedszkolach Sejm przyjął za to niemal jednogłośnie. ▪▪▪ **ZBIGNIEW ZIOBRO** wraz z żoną Patrycją Kotecką i Marcinem Romanowskim stracili status uchodźcy i dokumenty podróży wydane przez Węgry. ▪▪▪ **250 LAT USA.** „Najlepsze dopiero przed nami" – oświadczył Donald Trump z okazji jubileuszu niepodległości swego kraju; przemówienie zostało opóźnione z powodu zagrożenia burzą. ▪▪▪ **W TRZĘSIENIU ZIEMI** w Wenezueli zginęło co najmniej 2595 osób, a 12,4 tys. zostało rannych. ▪▪▪ **NA GOTLANDII** brakuje wody: lokalne władze rozdają turystom specjalne mydło do kąpieli w Bałtyku. ▪▪▪ **LEFEBRYŚCI** wyświęcili czterech biskupów bez zgody Watykanu, ściągając tym samym na siebie ekskomunikę. ▪▪▪ **KARD. GRZEGORZ RYŚ** powołał komisję do zbadania zjawiska wykorzystywania seksualnego dorosłych, skrzywdzonych w sytuacji bezbronności lub zależności na terenie archidiecezji krakowskiej po 1945 r. ▪▪▪ **PONAD 100 NOMINACJI** profesorskich wręczył polskim naukowcom prezydent Nawrocki. Na liście kolejny raz zabrakło, mimo decyzji Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów z 2018 r. oraz późniejszego wyroku Naczelnego Sądu Administracyjnego, prof. Michała Bilewicza z UW. ©℗

RAFAŁ GUZ / PAP

POWYŻEJ: Fundacja Daj Herbatę w każdy poniedziałek pod Dworcem Centralnym w Warszawie wydaje gorące posiłki, kawę, herbatę i małe paczki na wynos. Listopad 2025 r.

WARSZAWA NIE MA CO JEŚĆ

Kilka lat dobrej koniunktury dało rządzącym łatwe usprawiedliwienie dla lekceważenia ubóstwa. Tracimy być może najlepszą szansę na systemowe opanowanie problemu biedy w Polsce.

MAREK RABIJ

Jeżeli coś nazywa się „Badaniem Budżetów Gospodarstw Domowych", trudno doprawdy oczekiwać, by omówienie takiego dokumentu przebiło się

eprasa.pl 1f261a212b

Eurobieda

BEZPOŚREDNIE PORÓWNANIA krajowych i europejskich wskaźników dobrostanu materialnego bywają trudne, a czasem po prostu nie mają sensu, bo w ich konstrukcji występują zbyt duże różnice. Polska stosuje podejście *stricte* wydatkowe, mierząc co roku wartość koszyka produktów i usług niezbędnych dla funkcjonowania na najbardziej podstawowym, niezagrażającym zdrowiu i życiu poziomie.

EUROSTAT w swoim AROPE woli tymczasem podejście bardziej złożone i poza dochodami gospodarstwa domowego uwzględnia także czynniki niejako wynikające ze stanu portfela, które znacząco upośledzają zdolność do poprawy własnych warunków życiowych. Zagrożenie ubóstwem w ujęciu Eurostatu to nie tylko brak pieniędzy, ale także np. brak samochodu, który ogranicza dostęp do kultury, albo warunki lokalowe, które utrudniają zarobkowanie.
©℗ MR

na czołówki serwisów informacyjnych. Polskie media o statystykach ubóstwa piszą i mówią okazjonalnie, w czym podświadomie naśladują polską klasę polityczną. No właśnie, kiedy ostatnio słyszeli Państwo kogoś z rządu lub opozycji mówiącego o ubóstwie i wykluczeniu?

ZADOWOLENI | Politycy mają na to łatwiutkie wytłumaczenie. Bieda we współczesnej Polsce ma charakter marginalny, występuje punktowo, nie potrzebuje więc namysłu systemowego. Wystarczą zasoby państwa i jego instytucji, by nie dać się jej ponownie rozkręcić, jak miało to miejsce w latach 90. ubiegłego stulecia. Argumentów dla takiego sposobu myślenia na pierwszy rzut oka dostarcza wspomniane powyżej badanie GUS, z którego wynika, że skrajnym ubóstwem (za tym statystycznym eufemizmem często kryje się egzystencjalny dramat ludzi, którym w oczy zagląda po prostu głód i choroby) zagrożonych było w ub. roku 5,3 proc. mieszkańców kraju, minimalnie więcej niż w 2024 r. Owszem, mowa o rzeszy ludzi równej mniej więcej populacji Warszawy, ale problem biedy w przekładzie na język doraźnej polityki sprowadza się do trendów. Dopóki nie ma znaczących przyrostów odsetka zagrożonych skrajnym ubóstwem, dopóty nie ma sprawy. W targach z elektoratem poręczniejszą monetą są zapowiedzi ambitnych projektów infrastrukturalnych czy opowieści o doganianiu Wielkiej Brytanii. A może i Niemiec, cóż szkodzi obiecać?

NIEDOSZACOWANIE | Tymczasem eksperci od polityki społecznej i walki z wykluczeniem od lat proszą o drobnostkę, której wprowadzenie może realnie poprawić byt tysięcy najuboższych polskich rodzin. Chodzi o zmianę fatalnej w skutkach metody waloryzacji progów uprawniających do skorzystania z pomocy społecznej, która zmienia się raz na trzy lata. Ostatnia miała miejsce w styczniu ub. roku, na kolejną poczekamy więc do roku 2028 (choć przepisy dają Radzie Ministrów możliwość dokonywania tej zmiany co 12 miesięcy). Aby skorzystać z pomocy państwa, trzeba obecnie dysponować dochodami na poziomie do 1010 zł dla osoby gospodarującej samotnie lub do 823 zł na osobę w przypadku rodziny. W przyszłym roku również. W tym samym czasie państwo polskie piórami własnych statystyków GUS oszacuje i ogłosi nowe progi minimum egzystencji, które pójdą w górę, bo tak po prostu działa inflacja. W efekcie wzrośnie liczba Polek i Polaków, których formalnie uznaje się za zagrożonych skrajnym ubóstwem, ale nie mają prawa do pomocy społecznej z jednego prostego powodu – bo ich dochody o kilkanaście, a czasem i kilka złotych wystają poza tzw. próg interwencji społecznej. Można by w tym dopatrywać się nawet makiawelicznej próby strzyżenia statystyk liczby uprawnionych do takiego wsparcia, gdyby rzeczywistość nie była jeszcze gorsza. W maglu polskiej polityki nikt się tym po prostu nie przejmuje.

OKIEM EUROSTATU | Dobre samopoczucie naszej klasy politycznej może brać się także z lektury danych unijnego Eurostatu, który pokazuje, że w walce z ubóstwem Polska poczyniła spore postępy i w efekcie lokuje się dziś w gronie państw Wspólnoty, które mają z tym relatywnie najmniejszy problem. Unijny wskaźnik AROPE (At Risk of Poverty or Social Exclusion) dla naszego kraju wyniósł w ub. roku 15 proc. i był drugim najniższym wśród 27 krajów Wspólnoty (lepiej z biedą i wykluczeniem radziły sobie jedynie Czechy). Średnia dla całej UE wyniosła aż 20 proc. Łagodna ocena skali i dotkliwości polskiego ubóstwa w wykonaniu unijnych statystyków po części jest jednak efektem metodologicznym (patrz ramka obok), a w części bierze się nadal z dziedzictwa PRL, nie działań rządzących. Blisko 90 proc. polskich seniorów dysponuje np. własnym mieszkaniem i nie obawia się wahań cen na rynku najmu. W całej Unii ten sam odsetek sięga obecnie 67 proc.

CZAS NA PLAN B | Bieżąca polityka mogłaby za to zrobić coś na przyszłość. Polska nie tylko szybko się bogaci, ale także wyludnia. Za kilka lat – to nie tania figura retoryczna, lecz opis sytuacji – będzie się tu liczył każdy człowiek. Dlatego już teraz, korzystając z ostatnich promyków potransformacyjnej koniunktury, Polska winna szykować się na lata mniej tłuste. Do listy wielkich projektów cywilizacyjnych obok CPK, elektrowni jądrowych i super szybkiej kolei czas więc dopisać coś na kształt „Centralnej Przystani Socjalnej". Stać nas na najlepiej działającą pomoc społeczną w Europie i najskuteczniejsze zapobieganie ubóstwu. To równie ważne jak największa lądowa armia Europy, ale znacznie tańsze. ©℗

eprasa.pl 1f261a212b

Lęk przed wolnością

EDWARD AUGUSTYN

Nie masz prawa dodawać nic do tego, coś ongi był powiedział" – ostrzegał Wielki Inkwizytor Jezusa, gdy ten ponownie pojawił się na ziemi. Bo przecież niezmienność nauki, od wieków oswojonej przez Kościół, „to zasadnicza cecha rzymskiego katolicyzmu".

Monolog Iwana Karamazowa w powieści Fiodora Dostojewskiego jest jedną z najbardziej sugestywnych scen w literaturze, przedstawiających odwieczne napięcie pomiędzy wolnością ewangelicznego przesłania a instytucjonalnością powstałej na jego fundamencie religii. Widocznego także w konflikcie pomiędzy Rzymem a lefebrystami, którego ostatni akt dokonał się w minionym tygodniu.

Zaczęło się od buntu abp. Marcela Lefebvre'a przeciwko soborowym zmianom i założenia w 1970 r. Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X, pielęgnującego przedsoborową tradycję i teologię. Potem były święcenia biskupów bez zgody Watykanu (1988) i ekskomunika nałożona przez Jana Pawła II. Oraz powtórzenie tego aktu – schizmatyckiego w świetle prawa kanonicznego – po blisko czterdziestu latach. 1 lipca lefebryści wyświęcili kolejnych czterech biskupów, na co Watykan zareagował ogłoszeniem kolejnej ekskomuniki. Wystosował też apel do zwolenników łacińskiej mszy o kontakt z duszpasterstwami tradycji katolickiej w swojej diecezji, dzięki czemu będą mogli uczestniczyć w tej „nadzwyczajnej formie rytu" i pozostać w łączności z papieżem.

W ciągu minionych 40 lat Rzym niejednokrotnie wyciągał do lefebrystów rękę. Benedykt XVI zdjął z biskupów Bractwa pierwszą ekskomunikę i obiecał im własne struktury w Kościele (tzw. prałaturę osobistą). Franciszek uznał za ważne sakramenty spowiedzi i małżeństwa sprawowane przez księży Bractwa. Warunkiem pełnego pojednania była jednak akceptacja nauczania Soboru Watykańskiego II, na co uczniowie Lefebvre'a zgodzić się nie chcieli.

Dziś jeszcze wyraźniej widać, o co tak naprawdę im chodzi: nie o trydencką mszę ani własnych biskupów (na co dostali zgodę od Benedykta), ale o powrót do przeszłości. Do Kościoła zamkniętego na dialog ze światem. Do teologii, która mówi o Bogu niedostępnym, ukrytym za rytuałami, choćby najpiękniejszymi. Do religii opartej nie na wolnym wyborze, ale posłuszeństwie i „pokornym zachwycie niewolnika wobec potęgi, która go raz na zawsze przejęła zgrozą" – jak mówił Wielki Inkwizytor.

W powieści to postać fikcyjna, ale urząd Świętej Inkwizycji, rozprawiający się surowo ze schizmatykami, przetrwał aż do początku XX w. Za takie zmiany miłośnicy tradycji powinni być chyba Kościołowi wdzięczni. ©℗

BAZ RATNER / AP / EAST NEWS

Nowo konsekrowani biskupi Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X. Écône, 1 lipca 2026 r.

Kulisy jubileuszu

MARTA ZDZIEBORSKA

4 lipca, w dniu 250. urodzin USA, wielu Amerykanów odłożyło na bok spory polityczne. Świętowali mimo rekordowych upałów – i mimo prezydenta, który dociska butem demokrację. W całym kraju odbywały się koncerty, parady, pokazy zabytkowych aut, a na Coney Island zawodnicy ścigali się w jedzeniu hot dogów.

O tym, co drzemie za tą radosną fasadą – a w jej podtrzymywaniu Amerykanie są mistrzami – przypomniała garstka demonstrantów, którzy na ulicach Waszyngtonu żądali usunięcia Trumpa z urzędu. W mieście zjawili się też biali nacjonaliści, nawołujący do „odzyskania Ameryki" – jak można domniemywać, Ameryki wolnej od wielokulturowości i imigrantów, postrzeganych jako zagrożenie dla białych obywateli. O problemach USA przypomniało też przemówienie Trumpa na National Mall: nawet 4 lipca nie powstrzymał się od rozgrywek politycznych i wezwał do reformy prawa wyborczego, która w istocie może utrudnić części obywateli pójście do urn.

Kilka dni wcześniej patologie systemu politycznego w USA wzmocnił Sąd Najwyższy: sędziowie przyznali Trumpowi i przyszłym prezydentom prawo do odwoływania członków niezależnych agencji federalnych. Zniesiono też restrykcje, jakie od lat obowiązywały partie przy wydawaniu środków na kampanie kandydatów. W efekcie do polityki jeszcze szerszym strumieniem wleją się pieniądze od miliarderów, już teraz robiących ze Stanów oligarchię.

W tej przedwakacyjnej serii werdyktów Sąd Najwyższy zachował przynajmniej zdrowy rozsądek, broniąc 14. poprawki do konstytucji, która gwarantuje obywatelstwo USA osobom urodzonym na terytorium Stanów. Trump chciał, by tego prawa pozbawić dzieci nielegalnych imigrantów i cudzoziemców przebywających tu tymczasowo. Sędziowie, w tym dwoje nominowana przez Trumpa, orzekli, że jego dekret z 2025 r., zmieniający to tzw. prawo ziemi, jest niekonstytucyjny.

4 lipca Amerykanie mogli więc świętować, że ich prezydent nie jest całkiem bezkarny, i że Stany – jako społeczeństwo imigrantów – nadal są krajem możliwości. Przynajmniej w teorii, bo przy wysokich kosztach życia zwykłym ludziom coraz trudniej realizować *American Dream*. W sondażach większość mieszkańców USA nie jest zadowolona ze stanu demokracji, a niemal 40 proc. wątpi, że Stany przez następne 250 lat przetrwają jako jedno państwo.

Również prawie 40 proc. respondentów, tych w wieku 18-34 lat, nie uważa się za „dumnych Amerykanów". Wcale im się nie dziwię, nie tylko ze względu na sytuację polityczną. Dziś obietnica awansu społecznego – że jeśli ciężko pracujesz, to będziesz mieć dobre życie – to dla wielu młodych pusty frazes. ©

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „TP".

eprasa.pl 1f261a212b

Bezpieczne przywiązanie – mniej dzieci

VADYM HUZHVA / ADOBE STOCK

PSYCHOLOGIA ▪ Teoria przywiązania, którą stworzył w latach 50. i 60. XX w. brytyjski psychiatra John Bowlby, zrobiła ogromną karierę – nadal publikuje się na jej temat grube podręczniki. Bowlby uznał, że dzieci rodzą się z potrzebą tworzenia emocjonalnych więzi, a wchodząc w interakcje z opiekunami, kształtują swoje wyobrażenia i oczekiwania dotyczące ich samych oraz innych osób.

W zależności od jakości tych interakcji, rozwinąć mogą się różne style przywiązania: bezpieczny (gdy opiekun jest dostępny i reaguje spójnie na potrzeby dziecka), lękowo-ambiwalentny (gdy opiekun jest nieprzewidywalny), unikający (gdy sygnały wysyłane przez dziecko nie spotykały się z odpowiedzią), zdezorganizowany (gdy opiekun wzbudza zarówno poczucie bezpieczeństwa, jak i strach). Style przywiązania mają swoje konsekwencje – np. dzieci przywiązane bezpiecznie rozwijają wyższe kompetencje społeczne i tworzą lepsze relacje z rówieśnikami, a te przywiązane unikająco – częściej tłumią emocje i rzadziej proszą o pomoc.

Teoria Bowlby'ego szybko została rozciągnięta na dorosłych – jej zwolennicy uznali, że podobne mechanizmy przywiązania występują w relacjach romantycznych. Jednym z rozważanych tematów było to, na ile style przywiązania z dzieciństwa determinują naturę relacji w dorosłości. Współcześni psycholodzy uważają, że wpływ dzieciństwa jest zauważalny, ale nie fundamentalny – sposób budowania relacji romantycznych zależy nie tylko od wczesnych interakcji z rodzicami.

Mało oczywiste konsekwencje teorii przywiązania postanowili zbadać Maryanne Fisher z Saint Mary's University w Halifax i współpracownicy. W artykule opublikowanym w „International Journal of Psychology" przeanalizowali oni, jak style przywiązania w relacjach romantycznych mają się do liczby posiadanych dzieci. W badaniu wzięło udział ponad 15 tys. osób z USA, Kanady i Japonii.

Dotąd przyjmowano na ogół, że najlepsze warunki do posiadania dzieci zapewnia bezpieczny styl przywiązania w relacjach romantycznych. Autorzy badania zwrócili jednak uwagę na to, że taki styl może skłaniać do bardziej intensywnej opieki rodzicielskiej, a ta nie tylko u ludzi – w całej przyrodzie – statystycznie przekłada się na mniejszą liczbę potomstwa (ze względu na ograniczone zasoby – energię i czas – których zaczyna brakować, by spłodzić i wychować kolejne dzieci).

Badania potwierdziły istnienie tego efektu w populacji z Kanady i USA: im bardziej bezpieczny był styl przywiązania u osób badanych, tym przeciętnie mniej miały one dzieci. We wszystkich trzech krajach pozabezpieczne style przywiązania (lękowy, zaabsorbowany i unikający) wiązały się też z większą liczbą potomstwa. Autorzy przypuszczają, że może to wynikać zarówno z mniej planowanego rodzicielstwa, jak i z prób wzmacniania więzi z partnerem poprzez powiększenie rodziny.

Wynik badania jest interesujący zwłaszcza w kontekście występującego w wielu krajach drastycznego spadku dzietności. Można bowiem pójść tym tropem i postawić intrygujące pytanie, czy na kryzys demograficzny nie wpłynęło także to, że w społeczeństwie nauczyliśmy się tworzyć bardziej stabilne i korzystne środowisko psychologiczne dla naszych dzieci – i z naszymi partnerami. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 1f261a212b

TEMAT TYGODNIKA

OZEMPIC DLA WYBRANYCH

Przynoszą szansę dla ludzi borykających się z otyłością, ale i wielki eksperyment na całym społeczeństwie. Sprawdzamy, jaki jest bilans Ozempicu oraz innych analogów GLP-1. I co eksplozja ich popularności mówi o naszej kulturze.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

eprasa.pl 1f261a212b

Wszyscy tak świetnie wyglądacie! Kiedy tak rozglądam się po tej sali, aż ciśnie mi się na usta pytanie: czy ja też powinienem sięgnąć po Ozempic?" – żartował aktor i prezenter Jimmy Kimmel, otwierając 95. galę Oscarów. Komiczka Nikki Glaser przywitała gości 82. gali Złotych Globów na „Najważniejszym wieczorze Ozempicu". Jak w 2022 r. pisał „Wall Street Journal", nowatorski medykament na cukrzycę stał się „lekiem Hollywood", pożądanym przez elity pragnące zrzucić kilka kilo. O stosowaniu nowej generacji leków mówili m.in. Kathy Bates, Rebel Wilson, Tori Spelling, Stephen Fry czy Elon Musk.

W tym samym czasie w Polsce doświadczająca od 12 lat depresji i stanów lękowych Marta, dziś 35-latka z diagnozą ADHD i spektrum autyzmu, traci pracę za pracą i słucha docinków rodziny na temat swojej wagi.

Hanna Pawłowska, przed 60-tką, w wypadku na nartach doznaje złamania kręgosłupa, musi leżeć i tyje z 48 do 98 kilo – od szwagierki usłyszy, że jest tłustą, ohydną beką. Jej mąż Grzegorz Kołecki, serwisant specjalistycznych maszyn, jest wciąż w trasie, więc dzień zaczyna od hot doga albo dwóch na stacji benzynowej, a potem czas na jedzenie ma dopiero wieczorem – w tym trybie życia dobija do 128 kg i w gościnie u krewnej słyszy „jedz, grubasie".

Michał, prawnik z Katowic, który z napadami głodu zmaga się od czasów szkolnych, przed 25. rokiem życia ma 130 kg, za wysoki cukier i nadciśnienie, a przyjaciel przed wycieczką pyta go, czy da radę cały dzień zwiedzać.

Radosław Pasterski, zawodowy fotograf, dochodzi do 122 kg, na różnych dietach chudnie i tyje na zmianę.

OZEMPIC MIAŁO BRZMIEĆ JAK „OLYMPIC". Nazwę, która stała się synonimem całej grupy nowych leków, tzw. analogów GLP-1, wymyśliła brytyjska agencja reklamowa dla duńskiego koncernu Novo Nordisk, który wprowadził na rynek nowatorskie zastrzyki na cukrzycę typu 2. Lek nie tylko obniża poziom cukru we krwi, ale też wagę. Jak notuje Aimee Donnellan, autorka opisującej historię i wpływ tego leku książki „Off The Scales", to nie był przypadek – twórcy myśleli też o prewencji cukrzycy typu 2, gdzie otyłość jest czynnikiem ryzyka.

Substancja czynna w Ozempicu to semaglutyd – analog, czyli syntetyczny odpowiednik hormonu GLP-1 wydzielanego w jelitach, gdy przyjmujemy pokarm. Łączy się z receptorami komórek – czyli jest ich agonistą – trzustki, ale też nerwu błędnego, regulując wydzielanie insuliny w odpowiednim momencie, a do tego spowalnia opróżnianie żołądka, wywołując sytość. Ale nie tylko. Okazało się, że wpływa też na obszary mózgu odpowiadające za układ nagrody, osłabiając apetyt.

Novo Nordisk stworzyło też leki Wegovy – semaglutyd w większej dawce, oraz Saxenda – oparty na pokrewnym analogu GLP-1, liraglutydzie. Oba przeznaczone już ściśle do leczenia otyłości. Zaś wielki konkurent Duńczyków, amerykańska firma Eli Lilly, wypuściła na rynek Mounjaro, w którym substancją czynną jest tirzepatyd. Działa podwójnie, jest agonistą receptorów GLP-1 oraz GIP – innego z hormonów regulujących wydzielanie insuliny i łaknienie. Sednem osiągnięcia naukowców była taka modyfikacja cząsteczek hormonów, by działały nie przez dwie minuty, jak te wydzielane naturalnie, lecz nawet przez tydzień.

Polskie Towarzystwo Leczenia Otyłości zaznacza, że te preparaty otworzyły nowe możliwości w leczeniu zarówno cukrzycy typu 2, jak i otyłości. Eksperci w mediach powtarzają słowo „rewolucja". Bo nowe leki osiągają bezprecedensowe zmniejszenie masy ciała. Jak podaje PTLO, semaglutyd w różnych badaniach redukował masę o 14,9 do 16 proc. Tirzepatyd w zależności od badań i dawki od 15 do nawet 25,3 proc.

– To zmieniło moje życie – mówi 40-letni Radosław Pasterski o tym, jak przez rok, odkąd lekarz przepisał mu Mounjaro, schudł 38 kg. – Nigdy nie czułem się tak dobrze, jak teraz.

Marta w wieku 32 lat była po kolejnej bezskutecznej diecie. Zdecydowała się wtedy na operację bariatryczną – rękawową resekcję żołądka. Ale nawet po niej za jakiś czas na wadze znów zobaczyła trzy cyfry. W marcu zdecydowała się więc na Ozempic. – Poczułam, że tracę kontrolę i jeśli szybko czegoś ze sobą nie zrobię, stracę całkowicie efekty operacji – przyznaje. – Wczoraj spotkałam się z dawno niewidzianą rodziną. Zgodnie twierdzili, że schudłam i lepiej wyglądam. Nie wierzyłam. Dopiero dziś weszłam na wagę. Mieli rację.

ANALOGI GLP-1 MAJĄ EFEKTY UBOCZNE: to najczęściej nudności, wymioty i biegunka lub zaparcia, bóle głowy i zmęczenie, refluks, wzdęcia i inne dolegliwości z przewodu pokarmowego. Rzadko, ale może się zdarzyć zapalenie trzustki. Donnellan opisuje też ekstremalne przypadki paraliżu żołądka czy wymiotów uniemożliwiających normalne funkcjonowanie – do 200 razy tygodniowo. Wspomniany aktor Stephen Fry wyznał, że odstawił lek, gdy wymiotował 4-5 razy dziennie.

Ale są też uboczne efekty kulturowe. Owszem, analogi GLP-1 uświadomiły nam, że nadwaga i otyłość mają hormonalne, genetyczne, metaboliczne, neurologiczne czy psychologiczne podłoże – że otyłość to nie wybór, lecz choroba przewlekła, w dodatku nieuchronnie prowadząca do innych, ciężkich schorzeń.

Ale, paradoksalnie, wydarza się też proces odwrotny.

– Stereotyp głosił dotąd, że osoba gruba nie umie się kontrolować i jest ↦

eprasa.pl 1f261a212b

↦ leniwa – mówi dr hab. Dominika Byczkowska-Owczarek z Uniwersytetu Łódzkiego, która w Polskim Towarzystwie Socjologicznym przewodniczy Sekcji Socjologii Ciała. – Otyłość uznawana była za wynik słabości charakteru, polegającej na braku dyscypliny i samokontroli. Pojawienie się tych leków intensyfikuje problem, bo skoro istnieje Ozempic czy Mounjaro, a ty go nie używasz i nadal jesteś gruby, to naprawdę z własnej woli kontestujesz naszą normę.

Bo, jak tłumaczy socjolożka, ciałem od zawsze manifestujemy stosunek do przestrzegania norm społecznych. – Dziś od peletonu oddzieliła się grupa, która wyznaczyła nowy standard. To już nie tylko zadbane ciało klasy wyższej, do którego pozostałe klasy aspirują, lecz ozempicowo szczupłe ciało klasy nad-wyższej: celebrytów, gwiazd, miliarderów. Ów ideał piękna dowodzi, że ma się pieniądze, zasoby, znajomości i wiedzę, jak należy wyglądać. I po jakie sposoby sięgnąć, bo realizacja tej normy jest możliwa dzięki medykalizacji.

To dominujące w naszej kulturze przekonanie polega na tym, że na wszelkie problemy życiowe jest lek czy terapia. – Nurt ten wiąże się nieodłącznie z rozwojem kapitalizmu, utowarowieniem wszystkiego, w tym zdrowia – tłumaczy dr hab. Byczkowska-Owczarek. – Pocą ci się dłonie? Nie możesz spać? Jesteś zdenerwowany? Weź pigułkę. Proces ten nabrał tempa, gdy zaczęły pojawiać się prywatne firmy farmaceutyczne, które musiały się czymś na rynku wyróżnić.

Jak zauważa Aimee Donnellan, we wczesnych latach 2000., gdy w duńskich laboratoriach eksperymentowano z cząsteczkami mającymi dać początek analogom GLP-1, media i reklama w najlepsze promowały toksyczny ideał piękna ucieleśniany przez takie postacie, jak skrajnie chuda supermodelka Kate Moss. Ideał powiązany później z niebezpieczną epidemią zaburzeń odżywiania (w literaturze naukowej do dzisiaj podaje się, że anoreksja jest zaburzeniem psychicznym o procentowo najwyższej śmiertelności, jeśli pominiemy nadużywanie opioidów).

Dekada pracy aktywistów i świadomej części branży *beauty* – Donnellan przywołuje pamiętną kampanię Dove „Real Beauty" z 2004 r. z udziałem modelek o prawdziwych figurach, kolorze skóry i cerze – dała początek ruchowi ciałopozytywności, promującemu akceptację swojego ciała niezależnie od jego parametrów.

Zdaniem autorki „Off The Scales", renesans analogów GLP-1 przekreślił ten trend. Ich producenci umiejętnie kreowali przekaz reklamowy w USA, stawiając na ich odchudzające efekty. Ogłosił je „New York Times", sławili Oprah Winfrey czy popularny telewizyjny lekarz Mehmet Oz. A gdy przekaz podchwyciły gwiazdy Hollywood, rozpłynął się on po całym globie – a wraz z nim wrócił kanon piękna oparty na szczupłej sylwetce.

Analogi GLP-1 mogą zmienić życie osób otyłych, ale ciążącego na nich stereotypu raczej nie zmienią.

Badania jakościowe dr Martyny Krogulec-Łęskiej z Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi pokazują, jak silne są wciąż stereotypy, dyskryminacja i stygmatyzacja osób z nadmierną masą ciała w środowisku pracy. To nie tylko trudności w zatrudnieniu i awansie czy niższe zarobki. Dzieje się to też przez mikroagresje językowe, wykluczenie z relacji czy działań zespołowych. Osoby takie uważane są za leniwe i niekompetentne. I niereprezentacyjne.

„Paradoksalnie, im większy odsetek populacji doświadcza nadmiernego wzrostu masy ciała, tym silniejszy wydaje się kulturowy nacisk na kontrolę wyglądu i przynależność do wizualnego kanonu »zdrowia« i »sukcesu«" – zauważa badaczka.

Na otyłość choruje 29,8 proc. Polaków. To 9,1 mln ludzi – wynika z szacunków Najwyższej Izby Kontroli. NFZ szacuje, że w 2035 r. otyłych będzie 33 proc. z nas.

ANALOGI GLP-1 SĄ DROGIE i w leczeniu otyłości pełnopłatne. Refundowane są w Polsce tylko te zarejestrowane do leczenia cukrzycy typu 2: Ozempic oraz Trulicity i Suliqua (gdzie substancjami czynnymi są jeszcze inne analogi GLP-1: odpowiednio dulaglutyd i liksysenatyd).

Miesięczna terapia semaglutydem (Wegovy, Ozempic) to koszt 400-900 zł, tirzepatydem (Mounjaro) 800-2000 zł. Do tego dochodzi koszt zwykle prywatnej wizyty u lekarza, badań czy konsultacji dietetyka. Pacjenci kombinują. Internet jest pełen porad dotyczących tzw. dzielenia dawek. Prosi się lekarza, żeby wypisał receptę na większy pen (przyrząd do wstrzykiwania leku), np. 15 mg, bo w przeliczeniu na dawkę wychodzi to taniej, a potem odlicza się odpowiednią liczbę „klików". Ale i tak sprzedaż tych preparatów rośnie w Polsce gigantycznie (patrz ramka).

Na razie nic nie wskazuje na to, żeby państwo zamierzało ulżyć kieszeni pacjentów. Jak dowiedział się „Tygodnik", 29 czerwca Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, która opiniuje kierowane do Ministerstwa Zdrowia przez producentów wnioski refundacyjne, nie zarekomendowała objęcia refundacją Mounjaro w leczeniu poważnych stanów choroby otyłościowej.

Wśród powodów odmowy, takich jak zastrzeżenia do kryteriów programu leczenia, obciążenie dla budżetu i formalne rozbieżności we wniosku, Agencja wskazała też niepewność względem długoterminowych efektów leczenia: przywołując badania, które wykazały, że po odstawieniu leku dochodzi do ponownego przyrostu masy ciała.

To jeden z istotnych problemów z tymi lekami, który dla wielu osób może oznaczać terapię bez wyraźnego horyzontu.

– Obecnie nie do końca wiadomo, co zrobić, kiedy masa już spadnie – tłumaczy dr Damian Parol, dietetyk, trener i popularyzator, który w mediach społecznościowych demaskuje żywieniowe mity. – Czy odstawić leki i próbować utrzymać masę ciała przy pomocy stylu życia, czy podawać go dalej w mikrodawkach? To na dziś największe zagrożenie i wyzwanie, które wymaga dalszych badań.

Hanna, Grzegorz i Radosław mówią, że mogą sobie na te leki pozwolić. Michał po odstawieniu specyfiku planuje treningi personalne, które pozwolą mu zachować motywację do pilnowania wagi. Marcie w kwietniu obniżono stopień niepełnosprawności do lekkiego. – Pozbawiło mnie to wielu przywilejów. Zaskarżyłam tę decyzję i czekam na komisję drugiej instancji – mówi. – Trochę boję się o przyszłość, bo to leczenie jest bardzo drogie.

NAJBARDZIEJ NIEZDROWO JEDZĄ NAJUBOŻSI. Jak zauważa Aimee Donnellan, jeszcze w latach 50. klinicznie otyły był mniej niż jeden na dziesięciu Amerykanów, podobnie było w Wielkiej Brytanii, a nadwaga wiązała się z zamożnością. Między latami 60. a 90. ta reguła się odwróciła. Odsetek otyłych się podwoił, a wśród dzieci – potroił.

eprasa.pl 1f261a212b

Miliardy na analogi GLP-1

W 2025 R. POLACY WYDALI na analogi GLP-1 (łącznie w leczeniu otyłości i cukrzycy) aż 3,39 mld zł – pokazują udostępnione „Tygodnikowi" dane firmy analitycznej PEX zajmującej się rynkiem medycznym. W 2024 r. było to 1,79 mld zł, a ten olbrzymi wzrost widać głównie w kategorii preparatów zarejestrowanych do leczenia nie cukrzycy typu 2, lecz właśnie otyłości.

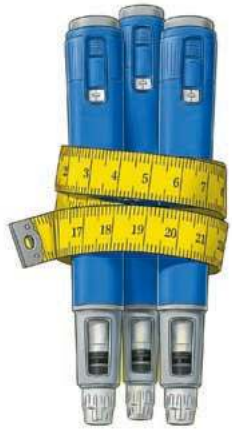

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

WARTOŚĆ SPRZEDAŻY samego tylko tirzepatydu (a więc w praktyce Mounjaro) w 2025 r. w porównaniu z rokiem ubiegłym wzrosła o 1,09 mld zł – sprzedało się przeszło milion opakowań. Co więcej, od stycznia do maja 2026 r. wartość sprzedaży tirzepatydu sięgnęła już prawie 950 mln zł (664 tys. opakowań), a analogów GLP-1 ogółem – 1,855 mld zł.

OZNACZA TO, ŻE W 2026 R. (w przeliczeniu miesięcznej średniej na 12 miesięcy) Polacy za leki z tej grupy mogą zostawić w aptekach 4,45 mld zł, w tym 2,28 mld zł na Mounjaro.

REFUNDACJA LECZENIA SKUTKÓW OTYŁOŚCI takich jak cukrzyca typu 2, choroby woreczka żółciowego, zaburzenia poziomu cholesterolu i trójglicerydów, bezdech senny, zwyrodnienie kolan i stłuszczenie wątroby, według danych NFZ kosztowała w 2024 r. 4,2 mld zł. Dla porównania, w 2014 r. było to 1,22 mld zł. ©℗

Dziś, według rządowego Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom (CDC), otyłych jest 2 na 5 obywateli USA. Jak podaje World Obesity Federation, na całym świecie jest to 14 proc., a 38 proc. ludności globu ma nadwagę. Rocznie nadwaga i otyłość prowadzą do 1,6 mln przedwczesnych zgonów z powodu takich konsekwencji jak cukrzyca, nowotwory, choroby serca i udary mózgu – to więcej niż liczba śmiertelnych ofiar wypadków drogowych. Do 2030 r. z otyłością ma żyć na świecie 1,13 mld ludzi.

Według raportu Federacji z 2025 r., u podstaw tych liczb leżą niesprawne systemy. Po pierwsze, system ochrony zdrowia – nieprzygotowany do opieki nad osobami otyłymi i utrwalający uprzedzenia. Po drugie, systemy planowania i transportu, zniechęcające do aktywności fizycznej. Wreszcie, systemy żywnościowe, w których wielkie korporacje produkują niezdrowe, ultraprzetworzone jedzenie i wydają miliardy na jego reklamę.

Donnellan pisze, że Big Foody, nasyciwszy rynek, mogły rosnąć już tylko zachęcając konsumentów do jedzenia więcej. Oraz obniżając jakość składników. I podkreśla, że eksplozja otyłości to nie tylko amerykański fenomen: na przełomie lat 80. i 90. tyły Europa, Australia, Korea Płd., Ameryka Płd. czy Arabia Saudyjska, a dotyczyło to zwłaszcza ich uboższych regionów.

W Polsce transformacja przyniosła reklamy batoników „zastępujących dzienną porcję mleka" i słodkich płatków, „porcji energii na początek dnia". Atrakcją i sposobem spędzania czasu stały się wypady na *fast food*. Pokolenia, które na tym wyrosły, właśnie są w mainstreamie.

Dr Damian Parol zwraca uwagę, że samodyscyplina, której brak zarzuca się osobom z nadwagą, nie działa w próżni. – Kiedyś, żeby z mojej podwarszawskiej miejscowości pojechać do McDonalda, trzeba było poświęcić przynajmniej 20 minut samochodem. Teraz najbliższy mam trzy minuty od siebie. Dla wielu osób te kilkanaście minut to będzie różnica między tym, czy zjedzą BigMaca, czy nie. Równocześnie koncerny pracują nad tym, żeby słodycze były jeszcze smaczniejsze, czego przykładem jest sukces solonego karmelu – dodaje. – Inaczej się trzyma dyscyplinę, gdy otacza nas taka ilość bodźców, a zagęszczenie punktów z fast foodem jest dziś ogromne. Bo siecią fast foodów jest przecież *de facto* niemal każda stacja benzynowa czy Żabka, gdzie można wprawdzie kupić zdrową sałatkę, ale pewnie zwykle wygra z nią burger czy hot dog.

Lider sklepów małoformatowych, do których, jak oszacował blog Kartografia Ekstremalna, co czwarty Polak ma mniej niż 250 metrów, prowadził ostatnio kampanię reklamową otwarcie zniechęcającą do gotowania i namawiającą do sięgania w zamian po tanie dania gotowe, pod hasłem „Obiady czwartkowe – szlachta nie gotuje".

– Dostęp do świeżego, pełnowartościowego posiłku to też kwestia klasowa – podkreśla dr hab. Byczkowska-Owczarek. – Kto może sobie pozwolić na jeżdżenie co tydzień na eko-bazarek czy nawet na codzienne gotowanie? Klasowym zasobem jest wręcz sama wiedza i umiejętność zdrowego odżywiania, a normą klasową jest sięganie po taką żywność, zamiast po kebaba czy *fast food*. Nie mówiąc już o tym, że jakościowa żywność jest droższa.

Jak informuje Federacja Banków Żywności, 60 proc. najuboższych Polaków rezygnuje z ryb, 53 proc. z mięs i wędlin, a prawie 41 proc. z warzyw, zaś skutkiem niedożywienia jakościowego są nadwaga i otyłość. Tegoroczne badania Federacji wskazują, że 23,2 proc. dzieci z klas 4-8 szkół podstawowych nie przynosi drugiego śniadania, a żywi się głównie słodyczami i słonymi przekąskami.

„Tanie, kaloryczne jedzenie, które ma zaspokoić głód przy ograniczonym budżecie, prowadzi do dwóch pozornie sprzecznych skutków naraz: nadwagi i niedożywienia. Polska znajduje się już w pierwszej dziesiątce państw Unii Europejskiej z najwyższym odsetkiem nadwagi i otyłości wśród ośmiolatków" – czytamy w raporcie.

Oto paradoks: najubożsi jedzą najgorzej i to również dla nich najtrudniej osiągalne są kosztowne analogi GLP-1. Rozwarstwienie społeczne jeszcze się pogłębi.

TO NIE SĄ CUDOWNE LEKI – zgodnie przekonują dietetycy i pacjenci, którzy doczekali się kolejnego stereotypu: że sięgając po analogi GLP-1, chodzą na skróty.

– Operacja bariatryczna czy branie zastrzyków to nie jest pójście na łatwiznę – protestuje Marta. – To dla wielu osób ostateczność. Która zresztą jest ↦

eprasa.pl 1f261a212b

↦ tylko wierzchołkiem góry lodowej, bo najważniejsza trudność polega nie na samym zrzuceniu wagi, tylko na jej utrzymaniu.

– Odrzucam takie oskarżenia – mówi Radosław Pasterski. – To nie żadna łatwizna. Bo jeśli nie jesteś nastawiony na zmianę swoich nawyków żywieniowych i trybu życia, ten lek nie zadziała. On po prostu pomaga w opanowaniu głodu. U mnie głód był permanentny.

To uporczywe myślenie o jedzeniu ma swoją nazwę: *food noise*, czyli „szum jedzeniowy". Wielu pacjentów zauważa, że analogi GLP-1 go wyciszają. Opowiada o tym też Michał, młody prawnik, który przyjmuje Mounjaro od lutego i schudł ze 130 do 110 kg. – To było moim największym problemem. Potrafiłem się rano obudzić i już myśleć, co będę jadł w ciągu dnia i wieczorem. Dziś wydaje mi się to śmieszne. Ale sam jestem zaskoczony skalą tego, jak ważną część mojego życia stanowiło jedzenie.

Pasterski: – Mówienie o słynnej „diecie MŻ", czyli „mniej żryj", jest krzywdzące dla osób otyłych, które często nad głodem po prostu nie panują. To tak, jakby powiedzieć choremu na depresję „uśmiechnij się".

– Te leki nie działają tak, że bierzemy zastrzyk, leżymy, świat się zmienia i nagle jesteśmy szczupli – tłumaczy psychodietetyczka Sylwia Brodniewska, która pracuje z pacjentami przyjmującymi analogi GLP-1 i administruje jedną ze zrzeszających ich grup na Facebooku. – One dają w głowie przestrzeń na chudnięcie. Zmniejszają apetyt, wydłużają poczucie sytości i dzięki temu ma się możliwość wprowadzenia nawyków, które są w stanie doprowadzić do osiągnięcia i utrzymania oczekiwanej masy ciała. Problem w tym, że wiele osób nie uczy się ich ani nie podejmuje żadnej aktywności fizycznej. Albo w drugą stronę, sięga po restrykcje, głodówki i całkowicie eliminuje niektóre produkty, jak węglowodany. A kiedy takie osoby kończą dietę, postanawiają się nagrodzić za wszystkie cierpienia i pojawia się efekt jojo. Warunkiem normalnego funkcjonowania po odstawieniu tych leków jest zmiana stylu życia.

Bywa, że pacjenci na analogach GLP-1 oduczają się złych nawyków brutalnie, w efekcie spowolnionego opróżniania żołądka. – Gdy z łakomstwa zjem czegoś za dużo, jestem potem chora – opowiada Hanna Pawłowska, na Mounjaro od półtora roku. – Tłuste jedzenie zalega mi w żołądku. Kiedyś potrafiłam zjeść trzy czekolady mleczne jak kanapkę, teraz od słodkiego mnie odrzuca.

Jej mąż Grzegorz Kołecki wciąż ma wyjazdową pracę, nie mógł zmienić trybu życia, ale je znacznie mniej. – Tym, ile jedzą inni, ja czuję się dosłownie przesycony – relacjonuje. Od stycznia do września 2025 r. zrzucił na Mounjaro 33 kg. Hanna waży dziś 58 kg.

– O BRANIU TYCH LEKÓW POZA WSKAZANIEM medycznym sporo się mówi w branży – przyznaje Damian Parol. – Dotyczy to gwiazd, ale też np. sportowców, bo dziś sportowiec ma nie tylko robić wyniki, ale też wyglądać, ze względu na kwestie wizerunkowe i reklamowe.

Analogi GLP-1 dostępne są wyłącznie na receptę, a wskazaniem jest poważny problem z otyłością i jej powikłania. PTLO rekomenduje je u chorych ze stanem przedcukrzycowym, cukrzycą typu 2, za wysokim poziomem cholesterolu i trójglicerydów, bezdechem sennym, zespołem policystycznych jajników, stłuszczeniem wątroby czy chorobami sercowo-naczyniowymi. Ale otaczający te leki mit sprawia, że na forach i grupach facebookowych pytają o nie osoby chcące po prostu zrzucić kilka kilo. Inne zadają elementarne pytania o dawkowanie i działanie, o czym teoretycznie powinny były usłyszeć od swojego lekarza. O czym to świadczy?

– Że receptę można bez trudu dostać przez Receptomat i temu podobne serwisy – rozkłada ręce Sylwia Brodniewska. – Jest grupa osób, która kłamie w wywiadzie, załącza nie swoje badania i otrzymuje receptę na środek, który powinien być pod kontrolą lekarza, dietetyka, a często też psychologa.

Wreszcie, jest też podziemie. I nie chodzi tylko o odsprzedawanie dawek. Na forach, TikToku i w sieci można bez trudu znaleźć oferty sprzedaży retatrutydu – to eksperymentalny, potrójny agonista GLP-1, GIP i glukagonu, obecnie wciąż na etapie badań klinicznych i niedopuszczony do użytku. Nielegalny i potencjalnie niebezpieczny. Tymczasem istnieją strony o sterylnym, aptecznym designie, gdzie rzekomo ów środek jest sprzedawany z obłudną adnotacją, że to „odczynnik chemiczny" „tylko do badań",

Gdzie znaleźć pomoc

Pamiętaj, że trudna relacja z jedzeniem, drastyczne odchudzanie i obsesyjna kontrola jedzenia mogą być objawem lub początkiem zaburzeń odżywiania.

Jeśli Ty lub ktoś Ci bliski zmaga się z zaburzeniami odżywiania albo z trudną relacją z jedzeniem i własnym ciałem, nie jesteś sam. Zwróć się po pomoc do lekarza pierwszego kontaktu, psychologa lub psychodietetyka, a w sytuacji kryzysowej skorzystaj z bezpłatnego wsparcia:

Telefon zaufania:
801 889 880
(czynny codziennie w godz. 17:00-22:00).

Specjaliści czekają też pod adresem:
poradnia@uzaleznieniabehawioralne.pl

Wiele pomocnych informacji znajdziesz na stronie:
www.uzaleznieniabehawioralne.pl/zaburzenia-odzywiania/

Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży: 116 111
(Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę).

Telefoniczna Informacja Pacjenta NFZ: 800 190 590
– pomoże Ci znaleźć najbliższego specjalistę i działa 24/7.

Porady, kontakt ze specjalistami i możliwość umówienia wizyty,
również online, oferuje Fundacja Ogólnopolskie Centrum Zaburzeń Odżywiania (wizyty są odpłatne):
www.centrumzaburzenodzywiania.pl

Na stronie diety.nfz.gov.pl znajdziesz m.in. bezpłatne przepisy na zdrowe dania, porady żywieniowe oraz e-booki.

eprasa.pl 1f261a212b

a zamieszczone materiały „służą wyłącznie celom informacyjnym i edukacyjnym”. W przesyłce może być niebezpieczna dla zdrowia i życia substancja.

– Na TikToku „retę” reklamują wygenerowane przez AI wizerunki mające rzekomo pokazywać, jak się po tym chudnie – opowiada Brodniewska. – Ludzie biorą to poza wszelkim nadzorem. To jest plaga.

Dla Dominiki Byczkowskiej-Owczarek świadczy to o sile pędu do sprostania owej nowej normie piękna. – Przykro mi, że są osoby, które tak źle się czują ze swoim ciałem, że uciekają się do takich środków i tak ryzykują – mówi socjolożka ciała. – Ale na to nie pomoże Ozempic, tylko podnoszenie świadomości problemu w społeczeństwie.

PATENT NA SEMAGLUTYD w USA wygaśnie w 2031 r. Na tirzepatyd w 2036 r. Jak pisze Aimee Donnellan, producenci leków generycznych już ostrzą sobie zęby na udział w tym torcie. Zwłaszcza że w Kanadzie ochrona semaglutydu wygasła już w tym roku. Jak zmieni się nasz świat, gdy analogi GLP-1 staną się tanie?

– Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, będzie to lepszy świat – wierzy Damian Parol. – Taki, w którym łatwiej będzie stawić czoło pokusom i utrzymać zdrową masę ciała. Ciekaw jestem natomiast, jak to wpłynie na branżę żywności, zwłaszcza producentów tej wysoko przetworzonej, skoro znaczna część ludzi będzie mniej jeść, mniej chętnie sięgać po niezdrowe jedzenie i posiadać wywołaną farmakologicznie silną wolę...

> Analogi GLP-1 dają w głowie przestrzeń na chudnięcie. Zmniejszają apetyt, wydłużają poczucie sytości i wyciszają uporyczywe myśli o jedzeniu.

Autorka „Off The Scales” jest pesymistką i podejrzewa, że Big Food postąpi jak przemysł tytoniowy, który w obliczu oskarżeń o zagrażanie zdrowiu publicznemu zainwestował w e-papierosy, a ciężar swojej głównej działalności przeniósł do krajów rozwijających się, których rządom trudniej się przeciwstawiać presji wielkiego biznesu.

Bilans wciąż jest niewiadomą. Regularnie pojawiają się nowe doniesienia na temat tych leków – np. że wpływając na rejony mózgu odpowiedzialne za regulację emocji, mogą wywoływać lub pogłębiać symptomy depresji, a z drugiej strony, że u osób przyjmujących te leki rzadziej diagnozowano zaburzenia związane z używaniem alkoholu, opioidów, nikotyny oraz kokainy – choć to jeszcze związek, nie przyczynowość.

Jak na łamach „Guardiana” stwierdził Paul Kenny, neurolog z kliniki Mount Sinai w Nowym Jorku, świat jest w trakcie ogromnego eksperymentu, gdzie miliony ludzi stosują leki GLP-1, a naukowcy dopiero zaczynają gromadzić dane na temat ich długotrwałego wpływu.

■■■

Radosław na razie czuje się, jakby wyszedł z zaklętego kręgu. – Jakby ci ktoś podał rękę, pociągnął i powiedział „wykorzystaj szansę” – przekonuje. Ma jeszcze marynarkę z okresu, gdy ważył 75 kg. Chciałby ją znów włożyć.

Michał jest dumny z pochwały kardiologa, wyniki ma znacznie lepsze. Powoli myśli o zabiegu medycyny estetycznej. – Bo przy takim spadku wagi skóra może się nie dostosować – mówi. – Ale jeśli to miałaby być cena lepszego samopoczucia i wyglądu, akceptuję to w pełni.

Marta stara się więcej ruszać i zdrowiej odżywiać. – Niestety, przy depresji ze stanami lękowymi i wybiórczości pokarmowej, jest to dla mnie zdecydowanie trudniejsze niż dla zdrowej osoby – tłumaczy.

– Jaka to jest radość kupić ubranie w normalnej sieciówce, a nie specjalnym sklepie dla XL-ów – opowiada Grzegorz. – Człowiek znów wierzy we własne siły – dodaje Hanna. – Że jest wartościową osobą. ©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Karolina Biały, Mateusz Gawron, Jacek Napora, Anna Pietrzykowska, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl 1f261a212b

KRAJ

SYSTEM NA SKRAJU ZAŁAMANIA

Państwowe wydatki na ochronę zdrowia rosną z roku na rok, a dostęp do lekarza pogarsza się, zamiast poprawiać. Dlaczego płacimy coraz więcej, a czekamy coraz dłużej? Czy można to w ogóle zmienić?

PATRYK SŁOWIK

Polski pacjent słyszy nieustannie, że pieniędzy wydawanych na jego zdrowie jest coraz więcej. I jest to o tyle prawda, że w 2016 r. publiczne wydatki na zdrowie wynosiły 84,6 mld zł, a w 2025 r. przekroczyły już 221 mld zł. Jednocześnie, gdy pacjent próbuje zapisać się do specjalisty, na rezonans albo kolonoskopię, trafia na rzeczywistość, która brzmi jak kpina z rządowych komunikatów: lista oczekujących jest bardzo długa, a terminy idą w miesiące. Alternatywą jest prywatna wizyta, w ramach której ten sam lekarz, niekiedy na tym samym sprzęcie i w tej samej przychodni, przyjmuje za kilka dni.

Awantura wokół Warszawskiego Szpitala Południowego ujawniła szereg patologii, ale jednocześnie spowodowała, że reforma systemu ochrony zdrowia stała się politycznie najłatwiejsza od lat. Niemal wszyscy obywatele dostrzegli, że indywidualne wypaczenia nie są przypadkowe i potrzebna jest gruntowna zmiana systemu.

Istotna część zmian wymagałaby dużego wzrostu nakładów; chwilowo je pomińmy. Skupmy się na tym, co można by zmienić bez dokładania do ochrony zdrowia kolejnych kilkudziesięciu miliardów złotych w skali roku.

Ilu mamy lekarzy

W Polsce od lat trwa dyskusja o tym, czy mamy za mało lekarzy. Rząd PiS był właśnie takiego zdania i postanowił tę liczbę istotnie zwiększyć, tworząc nowe kierunki lekarskie w ramach istniejących uczelni. Nie miały one jednak istotnego doświadczenia w kształceniu kadr me-

eprasa.pl 1f261a212b

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Szpital Południowy w Warszawie. 24 czerwca 2026 r.

dycznych oraz – co być może istotniejsze – zaplecza infrastrukturalnego, które pozwoliłoby adeptom kształcić się nie tylko teoretycznie, lecz także praktycznie. Ostatecznie pomysł legł w gruzach już za rządów Donalda Tuska.

Pytanie o liczbę lekarzy w Polsce jest pytaniem tyleż istotnym, co uproszczonym.

Według Głównego Urzędu Statystycznego mamy 141,2 tys. praktykujących medyków (dane na koniec 2024 r.). Czyli niespełna czterech lekarzy na tysiąc mieszkańców, co oznacza, że jest ich w Polsce o ok. 9 proc. mniej, niż wynosi średnia UE. Jednocześnie tę unijną średnią wciąż nadganiamy.

Samo pytanie: „czy lekarzy jest za mało?" warto zastąpić trzema innymi. Czy mamy ich dość w specjalizacjach, których potrzebuje starzejące się społeczeństwo? Czy pracują tam, gdzie jest największy niedobór usług medycznych? I czy ich czas pracy jest wykorzystywany do leczenia pacjentów, czy też do wypełniania dokumentów i wypisywania recept oraz skierowań?

Fakty są takie, że w Polsce lekarze koncentrują się w dużych miastach, wokół szpitali klinicznych, prywatnych centrów i silnych ośrodków akademickich. To zrozumiałe z perspektywy zawodowej: tam jest nowoczesny sprzęt, zespół, od którego można się uczyć, większa możliwość dorobienia w ramach indywidualnej praktyki, a także lepsze szkoły dla dzieci i co do zasady ciekawsze życie. Z perspektywy pacjenta z powiatu oznacza to jednak, że „średnia krajowa" staje się statystyką bez znaczenia. Jeżeli w jego okolicy nie ma endokrynologa, psychiatry dziecięcego, geriatry czy poradni leczenia bólu, to nie pomoże mu informacja, że w Warszawie, Krakowie albo Gdańsku wskaźnik ten wygląda lepiej.

Różnice widać także na poziomie województw. W Mazowieckiem pracuje 1,8 razy więcej lekarzy na 1000 mieszkańców niż w Lubuskiem czy Opolskiem. W „rekordowym" powiecie ropczycko-sędziszowskim na Podkarpaciu liczba lekarzy wynosi mniej niż jedną trzecią średniej krajowej.

Tymczasem polskie państwo nie stosuje żadnych mechanizmów zachęcających do pracy w mniejszych ośrodkach. W efekcie zarządzający placówkami w takich miejscach muszą słono przepłacać za kontrakty medyków. W ten zaś sposób dostajemy model coraz bardziej patologiczny: tam, gdzie kłopoty z dostępem do ochrony zdrowia są największe, tam najbardziej rosną wydatki na płace lekarzy.

Którędy do hematologa

Kolejny problem: nierówny popyt na specjalizacje. W Polsce już nie tyle brakuje lekarzy, ile specjalistów w określonych dziedzinach. Nie jest to jednak efekt mitycznego blokowania dostępu do rynku przez środowisko lekarskie. Tak naprawdę to kwestia braku odpowiednich zachęt do kształcenia się w zakresie, którego potrzebuje państwo.

Dobrym przykładem jest hematologia. Już kilka lat temu alarmowano, że mimo ogłoszeń o dostępnych miejscach rezydenckich zgłasza się zbyt mało chętnych. Powód jest prosty: to specjalizacja trudna, obciążająca, słabiej monetyzowana w ramach usług prywatnych niż kardiologia, ortopedia czy dermatologia. Państwo teoretycznie wie, że takich specjalistów potrzebuje, ale nie stworzyło wystarczających zachęt, by młodzi lekarze wybierali właśnie tę ścieżkę kariery.

W 2022 r., choć ogłoszono zapotrzebowanie na 55 nowych hematologów, zgłosiło się tylko 7 osób. A w 10 spośród 16 województw nie zgłosił się nikt. Przyczyny ówczesnego zjawiska wyjaśnił mi (na łamach Wirtualnej Polski) prof. Grzegorz Basak, kierownik Kliniki Hematologii, Transplantologii i Chorób Wewnętrznych Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego WUM. „Ja jako ordynator w szpitalu zarabiam 6050 zł na rękę. Młodzi lekarze mają mniej" – oświadczył.

Gdy zostaje się kardiologiem, neurologiem bądź ortopedą, po godzinach pracy w publicznym systemie ochrony zdrowia można dorobić w sektorze prywatnym. Do cenionych czy nawet tylko przyzwoitych specjalistów ustawiają się kolejki pacjentów, którzy nie chcą czekać na termin w państwowej przychodni. I których stać na prywatne wizyty.

Z hematologią jest inaczej. Rynkowe zapotrzebowanie istnieje na kilkudziesięciu najlepszych fachowców. A schorzenia, z którymi pojawiają się pacjenci, najczęściej i tak wymagają kosztownej diagnostyki i leczenia w publicznej placówce. ↦

eprasa.pl 1f261a212b

„Z pewnością hematologów jest za mało. W ogóle jest za mało specjalistów zajmujących się nowotworami. Są pootwierane specjalizacje przez ministerstwo, ale miejsca są niezapełnione. Młodzi nie chcą na nie iść, bo są to obciążające specjalizacje wykonywane w trudnych warunkach" – tłumaczyła mi w 2022 r. na łamach WP Agata Polińska, wiceprezeska Onkofundacji Alivia.

Działania pozorne

Ministerstwo Zdrowia obiecało, że przyjrzy się sprawie i postara zachęcić młodych lekarzy do wybierania tzw. trudnych specjalizacji, jak hematologia czy onkologia kliniczna. Efekt po czterech latach? W hematologii właściwie bez zmian, czyli wciąż źle. Poprawiło się natomiast w onkologii klinicznej. Rezydenturę w 2025 r. rozpoczęło w ramach tej specjalizacji 97 osób. Z jednej strony to wzrost o 45 proc. w porównaniu z naborem z 2022 r. Z drugiej: to wciąż ledwie połowa tego, co niezbędne, by zabezpieczyć potrzeby Polaków w najbliższych latach. Co ciekawe, w naszej ochronie zdrowia zdarzają się również sytuacje odwrotne: na ortopedię, w której rynek publiczny już się nasycił, poszło dwa razy więcej osób niż potrzeba.

Jednym z największych problemów naszej niesprawnej ochrony zdrowia jest również to, że lekarze wciąż za dużo czasu poświęcają na rzeczy, którymi naprawdę mogliby się nie zajmować. Postulaty rozwoju zawodu asystentów medycznych, którzy mogliby wystawiać skierowania, recepty i zwolnienia z pracy oraz prowadzić dokumentację pacjentów – pojawiają się nieustannie od lat, ale niewiele się dzieje.

Z danych opracowanych przez Komisję Europejską można wywnioskować, że wewnętrzna organizacja systemu w Polsce jest zła. Mamy np. bardzo niski udział lekarzy rodzinnych – to 6,7 proc. wszystkich naszych medyków, wobec średniej unijnej na poziomie 19,9 proc. W efekcie wiele spraw, którymi mogliby zajmować się specjaliści od leczenia „na pierwszym froncie", załatwiają lekarze specjaliści z zakresu ortopedii czy chirurgii.

W skrócie: potrzebujemy publicznego systemu, który – po pierwsze – zachęci młodych lekarzy do wyboru specjalizacji potrzebnych społecznie, a nie tylko tych dających perspektywę dobrych zarobków.

> Jeśli państwo zacznie zamykać szpitale powiatowe, **musi zorganizować szybką ścieżkę do ośrodków specjalistycznych.** Centralizacja bez zadbania o logistykę to przemoc wobec pacjentów z małych ośrodków.

Po drugie, państwo musi zadbać o właściwe rozmieszczenie medyków (kwestią otwartą pozostaje, jak to zrobić, i ile powinno być w tym zachęty, a ile przymusu możliwego do narzucenia choćby na etapie odbywania studiów medycznych w publicznej uczelni). Po trzecie, czas przyjąć, że część zadań lekarzy mogliby wykonywać przedstawiciele innych zawodów, a niektóre zadania specjalistyczne – dobrze wykształceni lekarze rodzinni.

Ile zarabia polski lekarz

W tym momencie nieuchronnie dobijamy do kwestii najbardziej bulwersującej opinię publiczną – to zarobki lekarzy. Niemal wszyscy już wiemy, że niektórzy z nich zbijają fortuny. 28-letni medyk bez specjalizacji, w drugim roku pracy, potrafi zarobić 1,6 mln zł. Inny, 32-letni, już ze specjalizacją z ortopedii, blisko 3 mln zł w rok – łącząc praktykę medyczną z funkcją prezesa zarządu oraz dyrektora w dwóch szpitalach. Oba są zresztą zadłużone.

Ujawnione przypadki są bulwersujące, ale systemowo wydaje się istotniejsze to, że polskie państwo nie ma pojęcia, ile tak naprawdę zarabiają lekarze – nie ma nad tym żadnej kontroli. Jeszcze pół roku temu słyszeliśmy, że lekarzy zarabiających ponad 100 tys. zł netto miesięcznie jest ok. 560. Dwa tygodnie temu dowiedzieliśmy się, że jest ich ok. 5600 (różnica jednego zera!). Kilka dni temu, że najprawdopodobniej ok. 10 tysięcy.

Jeżeli ta ostatnia liczba jest prawdziwa, oznacza wydatki budżetowe na poziomie ok. 20 mld zł. Tym bardziej więc mamy prawo domagać się od państwa, by dysponowało wiedzą, ile wydajemy na kilka procent najlepiej zarabiających w publicznym systemie medyków. Nie wiemy ponadto, czy wydajemy te środki na fachowców, których kompetencji nie da się w żaden sposób zastąpić (są lekarze o tak unikalnej wiedzy i umiejętnościach, że mogą zarabiać podobne pieniądze w każdym miejscu na świecie), czy też płacimy młodym ludziom bez doświadczenia.

Ma to zmienić ustawa nazywana potocznie ustawą o jawności zarobków lekarzy. Przy czym jawność ta ma być ograniczona – informacja o wynagrodzeniach konkretnych osób nie będzie publiczna, lecz dostęp do niej będą mieli urzędnicy państwowi.

Środowisko lekarskie protestuje i zapowiada nawet pozwanie Polski przed międzynarodowe trybunały. Wydaje się jednak, że opinia publiczna będzie krytycznie patrzeć na podobne kroki. Skoro jako państwo wydajemy pieniądze obywateli na zdrowie, mamy prawo wiedzieć, na co konkretnie one idą.

Zużyta mapa świadczeń

Gorącym tematem jest również kwestia zamykania szpitali – na dłuższą metę obecny model wydaje się bowiem nie do utrzymania. Głęboka restrukturyzacja, powiązana faktycznie z zamknięciem części placówek, będzie musiała stać się elementem głębokiej reformy systemu. Wedle oficjalnych danych, w Polsce na przestrzeni ostatnich 20 lat liczba szpitali nieznacznie się zwiększyła. Mamy prawie 900 publicznych placówek tego typu, podczas gdy dwie dekady temu było ich niespełna 800.

Na tle innych państw UE Polska w tej statystyce plasuje się wysoko. Mamy duże nasycenie państwa szpitalami, a liczba łóżek wynosi w nich ok. 130 proc. średniej unijnej. Tyle że – jak wiemy – niekoniecznie idzie za tym jakość usługi, a organizacja całej sieci pozostawia wiele do życzenia.

Na papierze reforma jest prosta do zaplanowania – eksperci widzą ją dość zgodnie jako system trzech poziomów opieki. Pierwszy to silna podstawowa opieka zdrowotna i ambulatoryjna diagnostyka blisko domu: badania laboratoryjne, USG, RTG, podstawowa opieka kardiologiczna, diabetologiczna, rehabilitacyjna i psychiatryczna. Drugi poziom to szpitale regionalne, które wykonują dobrze skonstruowany i sprawiedliwie wyceniony zakres procedur, mają stabilną kadrę i współpracują z poradniami. Trzeci to centra wysokospecjalistyczne dla chorób i zabiegów

eprasa.pl 1f261a212b

LUCA MATTIA VIGILANTE / FORUM

Protestujący podczas sesji Rady Miasta-Warszawy dotyczącej nieprawidłowości w Szpitalu Południowym. Warszawa, 25 czerwca 2026 r.

wymagających dużego doświadczenia oraz całodobowego zaplecza.

Nie każdy szpital powiatowy musi robić wszystko. Nie każda poradnia musi istnieć tylko dlatego, że działa od lat. Jest to finansowo nie do udźwignięcia dla państwa. Zarazem wcale nie zwiększa bezpieczeństwa pacjentów, bo jeden dobry oddział chirurgii na trzy powiaty może być lepszym rozwiązaniem niż trzy kiepskie oddziały, na których brakuje specjalistycznej obsady.

Jeśli jednak państwo ograniczyłoby zakres istotnych usług w jednym miejscu, musiałoby zorganizować transport, diagnostykę, telekonsultacje i szybką ścieżkę do ośrodka wyższego poziomu. Centralizacja bez zadbania o logistykę to przemoc wobec pacjentów z mniejszych miejscowości.

Niestety, rządzący sprawiają wrażenie zabierania się za temat w złej kolejności. Proponują zamykanie porodówek według klucza opracowanego w arkuszu kalkulacyjnym, nie sprawdzając czasu dojazdu na poród ani opcji dla ludzi nieposiadających własnych samochodów.

Tymczasem, gdyby zorganizować dobrze system transportu oraz ratownictwa medycznego, opór przed ograniczaniem liczby oddziałów mógłby być znacznie mniejszy. Jednocześnie warto jednak pamiętać, że większość szpitali w Polsce to obecnie placówki powiatowe. Żaden starosta nie chciałby zamykać szpitala ani żadnych jego oddziałów u siebie – to ryzykowne wizerunkowo oraz trudne politycznie. Szpitale powiatowe w większości są bowiem największymi pracodawcami w powiecie. A niekiedy również politycznymi przechowalniami działaczy partii rządzącej na danym terenie, niekoniecznie kompetentnych.

Wstydliwy konkret

Koalicja Obywatelska w ramach swoich obietnic przedwyborczych wskazała w drugim ze swoich 100 Konkretów: „Wprowadzimy łatwy w obsłudze i czytelny system rezerwacji wizyt (SMS-y, maile) na kształt funkcjonującego w systemie prywatnym. W ten sposób ograniczymy liczbę nieodbytych wizyt, a tym samym skrócimy kolejki".

Obietnica z jesieni 2023 r. nie została do dziś zrealizowana i w najbliższym czasie to się nie wydarzy, bo prace nad kompleksowym ogólnopolskim systemem w ogóle się nie toczą. Tymczasem rola takiego systemu i oszczędności związane z jego wprowadzeniem byłyby nie do przecenienia.

Z danych Ministerstwa Zdrowia wynika, że w ubiegłym roku pacjenci nie pojawili się na 6,74 proc. zaplanowanych wizyt lekarskich oraz umówionych badań. Oznacza to ponad 27 mln nieodwołanych wizyt (w samej ortopedii 3,7 mln), a także niestawienie się na ponad pół miliona zabiegów gastroskopii i niemal 600 tys. kolonoskopii.

Według badania przeprowadzonego przez Szkołę Główną Handlową, Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego, Szpital Mazovia oraz UKSW – główną przyczyną niestawienia się (42 proc. wskazań respondentów) jest zapomnienie o wizycie. Na drugim miejscu wskazano utrudniony kontakt telefoniczny z placówką. Bywa bowiem tak, że nawet gdy ktoś chce odwołać wizytę, nie jest w stanie się dodzwonić na podany numer.

Wprowadzenie elektronicznego systemu rezerwacji wizyt oraz obowiązku kontaktu przed wizytą na linii placówka–pacjent pozwoliłoby istotnie zmniejszyć liczbę niewykorzystanych terminów. Dziś mamy bowiem liczne sytuacje, w których pacjent umawia się np. do poradni chirurgicznej na termin dopiero za 12 miesięcy i nikt mu nie przypomina o wizycie. Podobnie jest z badaniami.

Państwowy kompleksowy system (z informacjami o nadchodzących wizytach oraz możliwością odwoływania ich za pośrednictwem SMS-ów) musiałby oczywiście być bardziej zaawansowany od systemów, z których korzystają prywatne sieci medyczne. Nie jest on jednak żadną poważną barierą i doprawdy trudno zrozumieć, jak to możliwe, że państwo nie podołało jeszcze temu zadaniu, skoro przyniosłoby ono konkretne oszczędności w krótkiej perspektywie.

E-rejestracja zlikwidowałaby też zapewne półprywatne kolejki oczekujących na wizyty w ramach NFZ. Wciśnięcie się w nie dzięki uprzejmości lekarza byłoby nadal możliwe, ale stałoby się bardziej widoczne. Być może to tłumaczy, dlaczego systemu e-rejestracji wciąż nie ma?

Czas na działania

W ostatnim tekście dla „Tygodnika Powszechnego" (nr 26/2026) pisałem, że sprawa lekarzy milionerów pokazała, iż polski system ochrony zdrowia jest w jeszcze gorszej kondycji, niż wszystkim się wydawało. Zarazem warto spojrzeć na to optymistycznie: upadliśmy tak nisko, że nigdy nie było tak sprzyjających warunków do przeprowadzenia głębokiej reformy.

Z opublikowanych w marcu badań SW Research dla „Rynku Zdrowia" wynika, iż 85,4 proc. Polaków uważa, że system ochrony zdrowia wymaga gruntownych zmian. Jednocześnie oczywiste jest, że reformy te niekoniecznie wszystkim by się spodobały. Ograniczenie wpływu lekarzy na system wywołałoby ostry spór rządzących z samorządem lekarskim, a jak ostatnio zauważył prezes Naczelnej Izby Lekarskiej Łukasz Jankowski: „z lekarzami żaden rząd nie wygrał".

Jak stałoby się tym razem, nie wiemy. Zarazem jedno widać wyraźnie: brak jakiegokolwiek działania czy próby reformy powoduje, że publiczny system ochrony zdrowia umiera na naszych oczach. I albo spróbujemy to zmienić, albo za kilka lat pozostanie nam jedynie silny sektor prywatny. Wielu z nas nie będzie na niego stać. © PATRYK SŁOWIK

eprasa.pl 1f261a212b

VLADYSLAV MUSIIENKO / PAP

Pogrzeb ekshumowanych szczątków polskich ofiar zbrodni wołyńskiej na terenie dawnej wsi Puźniki w dzisiejszym obwodzie tarnopolskim. Puźniki, Ukraina, 6 września 2025 r.

O pamięć prawdziwą

JĘDRZEJ SOLIŃSKI

WOŁYŃ | Obserwując polsko-ukraińską awanturę o Wołyń i UPA, mam wrażenie, że politycy z obu krajów okradają nas, potomków polskich mieszkańców zachodniej Ukrainy, z pamięci i emocji. Słono za to zapłacimy.

Kiedy w 2014 r. opublikowałem „Turystę", książkę zawierającą w początkowych rozdziałach nieco przetworzoną, rodzinną opowieść z okolic Stanisławowa, nieliczne spotkania autorskie zamieniały się w spontaniczne, trochę amatorskie – nie jestem historykiem – wykłady z historii nieznanej.

Otóż nikt z pierwszych czytelników owej książeczki nie wiedział nic o ledwie muśniętych w narracji wypadkach w Galicji Wschodniej, jakie wydarzyły się pod koniec II wojny światowej. Rodzinna opowieść nikła wśród pytań o to, czym jest UPA, co to znaczy, że ktoś jest banderowcem, dlaczego jedni mordowali drugich itd. Książka ukazała się tuż po 70. rocznicy Zbrodni Wołyńskiej i jedna z recenzentek zarzuciła mi podjęcie „modnego" tematu. Tymczasem kilkanaście lat temu Wołyń i UPA dla większości Polaków kryły się w mrokach niepamięci i niewiedzy.

Wyjątek stanowiły rodziny – a i to nie wszystkie – tych, którzy na własnej skórze przeżyli zorganizowane ludobójstwo na Kresach Wschodnich. Rodziny te zarówno w czasach PRL, jak też w III RP nie doczekały się uznania doznanych krzywd tak, jak miało to miejsce w przypadku rodzin katyńskich czy więźniów niemieckich kacetów. Przy czym nie chodziło i nadal nie chodzi o jakieś zawody w konkurencji, kto był większą ofiarą.

Wstydliwe rany

Nieutulony żal, niezaleczona trauma, niewykrzyczany ból, dławiony przez polskie elity po 1989 r. – znamy doskonale powtarzane przez trzy dekady slogany o „złym/nieodpowiednim czasie" i „niepotrzebnym rozdrapywaniu ran". Właśnie teraz te ukrywane latami emocje zagospodarowywane są przez polityków, przy niebanalnym wsparciu kremlowskiej propagandy. A przecież pamięć o zbrodniach na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, ta prawdziwa pamięć ocalałych, nie była pamięcią niebezpieczną. Nie była i wierzę, że nadal nie jest, paliwem dla ksenofobii i agresji wobec Ukraińców.

Pamiętam niektóre spotkania z potomkami ocalonych, jakie za sprawą książki odbyłem nieco później we Wrocławiu i innych miastach Dolnego Śląska. Nasza pamięć, pamięć zapośredniczona, pamięć dzieci i wnuków, była i chyba nadal jest zupełnie niezborna z deklaracjami tych, którzy dla doraźnego politycznego interesu albo dając upust ksenofobii i poczuciu wyższości nad Ukraińcami, powiewają sztandarami z hasłami w stylu „Wołyń – Pamiętamy!".

Jeśli 12 lat temu o żadnym Wołyniu nie tylko nie pamiętali, ale nawet o nim nie wiedzieli, to te wywieszane na stadionach piłkarskich banery w oczach rodzin ofiar zakrawają na bluźnierstwo. Bluźnierstwo, bowiem te rodzinne, niegdyś kresowe, a dziś dolnośląskie historie, jakie opowiadaliśmy sobie na wspomnianych spotkaniach, układają się w zupełnie inną od serwowanej nam dziś sztucznie opowieści.

Wasyl i jego rodzice

Mój dziadek, pochodzący z okolic Kołomyi, przez całe życie wspominał chłopca, z którym bawił się w chwilach wolnych od pracy w polu. Nie opowiadał nigdy o samej strasznej nocy, w której banderowcy wymordowali większość mieszkających we wsi Polaków, ale o małym Wasylu Sotnyku i jego rodzicach, którzy nie tylko ostrzegli swoich polskich sąsiadów przed nadciągającymi bandami, ale i przechowali ich w swojej stodole, w ten sposób samych siebie narażając na śmierć, bowiem dla ukrywających Polaków Ukraińców banderowcy nie mieli żadnej litości.

W pamięci mojego dziadka bohaterstwo jego sąsiadów przeważyło nad ludobójczą furią ukraińskich bojówek. I kiedy po raz pierwszy jechałem do tej przycupniętej nad wysokim brzegiem Prutu wsi, miał tylko jedną prośbę – znajdź Wasyla, mojego kolegę, którego rodzice nas uratowali, i podziękuj mu. Pojechałem, znalazłem i podziękowałem.

eprasa.pl 1f261a212b

Druga rodzinna opowieść, dotycząca tej samej wsi i tej samej strasznej nocy, pochodzi od starszego o parę lat od dziadka kuzyna, który wraz ze swoim ojcem cudem uniknął rzezi. Banderowcy bestialsko zamordowali jednak jego matkę (siostrę mojej prababki), babcię i kilkumiesięczną siostrzyczkę. Z kolei wuj – choć zrobił to tylko raz – opowiedział całą straszną historię. Ze szczegółami, od początku do końca. Ale podsumował ją w ten sposób: „Interesuje mnie tylko to, kto zamordował moją mamę, siostrę i babcię. Chcę znać imię i nazwisko. Nie potrzebuję pomników i dni pamięci. Tylko imiona i nazwiska morderców, i żeby mama, siostra i babcia miały katolicki pogrzeb. Nic więcej".

Pięścią w twarz

Wuj, w przeciwieństwie do dziadka, wielokrotnie jeździł w rodzinne strony. Do końca życia mówił po ukraińsku – czyli w języku, w jakim rozmawiało się wówczas na ulicy i podwórku – czytał ukraińskie książki, utrzymywał kontakt z mieszkającymi w rodzinnej wsi Ukraińcami.

W pamięć zapadła mi też opowieść mojego przyjaciela, którego ojciec przeżył masakrę na samym Wołyniu. Otóż wspominał on, że kiedy jeszcze przed wojną pracujący w gospodarstwie Ukrainiec wchodził do ich domu i odzywał się po ukraińsku, dostawał od polskiego gospodarza pięścią w twarz. Nie dziwię się, mówił ojciec przyjaciela, że oni nas tak znienawidzili.

Pięć lat po debiucie opublikowałem „Bóle fantomowe" – drugą powieść, w której również znalazły się przetworzone rodzinne wątki kresowe, tym razem w odniesieniu do utraconej krainy dzieciństwa, bez najmniejszej wzmianki o zbrodniach UPA. Kiedy w latach 2020-2021 odwiedziłem kilka bibliotek, na spotkaniach autorskich często padały pytania na granicy pretensji, dlaczego nie napisałem wprost, co tam się wydarzyło. Choć spotykałem się mniej więcej z podobną publicznością, zmiana nastrojów była widoczna gołym okiem.

Dziś w dyskusji o zbrodni wołyńskiej dotarliśmy na skraj wojny. Używam słowa „wojna" świadomie – zamiast czołgów i rakiet wysyłamy na front niedouczonych i cynicznych polityków, zamiast pocisków – posty w mediach społecznościowych, a ostatnio również bijemy ukraińskich nastolatków pięścią w twarz. Tylko dlatego, że są Ukraińcami.

Tymczasem zarówno politycy, jak też wtórująca im, rosnąca w przerażającym tempie ksenofobiczna i zmanipulowana przez rosyjską propagandę publika – krzywdzą nie tylko Ukraińców, których w 2022 r. sami do siebie zaprosiliśmy. Krzywdzą też ostatnich ocalałych z rzezi wołyńskiej oraz pielęgnujących rodzinną pamięć potomków. To ich i nasze emocje były przez dekady, również przez polskie elity, ignorowane, teraz natomiast zostały nam skradzione i użyte w moralnie złych celach.

Dialog dla zmian

Gdyby dyskusję z Ukraińcami o historii oprzeć na pamięci prawdziwej, a nie zmyślonej, podbitej ksenofobią i propagandą, to moglibyśmy nie tylko zawstydzić pozbawionego empatii wobec polskich doświadczeń Wołodymyra Zełenskiego, ale przede wszystkim moglibyśmy prowadzić realny dialog. I przynajmniej zainicjować realne zmiany świadomości w ukraińskim społeczeństwie, które w znaczącej części łudzi się, że jak się jedną ręką walczyło z Sowietami, to drugą można było mordować Żydów, Polaków i Białorusinów.

Kierując się pamięcią prawdziwą, moglibyśmy asertywnie domagać się prawa do godnego pochówku zamordowanych, bez wyrażania pogardy wobec naszych ukraińskich sąsiadów, z którymi często pracujemy i dzielimy publiczną przestrzeń. Gdyby polskie elity liberalne nie uciszały patriarchalnie rodzin kresowych, zawsze wypominając im „zły czas" i „rozdrapywanie ran", być może prawicowa propaganda nie przesłoniłaby pamięci prawdziwej.

Bo w pamięci wielu ocalonych z banderowskiej rzezi centralne miejsce zajmują nie obcięte głowy i obdarte ze skóry kończyny, które zobaczyliśmy u Wojciecha Smarzowskiego, ale ukraińscy sąsiedzi, którzy narażając własne życie, ratowali swoich polskich sąsiadów. A takiej pamięci nie pokona ani doraźny polityczny interes, ani najostrzejsza nawet propaganda. ©

Autor jest filologiem klasycznym, rusycystą i pisarzem. Stale współpracuje z miesięcznikiem „Odra".

Polska-Ukraina, impas

Ukraińska jednostka im. Bohaterów UPA, odebranie przez Karola Nawrockiego Orderu Orła Białego prezydentowi Ukrainy, nieobecność Wołodymyra Zełenskiego na gdańskiej konferencji poświęconej odbudowie Ukrainy: stosunki Warszawa–Kijów znalazły się w impasie. Artykuł Jędrzeja Solińskiego to kolejny głos komentujący te wydarzenia.

W poprzednich numerach:

- **WOJCIECH KONOŃCZUK:** Zełenski, który znajduje się dziś w trudnej sytuacji wewnętrznej i potrzebuje jakoś „przykryć" skandale korupcyjne w swoim najbliższym otoczeniu, uznał, że jest gotów zapłacić cenę za pogorszenie stosunków z Polską.
- **ŁUKASZ ADAMSKI:** Spór o jednostkę Bohaterów UPA nie wybuchł w próżni. Pokazał, jak szybko słabnie polska solidarność z Ukraińcami – i jak historia, polityka oraz lęk zmieniają wzajemne relacje.
- **GRZEGORZ MOTYKA:** Przedłużający się spór o ekshumacje wyczerpał cierpliwość społeczną w Polsce. Obowiązujący w latach 2017-2024 zakaz, w sytuacji gdy równolegle trwają bez przeszkód ekshumacje żołnierzy Wehrmachtu i Waffen SS, z każdym rokiem wydawał się nie tylko coraz mniej zrozumiały, ale też rażąco krzywdzący.
- **WOJCIECH PIĘCIAK:** Zełenski zyskał rodzaj „immunitetu". Daliśmy mu go pospołu: Polacy i Ukraińcy. My nawet nie tyle naszym gniewem (zrozumiałym), co właśnie tym orderem. Decyzję prezydenta Nawrockiego można zrozumieć na poziomie emocji, ale ciężko wskazać jej zysk polityczny
- **MARCIN MATCZAK:** Prawica chce być przedmurzem chrześcijaństwa i obrońcą cywilizacji. Ale przebaczenie za Wołyń jest dla niej równie nie do pomyślenia, jak dla Gomułki było przebaczenie Niemcom.

eprasa.pl 1f261a212b

Mądrość w porcelanie

DANIEL ZASADA

DZIECIŃSTWO | Dawniej nie tworzono takich zabawek jak dziś. Misiom nadawało się imiona, wymyślało historię, szyło ubrania, odgrywało role. Teraz dziecko bardziej jest widzem zabawki niż kreatorem jej historii.

MARCIN TUSIŃSKI: Skąd się tu wziąłeś?

DANIEL ZASADA: Ja się w tę kolekcję wżeniłem. Jak na nowoczesne czasy przystało, poznałem żonę przez internet, a spotkaliśmy się na zjeździe grupy graczy w Warcraft. Potem ślub, praca w IT. Po kilku latach małżeństwa teściowie zaproponowali nam poprowadzenie oddziału muzeum, no i od szesnastu lat jesteśmy tutaj.

W Krynickim Muzeum Zabawek powitał mnie wielki chłop, który z pasją opowiada o... lalkach. Zaskoczyłeś mnie.

Zaczęło się od tego, że oprowadzałem pewną grupę po muzeum i przez 45 minut nie wychodziliśmy z jednego pomieszczenia – przyszli drugi raz po więcej. Kiedyś pracowałem tu „z ukrycia": admin, rozliczenia, organizacja. Uważałem się za introwertyka, bo lubię posiedzieć w domu sam, ale kiedy zacząłem opowiadać klientom o ekspozycji, zakochałem się w tym. Sprowadziłem do muzeum komputery i klocki LEGO, bo w dzieciństwie o nich marzyłem, a nie miałem.

Lalkami zafascynowałem się dzięki teściowej, Marii Ozierańskiej, która od dziecka uwielbiała tę estetykę: stroje, zabawki, z którymi dorastała w poniemieckim domu na Pomorzu Zachodnim. Zaczęli tworzyć kolekcję wspólnie z mężem, a z czasem narodził się pomysł, by nadać jej szerszy sens i podzielić się nią z innymi. Po Kielcach i Karpaczu to było trzecie takie muzeum w Polsce. Teściowa z wielką pasją zwracała mi uwagę na elementy, których nie widać gołym okiem.

Jakie?

Zamiast smutnej z pozoru twarzy zacząłem dostrzegać detale i subtelności, które zdradzają ręczną pracę i ogromny kunszt dawnych twórców. Dzięki temu zabawki do dziś potrafią opowiadać swoją własną historię.

Rozmawiamy na terenie dawnego zaboru austro-węgierskiego. Większość z zabawek bardzo odpowiada duchowi tamtej epoki.

Wystawa zaczyna się od eksponatów z początku XIX wieku, ponieważ przed erą industrialną tego rodzaju przedmioty były zazwyczaj dziełem przypadku. Rzeźbiarze, garncarze, stolarze robili je przy okazji swojej pracy. Zabawka powstawała zazwyczaj jako efekt uboczny wyrobu np. przedmiotów sakralnych.

Czy zabawki służyły utrwalaniu ról społecznych?

Najczęściej tak. Dzieci uczyły się poprzez naśladownictwo czynności wykonywanych przez rodziców, którzy traktowali je jak małych dorosłych. Szczególnie na wsi. Ojciec był leśniczym, rolnikiem albo cieślą, więc syn naśladował to, co robił, bo rodzic nie poświęcał mu uwagi. Dla dziewczynek lalka była natomiast przedmiotem przygotowującym je do roli matki.

Zabawki pojawiały się jednak od święta, np. podczas odpustów. Ta tradycja przetrwała zresztą do dzisiaj.

Kiedy nastąpił przełom w ewolucji zabawkarstwa?

Era industrialna stworzyła nową klasę społeczną. Pojawili się właściciele fabryk i zamożniejsi pracownicy. Rozkwitł handel, bogacili się sklepikarze, hurtownicy. Rosły armie, a z nimi zastępy rodzin oficerskich. Mieszczanie stawali się siłą, także nabywczą. Ludzie zaczęli chodzić do teatru, kupować dzieciom ubrania, dawać wykształcenie. W ślad za tym pojawiły się fabryki i sklepy, które specjalizowały się w sprzedaży zabawek.

Drogie porcelanowe lalki były jednak wciąż towarem z górnej półki. Kosztowały mniej więcej tyle, ile dzisiaj porządna elektryczna hulajnoga.

Wasze zabawki, zarówno dla dziewczynek, jak i chłopców, mają poważne miny i poważne stroje. Z czego to wynika?

Ludzie często zwracają na to uwagę. Uśmiech uważany był w tamtych czasach za wyraz frywolnego flirtu. Odbiorcy mieli wymagania stosowne do pochodzenia klasowego. W modzie była bladość, zupełne przeciwieństwo Moulin Rouge. Dlatego te lalki mają ledwie widoczne rumieńce, smutne oczy, lekko rozwarte usta.

Jakby były kupowane bardziej dla rodziców niż dla dzieci?

To jest największa różnica pomiędzy tamtymi a obecnymi czasami. Dzisiaj dzieci się słucha, rozmawia z nimi, często spełniamy ich zachcianki. Sto lat temu to nie było na porządku dziennym, nawet w wyższych sferach. Lalki miały podobać się mamom, babciom.

Czuję tu oddech purytanizmu epoki wiktoriańskiej.

Między innymi. Różnice pomiędzy rynkiem germańskim a Francją czy Anglią były jednak spore. Niemcy byli bardziej techniczni, uwielbiali użytkowość. Francuzi stawiali na modę. Anglicy z kolei kochali pokoiki dla lalek i wielkie domki.

Mamy tu kilka pamiętników osób, które wychowywały się z zabawkami w tamtych czasach. Można się z nich dowiedzieć, że w dobrych domach guwernantki wydawały dzieciom te przedmioty tylko na czas zabawy. Na co dzień stały wyeksponowane na szafie czy komodzie.

Jak wyglądała produkcja zabawek?

Największą trudnością było stworzenie porcelanowych główek. Rzeźbiarz robił prototyp, potem powstawała forma i dopiero główki. Wszystko było ręcznie malowane. Nie oszczędzano na materiałach: lalki wzbogacano elementami dekoracyjnymi w postaci prawdziwych kolczyków, wisiorków czy broszek. Buty szyto z prawdziwej skóry. Korpusy tworzono najczę-

eprasa.pl 1f261a212b

NATALIA KARPIENKO

Porcelanowe lalki z XIX wieku, zbiory Muzeum Zabawek w Krynicy

ściej z celuloidu, bo był wytrzymały, lekki i pusty w środku. W naszej kolekcji posiadamy lalkę, która ma ponad 90 centymetrów wzrostu, czyli tyle, co przedszkolak.

Do lalek z czasem zaczęły powstawać pokoiki, domki, różne akcesoria...

One rozwijały się osobno od lalek. Szczególnie dużo było wśród nich sklepików, w których sprzedawcami byli faceci. Budowano też imitacje aptek itd. Na mnie osobiście największe wrażenie zrobił sklep rzeźnika, super realistyczny zakład z XIX wieku. Z tyłu była biała ściana, półtusze i bardzo dużo koloru czerwonego...

Mnie bardzo zaskoczyła gablota, w której stoją maszyny przemysłowe w skali mikro.

Dziewczynki już w XIX wieku otrzymywały funkcjonalne zabawki. Pojawiły się więc kuchenki opalane spirytusem, małe żelazka z duszą na węgiel oraz maszyny do szycia, które rozwijały potrzebne im umiejętności.

Przedmioty miały też wartość edukacyjną. Podczas rewolucji industrialnej brakowało wykwalifikowanych fachowców, a maszyna parowa, która napędzała tamte czasy, przerażała większość społeczeństwa. Ludzie przy pierwszym kontakcie z lokomotywą lub maszyną w fabryce uciekali. Potrzebna była gruntowna zmiana edukacji. Mamy tu model w bardzo małej skali, który działa dokładnie tak samo, jak pełnoprawna maszyna w fabryce. To się sprawdziło.

Wśród chłopięcych zabawek nie dominują jednak apteki i maszyny, lecz żołnierzyki, strzelby i czołgi.

Ciężko jest znaleźć w historii Europy okres, w którym panował względny pokój. Realia wojny były w pewnym sensie codziennością. Duża część społeczeństwa musiała służyć w armii, więc siłą rzeczy zabawki pomagały oswoić tamtą rzeczywistość.

Sporo tu również czarnoskórych postaci, przedstawianych, nazwijmy to, z wyższościowej perspektywy.

Ukazywano je z perspektywy typowej dla swojej epoki. W XIX wieku takie lalki często pełniły również funkcję marketingową – miały przyciągać uwagę i podkreślać egzotykę, która wówczas była słabo rozumiana i upraszczana. Dziś patrzymy na te obiekty jak na świadectwo ówczesnych wyobrażeń i stereotypów, a nie jako wzorce do naśladowania. Jest z nimi trochę tak, jak ze słynnym Murzynkiem Bambo w PRL.

Co zabawki mówią o modelu wychowania dziecka w Polsce Ludowej?

Przed wojną mieliśmy fantastycznych wytwórców i fabryki, które specjalizowały się w wąskich dziedzinach zabawkarskich: produkcji pokoików, misiów pluszowych lub pojazdów dla chłopców. Ta tradycja jakimś cudem przetrwała wojnę i istniała długie lata. Kiedy nadszedł okres kryzysu, strajków, a potem stan wojenny, zaczęło wszystkiego brakować. Zabawki stawały się jednokolorowe, bez żadnych „wodotrysków". Pojawiły się za to akcesoria „zrób to sam" – dostajesz kawałek drewna i budujesz. Przy pomocy zabawek wprowadzano dzieci w meandry modelarstwa, uczono młotkować, piłować, robić coś z niczego.

Tak samo było na wsi i w mieście?

Pochodzę z rodziny wiejskiej i choć moje dzieciństwo nie było kolorowe, to było prawdziwe. Obserwowałem też, jak ono wyglądało u moich rówieśników. Dla wielu z nich codzienność oznaczała ciężką pracę od wczesnego rana – wstawali o piątej, zajmowali się zwierzętami, o siódmej szli do szkoły, a po powrocie czekały na nich te same obowiązki. Poza uczęszczaniem do szkoły ich dzieciństwo niewiele różniło się od realiów znanych z wcześniejszych epok.

W podziemiu muzeum stoją fascynujące gabloty wypełnione lalkami Barbie, Coltami i Winchesterami.

Powojenne nastolatki z czasem coraz rzadziej widziały swoją przyszłość wyłącznie w roli żony czy matki. Fascynowało je to, co oglądały w kinie i na estradzie – moda, muzyka i swoboda obyczajowa, które niosły z sobą powiew emancypacji. To czas Marilyn Monroe i kultury popularnej, która szybko zaczęła oddziaływać na cały świat. Podczas gdy u nas dominowało podejście „zrób to sam", młodzież w USA naśladowała ekranowe wzorce, np. Jamesa Deana.

Komercja wdarła się na rynek dziecięcy, bo zwęszyła nowego konsumenta?

Barbie nie powstała jako wynalazek komercyjny. Ruth Handler, która ją wymyśliła, tak naprawdę przerobiła pomysł z niemieckiego komiksu dla dorosłych z gazety „Bild", którego główna bohaterka nazywała się Lili. Pani Handler zabrała do Stanów Zjednoczonych zabawkę ↦

eprasa.pl 1f261a212b

↦ stworzoną na podstawie komiksu, troszeczkę ją zmodyfikowała i na tej podstawie stworzyła prototyp lalki Barbie. Tym samym zrewolucjonizowała rynek pomysłem na stworzenie postaci młodej kobiety. To już nie był niemowlak czy dziecko.

Nadal jednak zabawki wyraźnie dzieliły płcie.

Tak, aż do powstania Gwiezdnych Wojen i innych wyimaginowanych światów z wielkiego ekranu. Wtedy też komercja wdarła się pod strzechy.

George Lucas zbił fortunę nie tyle na filmach, co na sprzedaży gadżetów z nimi związanych.

Nie tylko on. W Stanach Zjednoczonych zabawka służyła coraz częściej celom niezwiązanym z okresem dzieciństwa. Dla przykładu, po traumie II wojny światowej spadało zainteresowanie karierą w wojsku, podczas gdy Amerykanie mieli wielkie aspiracje i potrzebowali żołnierzy, choćby w Wietnamie. Odpowiadała na to w latach 60. XX wieku kolekcja G.I. Joe. Amerykański super-żołnierz i wyzwoliciel świata, który wszystko potrafi, wszędzie pojedzie i zawsze wygrywa.

Mieliśmy więc żołnierzyki na półce, kolty przy pasie, z których można było „strzelać" do innych dzieci, G.I. Joe, a w końcu dzisiejsze gry komputerowe, które polegają na rozwijaniu strategii „zabijania" na ekranie.

Jestem graczem od lat 80. i obserwowałem, jak gry zmieniały się na przestrzeni dekad. Wiele zjawisk związanych z nimi bywało jednak demonizowanych, a z czasem okazywały się mniej groźne, niż początkowo sądzono. Sporo zależy od kontekstu, sposobu wykorzystania i narracji stworzonej wokół danej formy rozrywki. Problemy rodzi w dużej mierze sposób, w jaki projektowane i rozpowszechniane są dziś treści cyfrowe. Brak realnej kontroli nad tym, co trafia do najmłodszych odbiorców, stał się jednym z poważniejszych wyzwań współczesnego świata.

Również zabawkarskiego?

Tak. Skończył się czas zabawki kreatywnej, wymyślonej od początku do końca. Oryginalne lalki czy planszowe

NATALIA KARPIENKO

DANIEL ZASADA wraz z żoną Anią prowadzi Muzeum Zabawek w Krynicy. Z wykształcenia jest informatykiem, z pasji – historykiem zabawek oraz przewodnikiem po muzeum.

gry strategiczne sprzedają się coraz słabiej. Gadżety filmowe to zaś dobry przykład odtwórczego wykorzystywania pomysłów, żeby tylko sprzedać produkt. Dzieci lubią Fortnite'a, zrobimy zabawki z Fortnite'a; lubią Star Wars, zrobimy im figurki bohaterów tej sagi. Dawniej nie tworzono takich zabawek. Zwykłym misiom nadawało się imiona. Wymyślało historię, szyło ubrania, odgrywało role. Dzisiaj te role odgrywane są za nas.

Dzieci odgrywają przecież role – wojowników, modelek.

Dzisiejsze dziecko bardziej jest widzem zabawki niż kreatorem jej historii. Na przykład kosztowne klocki LEGO są odkładane na półkę tak szybko, jak się je złoży do kupy. Dzieci natychmiast żądają nowych modeli, ale przychodzi taki czas, że rodzice mówią: „Dosyć! To jest bardzo droga zabawka i się masz nią bawić". A dzieci już tego nie potrafią.

Doszliśmy do momentu, w którym dzieci coraz rzadziej bawią się swobodnie, bez gotowego scenariusza – i to jest duża zmiana w porównaniu z wcześniejszymi pokoleniami. Pochodzę z rodziny, w której zabawek było niewiele, więc dużo rzeczy wymyślaliśmy sami. To doświadczenie mocno wpłynęło na moje myślenie o zabawie. Jednak w niektórych z nas zostawiło przekonanie, że jeśli damy naszym dzieciom to, czego sami nie mieliśmy, podarujemy im szczęście. Tymczasem największym szczęściem dzisiejszego świata jest darowanie uwagi. Żadna gra nie zastąpi nam wspólnie spędzonego czasu. Warto na nowo uczyć dzieci zabawy, żeby zabawki nadal spełniały swoją rolę.

Co to znaczy?

Czasami mam wrażenie, że utraciliśmy pomysły, jak wykorzystać zabawkę do nauki, poza pierwszym etapem życia dziecka. Cezurą jest przedszkole tuż przed pierwszą klasą. Dotąd dzieci wciąż mają dzieciństwo, o ile nie jest ono zdominowane przez telefon. Od momentu, kiedy dziecko wchodzi do szkoły, otwiera się przed nim inny świat.

Przekazujemy je pod opiekę technologii, a my w tym samym czasie pracujemy?

Kiedyś też tak było, tylko robiliśmy inne rzeczy. Szliśmy na pole, do fabryki. Nie mieliśmy telewizora, nie mieliśmy gier, więc musieliśmy być bardziej kreatywni. Dzisiaj częściej wybieramy rozwiązania szybsze i prostsze, bo żyjemy w innym tempie niż kiedyś. Technologia jeszcze pogłębia te problemy.

Nieobecni rodzice wychowują nieobecne dzieci?

Sposób, w jaki ewoluował rynek zabawkarski, mówi więcej o tempie i stylu naszego życia niż o samych dzieciach. Coraz częściej technologia przejmuje rolę, którą dawniej pełniły zabawki – zwłaszcza wtedy, gdy brakuje nam czasu.

Czy dlatego jesteśmy w tym muzeum?

Nie zgadniesz, co najbardziej przyciąga do nas ludzi z pokolenia 60 plus. To klasa szkolna z okresu PRL. Część z tych ludzi nie miała dzieciństwa, ale mieli szkołę. To jest nieoderwalna część doświadczenia rodziców i dziadków. Ludzie przychodzą tutaj dla dzieci, ale także z tęsknoty za minionym. Wychodzą z uśmiechem, czasami ze łzami w oczach. Dzieci są zadowolone, bo zobaczyły część dzieciństwa rodziców, a rodzice – bo zajrzeli w ich świat.

Dlatego myślimy już o kolejnych pokoleniach i tych, którzy odwiedzą nas w muzeum za kilka lat. Świat wciąż się zmienia, a zabawki razem z nim. To wszystko nie byłoby możliwe bez kolekcjonerów: ludzi, którzy przez lata ratowali, zbierali i opisywali z ogromną dbałością te przedmioty, traktując je jak część dużo większej historii.

© Rozmawiał MARCIN TUSIŃSKI

eprasa.pl 1f261a212b

OLGA

Drenda: *Nareszcie ktoś to powiedział*

Nie jest przyjemnie udowadniać, że nie jest się wielbłądem, choć jest to bagaż, z którym trzeba się liczyć, publikując cokolwiek pod własnym nazwiskiem. Np. „Tygodnik Powszechny" budzi przeróżne skojarzenia, co wiąże się z możliwością zostania posądzonym o jakieś zaetykietowane poglądy. Są to często skojarzenia, na które sama bym nie wpadła, i bardzo ode mnie samej odległe, ale trzeba z tym jakoś żyć – wbrew różnym mitom ludzie pióra nie mają jakiegoś wszechmocnego wpływu na ludzkie umysły. To zresztą dobrze, bo warto mieć swój własny.

No właśnie – swój własny. Tak czasami, w starych, zagrzybiałych latach dziewięćdziesiątych i zerowych, ludzie odpowiadali na pytanie o przekonania polityczne, dotyczące wiary itp. Jakie masz poglądy? Moje własne (albo czasami mniej dyplomatycznie: to nie pański interes; czy: to wolny kraj i mogę myśleć, co mi się podoba). Czasem stało za tym wcale niegłupie przekonanie, że niektóre rzeczy to istotnie sprawa osobista, a czasem faktycznie satysfakcja z tego, że samodzielnie, drogą doświadczeń, rozmów, czytania albo po prostu myślenia kształtowało się swój horyzont opinii, nawet jeśli niespójny czy naiwny.

Z powodu zawodowego zainteresowania codziennością minionych dekad bywam posądzana o nostalgię, co akurat nie jest prawdą – wcale nie uważam, że kiedyś żyło się lepiej. Są jednak dwie rzeczy, które przeniosłabym z lat dziewięćdziesiątych do dziś. Po pierwsze, chciałabym, żeby dziś muzyka była tak samo ważną częścią codziennego życia. A po drugie – właśnie tę dumę z własnoręcznie kleconej niezależności umysłu, połączonej ze zdolnością „wybierania swoich bitew", bo nie na wszystkich frontach da się walczyć naraz, i machaniem ręką na niektóre sprawy (dla referencji polecam włączyć sobie stary przebój T.Love, „I love you").

To już samozaszufladkowanie się

OLGA DRENDA

Pojęcie indywidualizmu ma ostatnio złą prasę. Być może zmienia się jego odcień znaczeniowy i używane jest inaczej: bardziej niż „samodzielność, niezależność myślenia i postępowania" spotyka się je w kontekstach sugerujących egocentryzm i niezdolność do współpracy. Słowa także ewoluują i czasem wobec osiągnięcia jakiejś masy krytycznej pozostaje się przyzwyczaić. Ale samej postawy – nieważne, jakiego nowego imienia się doczeka – zamierzam bronić – bo zbyt łatwo przychodzi porzucanie samodzielności i odpowiedzialności za swoje czyny, postawa „niech ktoś coś". Pomoc umysłu roju się przydaje, gdy trzeba przeprowadzić burzę mózgów, zasięgnąć rady – ale wielu decyzji delegować nie można i są chwile, gdy trzeba przede wszystkim ufać sobie.

Mówi się, że ludzie teraz o wszystko się kłócą, ale jednocześnie dzieje się coś innego, pewnie ciekawszego niż taka inscenizacja wiersza Brzechwy „Na straganie" – obawa przed wypracowaniem sobie własnego zdania i niepewność co do niego. Obserwuję to w dyskusjach o książkach czy filmach: „dobrze, że wypowiedziałaś swoje zdanie, bo już myślałam, że to ze mną jest coś nie tak, skoro ten film mi się nie podobał". „Nareszcie ktoś to powiedział". („A Ty nie mogłeś?" – nasuwa się pytanie).

To uzależnienie od poczucia pewności, od tego, że musi odpowiedzieć nam jakieś echo, tak jakby własna myśl nie miała żadnej prawomocności – nawet dla nas samych. Albo impuls szufladkowania, który próbuje się czasami opakować w ładną, nowoczesną nazwę „efektywności", podczas gdy skrywa przykrzejszą rzeczywistość narażania na lenistwo umysłowe. Niektórzy mądrzy skądinąd specjaliści czasami bronią swojego przekonania o słuszności szufladkowania, powołując się na ewolucję („gdybyś nie szufladkował w paleolicie, to byś umarł w butach z mamuta!"), ale chyba mylą przy tym ewolucję, czyli proces, z przeznaczeniem wyrytym w kamieniu, albo wpadają wprost pod „gilotynę Hume'a" – bo tak czasami w filozofii nazywa się rozstrzyganie między „jest" a „być powinno". Ale także, być może i niestety, to obrona przed tym, by nie musieć się zastanawiać.

A zatem wywołując dysonans poznawczy, robisz dobry uczynek, bo chronisz umysły przed popadnięciem w marazm. Można zacząć od spraw prostych i mało inwazyjnych: jedno ze wzgórz, na których ludzie nie wiedzieć czemu lubią ginąć, to formy gramatyczne i słowotwórstwo. Zatem na pytanie: „czy wolisz mówić, że ta pani to mój »gość«, czy moja »gościni«?" możemy odpowiedzieć: „mnie jest to obojętne, jak ona woli". „A jak sama wolisz być nazywana?" – tu zgodnie z prawdą również odpowiadam, że także jest mi to absolutnie obojętne, bo w Polsce jak kto chce. I już pyszna zabawa w szufladkowanie popsuta. Znów trzeba wziąć pod uwagę, że nie wszystko jest oczywiste. No masz ci los... ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl 1f261a212b

PSYCHE

TRZEBA SIĘ ZAMKNĄĆ. I BYĆ

HANIA I BŁAŻEJ KMIECIAKOWIE, CÓRKA I OJCIEC,
opowiadają o nastolatce zamkniętej w pokoju, o depresji, zdrowieniu i odzyskiwaniu relacji.

ANNA GOC: Kiedy zaczęliście zauważać, że dzieje się coś niepokojącego?

HANIA KMIECIAK: Na długo przed diagnozą. Przez otoczenie byłam odbierana jako osoba energiczna i radosna, a gdy wracałam do domu, zamykałam się w pokoju. Czułam smutek, niezależnie od tego, co się działo. Potem zaczęły się problemy w nauce. Trudniej było mi się skoncentrować, miałam coraz mniej siły. Powoli wszystko zaczęło się sypać. Wtedy nie mówiło się publicznie o depresji. Wydawało mi się, że jestem po prostu dziwna.

BŁAŻEJ KMIECIAK: Pamiętam moment, kiedy to pękło. Hania była w siódmej klasie. Mieliśmy trudną relację, dużo negatywnych emocji było między nami. Wtedy po raz pierwszy trafiliśmy pod opiekę psychiatry. Zawsze myślałem, że jako pedagog specjalny, zafascynowany psychiatrią, zauważę, że dzieje się coś niepokojącego u najbliższej mi osoby. A nie zobaczyłem nic.

Gdy się umawialiśmy na to spotkanie, powiedziałaś, Haniu, żeby o kryzys psychiczny pytać wprost, nie bać się o nim rozmawiać.

HANIA: Przez te wszystkie lata, kiedy chorowałam, potrzebowałam rozmawiać o tym, co czuję. Wiedziałam, że to mi pomoże albo chociaż uświadomi innym, co u mnie. Nie oczekiwałam pomocy od znajomych czy rodziny, bo oni nie są lekarzami, chciałam, żeby mnie wysłuchali. Spotykałam się z różnymi reakcjami, ale nie było w nich wsparcia.

A co było? Niezrozumienie?

HANIA: Najgorzej reagowali dorośli. Nauczyciele, opiekunowie na wyjazdach z oazy, księża. Bagatelizowali to, co się u mnie działo, nie traktowali tego, co mówię, poważnie. Często słyszałam, że próbuję zwrócić na siebie uwagę. Że zachowuję się jak „gwiazda".

Gdy dostałam diagnozę, odetchnęłam z ulgą, bo wydawało mi się, że jeśli coś jest nazwane, to mamy konkretne działanie, które trzeba podjąć, i depresji nie będzie. Okazało się, że trwała przez następnych siedem lat.

BŁAŻEJ: Hania weszła wtedy w etap tzw. buntu młodzieńczego i tak traktowałem niektóre jej zachowania – jako „niegrzeczne". A okazało się, że strasznie cierpiała. Miałem wiele żalu o to do siebie. Dla mnie, jako taty, to też był trudny moment, bo chciałem widzieć siebie jako ojca w lepszym świetle, niż byłem w rzeczywistości.

Jak myślałeś o sobie jako ojcu?

BŁAŻEJ: Nie miałem wzoru ojca, bo z moim tatą byłem zawsze skonfliktowany. Przez większość życia nie mieliśmy kontaktu, a jeśli, to taki, którego nie rekomendowałbym nikomu. Próbowałem więc zbudować własny wzorzec ojca.

I jaki on miał być?

BŁAŻEJ: Oparty na normach. I to najlepiej tych, które wyznaczał Kościół katolicki. Przez długi czas obserwowałem moich starszych kolegów, którzy mieli wspaniałe rodziny, funkcjonowali w trybie ustalonych wartości. Byli pięknymi ojcami.

To znaczy?

BŁAŻEJ: Znali odpowiedzi na wszystkie pytania. Ojciec miał być osobą, która pokazuje dziecku, czym jest dobro, a czym zło. Taki starałem się być. I przez długi czas uważałem, że jestem zarąbistym tatą. Choroba Hani, jej cierpienie i to, że przez długi czas tego nie zauważyłem, bo patrzyłem głównie na siebie i na to, jakim jestem tatą, nauczyła mnie, że czasem trzeba się zamknąć. Była czerwonym światłem. I nadal jest – gdy teraz czasami znów wchodzę w rolę ojca, któremu wydaje się, że wie lepiej, robię stop. Zamiast dawać odpowiedzi, zaczynam słuchać. Także tych odpowiedzi, które ma Hania.

Czego brakowało Ci od najbliższych wtedy, gdy zaczął się kryzys?

HANIA: Mało pamiętam z tamtego czasu. Głównie emocje, to, co się działo w szkole. Byłam ciągle spięta i zestresowana. Gdy wracałam do domu, czułam się już na tyle wyczerpana, że szłam do pokoju. Przyglądałam się temu okresowi

FILIP KLIMASZEWSKI DLA „TP"

eprasa.pl 1f261a212b

Hania i Błażej Kmieciakowie. Warszawa, 2 lipca 2026 r.

na psychoterapii i to było bardzo trudne – odpowiedzieć na pytanie, co tam się działo i jak to na mnie wpływało.

Prawie wcale nie pamiętam rozmów z rodzicami. Prawda jest taka, że nie lubiłam ich wtedy. Miałam ich dosyć. Wiedziałam, że mają wzór, jakimi chcą być rodzicami, a ja nie chciałam rodziców z tego wzoru. Ciągle na siebie krzyczeliśmy.

Dzisiaj wiesz, dlaczego krzyczeliście?

HANIA: Krzyczeliśmy, bo nie wiedzieliśmy, jak ze sobą rozmawiać. Miałam dużo wyrzutów do rodziców, głównie o to, że nie słyszą tego, co krzyczę.

Jest taka scena, o której opowiedziałeś, Błażej, przed naszym spotkaniem: Hania jest zamknięta w swoim pokoju, Ty przed jej drzwiami. Najchętniej siedziałbyś obok niej, ale wiedziałeś, że będzie krzyczała, żebyś „wypieprzał" – choć może w głębi chciałaby, żebyś został.

BŁAŻEJ: Depresja, o której mówi Hania, promieniowała na całą rodzinę. Sporo w tamtym czasie zmieniliśmy w naszym życiu. Przeprowadziliśmy się na wieś. Zostałem przewodniczącym państwowej komisji ds. pedofilii, której nikt nie chciał. Byłem głową gdzie indziej. Zaczęła się pandemia, więc byliśmy zamknięci.

Hania wie, że bliską mi osobą był ks. Jan Kaczkowski. Na pytanie, jak rozmawiać z ludźmi, którzy ciężko chorują, odpowiedział, że to ich trzeba zapytać, jak chcą, by obok nich być. I tu pojawia się problem. Bo depresja i cierpienie z nią związane, o którym opowiada Hania, może sprawić, ↦

eprasa.pl 1f261a212b

↦ że chory nie ma siły, żeby powiedzieć, czego potrzebuje. Albo mówi w taki sposób, że to jest niezrozumiałe czy trudne dla jego bliskich.

Depresja nie musi się objawiać jako smutek. To może być agresja, może nam się wydawać, że ktoś się zrobił nagle okropny. Najtrudniejsze w byciu obok jest wtedy to, że relacje nie są łatwe. Pamiętam dokładnie takie momenty, kiedy chciałem się włączyć w życie Hani, a jednocześnie miałem świadomość, że robię to totalnie nieudolnie.

Co wtedy robiłeś?

BŁAŻEJ: Żeby nie oszaleć, szukałem drobnych rzeczy, które są dla nas wspólne.

HANIA: W depresji najgorszy nie jest smutek i samotność, tylko to, że w pewnym momencie nie ma się siły żyć. Nie tylko psychicznie, w ogóle nie ma się siły. W najgorszych momentach nie miałam siły, żeby wstać, nie miałam siły, żeby się umyć, nie miałam siły, żeby zjeść.

Dlatego tak ważne jest to, żeby ktoś obok był. Bo człowiek chory może nawet nie mieć siły, żeby siebie ratować – zadzwonić na telefon zaufania, poprosić o pomoc. Gdy było już źle, moi rodzice zadbali o to, że miałam psychoterapię, wizyty u psychiatry – i dostałam jasny komunikat, że cena nie jest ważna.

Czegoś zabrakło?

HANIA: Zabrakło chyba tego pytania, co jeszcze mogę zrobić? Nie mówię tego, żeby kogokolwiek obwinić. Tylko dlatego, że brak tej świadomości może być tragiczny w skutkach. Jeśli osoba, która ma depresję, idzie do swojego pokoju i mówi: „Nie wchodźcie do mnie! Nie chcę z nikim rozmawiać!", to czasami trzeba to uszanować, ale trzeba być też bardzo czujnym, bo jest granica, w której to zamknięcie się w pokoju może po prostu oznaczać koniec.

I gdybym teraz miała osobę, której jest ciężko, to nawet gdyby mi powiedziała, że nie chce ze mną rozmawiać, to po prostu usiadłabym obok i milczała.

BŁAŻEJ KMIECIAK:

Kiedy zostałem szefem komisji ds. pedofilii, sam miałem poważny kryzys psychiczny. I to Hania była jedną z pierwszych osób, która go dostrzegła.

Pamiętasz ten czas, gdy nie chciałaś, żeby tata wszedł do pokoju?

HANIA: Tak, mówiłam, żeby mnie zostawił. Ale kiedy nie szedł za mną, było mi smutno. Może się wydawać, że to jest atencyjne: „nie idź za mną, ale jednak chodź" – ale tu nie chodzi tylko o uwagę. Chciałam, żeby ktoś powiedział: „Nie musimy rozmawiać, ale jestem tutaj". To bardzo ważne.

Poczucie izolacji dobrze obrazuje porównanie, autorstwa Antoniego Kępińskiego, do człowieka, który jest w głębokiej studni. Docierają do niego głosy radości z zewnątrz. On jednak wie, że nie może się wydostać. Więc te odgłosy wcale mu nie pomagają, wręcz przeciwnie, pogłębiają jego smutek.

HANIA: Pamiętam szczególnie jeden z wyjazdów oazowych. Miałam wtedy codziennie ataki paniki, po których traciłam przytomność. Prawie cały czas leżałam w łóżku. Księża, z którymi wyjechaliśmy, nie pozwalali mi na leżenie. Kazali mi robić to, co inni, a gdy tego nie robiłam, nazywali mnie „gwiazdą". Śmiano się ze mnie. Raz zwlokłam się z łóżka i poszłam na zabawę. Stanęłam między ludźmi i czułam, jak płyną mi łzy. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić.

Innym razem mój ówczesny chłopak, który bardzo mnie wspierał, próbował mi pomóc, mimo że chłopcy mieli zakaz wchodzenia do pokoju dziewczyn nawet w ciągu dnia. Został ze mną, bo straciłam przytomność. Przyszedł jeden z księży i zagroził, że nas wywali z oazy, a mnie po prostu kazał zejść na koronkę. Mimo że straciłam przytomność chwilę wcześniej.

Gdy byłam na tym wyjeździe, najbardziej zabolało mnie to, że wzięłam garść tabletek, bo nie miałam już siły. Inni o tym wiedzieli, ale nikt nic nie zrobił. I mam takie wrażenie, że gdyby mnie już nie było... to byłaby taka reakcja, że faktycznie to zrobiła, miała rację, no trudno, może następnym razem uda nam się to zauważyć.

Dlatego na początku powiedziałam, że najbardziej bolało mnie olewanie tej sprawy przez dorosłych.

Pamiętasz powrót Hani z tego wyjazdu?

REKLAMA

eprasa.pl 1f261a212b

BŁAŻEJ: Pamiętam bardzo dobrze. To był wyjazd oazowy i było dla nas czymś nie do pojęcia, że dziecko doświadczyło ataku paniki, a dorośli nie mieli jakiejkolwiek refleksji z tym związanej.

Potem mieliśmy jeszcze nadzieję – i to brzmi strasznie głupio – że to się już nie powtórzy. Powtórzyło się, także w przypadku naszej młodszej córki. Mam w sobie złość na miejsce, które zawsze definiowałem jako miejsce empatii.

Czyli na Kościół?

BŁAŻEJ: Tak. Rozmawialiśmy o tym z Hanią czasem, że choć dla nas ta perspektywa jest nadal bliska i ważna, to jednocześnie łapiemy się na tym, że takiego bólu i cierpienia ze strony żadnej instytucji moje córki nie doznały, jak ze strony Kościoła.

HANIA: Poza jedną trudną sytuacją w szkole, wszystkie inne krzywdzące miały miejsce w Kościele. Dalej jestem osobą wierzącą. Jednak miałam wrażenie, że dla księży, których spotkałam, temat depresji nie istniał. Nie chcieli w ogóle o tym rozmawiać, unikali tematu jak ognia.

Pamiętam też prelekcję rodziców jednej z moich koleżanek z oazy, którzy opowiadali o wstrzemięźliwości od alkoholu. Padło jedno zdanie, które dosłownie wmurowało mnie w ziemię. Powiedzieli, że psychoterapia jest bez sensu i że wystarczy się pomodlić. Dużo się modliłam, ale jeśli coś nas boli, idziemy przecież do lekarza.

Wracamy do katolickiego wzorca?

BŁAŻEJ: Z pozoru wszystko jest poukładane, mamy rodzinę – porządną, piękną. Bardzo często myślimy jako ludzie wierzący, że jeśli jesteśmy zaopiekowani modlitewnie, chodzimy na msze, do spowiedzi, jesteśmy we wspólnotach, to niepotrzebny nam psychiatra, bo nasze kryzysy ogarniemy duchowo. Choć w naszej rodzinie nigdy nie myśleliśmy, że mogą pomóc nam egzorcyzmy albo msze o uzdrowienie. Chodziliśmy do psychiatry czy psychologa, bo mieliśmy świadomość, że jest potrzebny.

Dla nas największym bólem było to, że miejsce, które powinno patrzeć na człowieka jako na całość, nie było na tyle dojrzałe, żeby spotkać się z kimś, kto doświadcza trudności. Ksiądz mógł powiedzieć: „Haniu, widzę, że się źle czujesz, że potrzebujesz pomocy. Damy ci ją. Być może jednak nie jest to najlepszy moment, żebyś tutaj była, ale jesteśmy z tobą”. Hania nie została w ogóle zaopiekowana w miejscu, które nazywa się wspólnotą.

HANIA KMIECIAK:

Wiedziałam, że potrzebuję leków. A jednocześnie, gdy szliśmy z tatą po korytarzu szpitala psychiatrycznego, widziałam, że on się boi, że ja tu skończę.

Jak to na Was wpłynęło?

BŁAŻEJ: Teraz jak mamy kryzys rodzinny, to już wiemy, że musimy być silni swoimi relacjami, a niekoniecznie oglądać się na to, jakie są normy gdzieś na zewnątrz.

Kiedy zostałem szefem komisji ds. pedofilii, sam miałem poważny kryzys psychiczny. I to Hania była jedną z pierwszych osób, która go dostrzegła. To, co przeżywałem, mogło być namiastką tego, o czym ona opowiada. Pamiętam dobrze zwłaszcza jeden moment – ktoś coś do mnie mówił, a ja czułem, że jestem gdzie indziej. Byłem zupełnie nieobecny.

Dla mnie też było ważne, że w czasie kryzysu nie byłem sam.

Kiedy poczułeś, że potrzebujesz wsparcia?

BŁAŻEJ: O czwartej nad ranem, kiedy obudziłem się z bólem w klatce piersiowej i nie wiedziałem, co się dzieje. Doświadczałem paniki. Bałem się, że policja albo prokuratora wjadą mi rano do domu, bo nie miałem głównej księgowej. Dla większości ludzi to byłaby pierdoła, a dla mnie „być albo nie być”, bo mogłem mimowolnie popełnić przestępstwo.

Przerosło mnie to, co się działo. Wiedziałem, że na każdym polu daję ciała. Czułem, że jestem kiepskim przewodniczącym państwowej komisji ds. pedofilii, bo nie mam drygu lidera. Wiedziałem, że w domu daję kompletnie ciała, bo inaczej umawiałem się z rodziną na obecność. Patrzyłem w lustro i widziałem siebie, którego nie lubię.

I o tym też mogę powiedzieć, że to był najgłupszy moment w moim życiu, bo wtedy nie zdecydowałem się na leki. Nawet gdy znajomy lekarz mówił: „Błażej, musisz wziąć leki”. Myślałem, że sobie z tym poradzę.

Wiedziałeś, jak?

BŁAŻEJ: Wydawało mi się, że moim uduchowionym życiem, modlitwą, spowiedzią poukładam sobie to wszystko.

I co?

BŁAŻEJ: I sobie nie poukładałem, przez szereg lat. To była jedna z najgłupszych rzeczy, jakie mogłem zrobić. Pomyśleć, że sam z tego wyjdę. I nie mówię tego jako mędrzec – po prostu wiem, że gdybym wziął leki, wiele rzeczy poukładałbym sobie w życiu wcześniej i być może mniej bym schrzanił.

Zmierzam do tego, że kwestia farmakoterapii jest ważna w kryzysach psychicznych. Gdy pierwszy raz poszliśmy z Hanią do psychiatry, lekarka powiedziała, że być może będą konieczne leki. I wtedy we mnie też był bunt.

Dlaczego?

BŁAŻEJ: Moja młodsza siostra, która jest osobą z niepełnosprawnością intelektualną i z rozpoznanymi zaburzeniami psychotycznymi, brała leki jako dziecko. Dawno, na początku XXI w. Leki ją zmieniły. I we mnie to się tak wgrało, że kiedy usłyszałem, że Hania może brać leki, to powiedziałem, że nie chcę tego dla niej.

Moja koleżanka lekarka powiedziała mi wtedy: „Błażej, nie ty zdecydujesz o tym, czy twoja córka weźmie leki”.

Jak to przyjąłeś?

BŁAŻEJ: Mnie się wydawało, że prawem ojca jest decydowanie o leczeniu dziecka. Przecież wiem lepiej, bo Pan Bóg mi dał taką misję, nie? I to ja będę spowiadać się przed Bogiem, kiedy pójdziemy do nieba. A lekarka powiedziała wprost: „Błażej, to twoja córka zdecyduje, nieważne, ile ma lat. Bo to kwestia jej stanu zdrowia”.

Punkt zwrotny także dla Waszej relacji?

BŁAŻEJ: Tak, to było bardzo potrzebne.

HANIA: Ale ostatecznie to nie ja zdecydowałam, czy mogę wziąć leki. I to jest też rzecz, o którą mam żal, bo bardzo ↦

eprasa.pl 1f261a212b

↦ chciałam je wziąć. Wiedziałam, że ich potrzebuję. A jednocześnie, gdy szliśmy z tatą po korytarzu szpitala psychiatrycznego, widziałam, że on się boi, że ja tu skończę. Ale nie dlatego, że jest coś złego w szpitalu, tylko że mój tata ma z tym szpitalem do czynienia od lat i wie, jaki to jest ogromny ból – choroba psychiczna.

A Ty? Co wtedy myślałaś?

HANIA: Byłam w takim momencie, że chciałam położyć się do szpitala. Jednego wieczoru w domu nie miałam już tak bardzo siły, że zaczęłam krzyczeć i się popłakałam. Powiedziałam, że natychmiast chcę wziąć leki albo pójść do szpitala. Miałam wtedy prawie 16 lat. Leki chciałam wziąć, gdy miałam 13. Więc uważam, że gdybym te leki...

Wokół tabletek na depresję jest sporo mitów. Wiedziałam, że rodzice obawiają się, że leki mnie zmienią. Z drugiej strony – ja się chciałam zmienić. Chciałam zmienić to, co nie dawało mi funkcjonować. Nie czułam kontroli nad chorobą, to choroba kontrolowała mnie. Teraz te leki już nie są takie, jak były na początku XXI w. Choć mnie sporo czasu zajęło ich dopasowanie. Biorę je od czterech lat, zmieniałam – osiem razy, żeby dobrać najlepsze. Warto też podkreślić, że leki nie są po to, żeby poprawić komuś nastrój, jeśli przez chwilę czuje się źle. A jest taki trend.

Jak na bazie tego, czego doświadczyliście, możecie ocenić system wsparcia osób w kryzysach psychicznych?

HANIA: Na terapię i do psychiatry chodzę prywatnie. Jeśli z jakiegoś powodu nie mogę iść, nie zawsze udaje się znaleźć inny termin w krótkim czasie, co pokazuje, jak duże jest zapotrzebowanie na psychoterapię i jak ciężko się na nią dostać. Na szpitalną wizytę idę w lipcu, ale rezerwowałam ją w ubiegłym roku. Gdy teraz próbowałam się zapisać, następny termin był na rok 2027.

Jednocześnie, gdybym w pewnym momencie nie poszła do lekarza, to jestem pewna, że nie byłoby mnie tutaj. Trzeba być bardzo czujnym, żeby nie przegapić sytuacji.

BŁAŻEJ: Jestem w tym środowisku i wiem, gdzie zadzwonić po pomoc. Ale prawda jest taka, że gdybym nie miał tego doświadczenia, to tam, gdzie teraz mieszkamy, właściwie nie mielibyśmy miejsca, do którego moglibyśmy się udać po pomoc. Jakiś czas temu zamieściłem post o wizycie Hani u psychiatry przez telefon, która trwała ile? Cztery minuty?

HANIA: Najkrótsza – poniżej minuty. Lekarz wypisał mi receptę przez telefon. Wizyta kosztowała 400 zł. Za jakiś czas będę chciała zejść z leków i szczerze powiedziawszy nie wiem, gdzie iść, żeby to zrobić dobrze. I tak jestem w lepszej sytuacji, bo już wiem, gdzie zadzwonić, i mam wsparcie finansowe rodziców. Ale co by było bez tego? Nie mam pojęcia. Prywatna godzinna terapia raz w tygodniu – 300 zł. Jeśli potrzebuję leków na sen, kolejna wizyta u lekarza. Wszystko to kosztuje ogromne pieniądze. I to jest bardzo niesprawiedliwe, nie ma nic wspólnego ze wsparciem.

Z badań wynika, że ponad osiem milionów osób w Polsce doświadczyło kryzysu psychicznego. To oznacza, że w większości naszych domów mamy sytuacje, w których my albo nasi bliscy szukają wsparcia. Tym razem chciałabym zapytać Błażeja Kmieciaka jako koordynatora do spraw ochrony zdrowia psychicznego w Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich, którym jesteś od ponad roku: co musiałoby się zmienić, by system wsparcia osób w kryzysach psychicznych działał lepiej?

BŁAŻEJ: Jeśli słyszę od córki, że psychiatra wypisał jej leki w czasie minutowej rozmowy przez telefon i wziął za to 400 złotych, to szlag mnie trafia. I nie chodzi tylko o pieniądze. Mnie na prawie medycznym uczono, że lekarz powinien przebadać pacjenta. A nie traktować osobę, która potrzebuje pomocy, jak – przepraszam – kolejnego bota. Myślę, że to musi się zmienić.

I musimy wiedzieć, gdzie możemy uzyskać fachową pomoc. Ważne, by pojawił się „ktoś trzeci", kto wesprze rodzinę. I by ten ktoś był dostępny na poziomie lokalnym. Nie wiem, czy Hania się z tym zgodzi, ale to nie musi być od razu psychiatra. To może być lekarz rodzinny, psycholog szkolny, ktoś, kto nas wysłucha i wskaże, gdzie możemy szukać pomocy. Jesteśmy w Krakowie, nieopodal jest Stowarzyszenie Rozwoju Psychiatrii i Opieki Środowiskowej „U Pana Cogito", które włącza osoby w kryzysie i ich bliskich we wspólny proces. I to właśnie psychoterapia środowiskowa jest tym, co najbardziej wspiera.

Centra Zdrowia Psychicznego nie zmieniły sytuacji?

BŁAŻEJ: Kiedy na granicy województwa łódzkiego i mazowieckiego szukałem pomocy, to okazało się, że jej tam nie ma.

HANIA: Próbowałam zapisać się do dwóch Centrów, które są najbliżej naszego nowego domu. Usłyszałam, że jeśli nie jestem pacjentką, to nie mogę od razu dostać pomocy, a jeśli jestem pacjentką, to muszę czekać tyle, ile w szpitalu. Pilnie pomoc mogą otrzymać osoby, które są w poważnym kryzysie.

Dodałabym jeszcze, że o tym, czym są kryzysy psychiczne, powinno się uczyć w szkołach. Na wychowaniu do życia w rodzinie grałam w ping-ponga, choć w książce było coś o depresji. Młodzi ludzie powinni mieć wrażliwość na to, co się dzieje, bo tragedii jest więcej, niż się wydaje.

Zabrałaś głos publicznie we wpisie w mediach społecznościowych: „Jestem Hania, to moja historia. W wieku 13 lat zachorowałam na depresję, cięłam się i biłam, żeby mniej czuć jak boli. Potem przyszedł strach i zmęczenie, podejrzewanie dwubiegunowości. (...) proszę nie bądź obojętny, nie bądź sam". Jakie były reakcje wtedy? Podejrzewam, że dla wielu osób, które przeżywają coś podobnego, takie wpisy mogą być wspierające, otwierające na rozmowę.

HANIA: Nie było żadnych reakcji. Wiem, że w moim otoczeniu jest sporo osób, które mają problemy i są z nimi same. Mam koleżankę, która jest cała w bliznach, nie jest w stabilnym momencie. I nie ma zrozumienia ze strony rodziców. Ostatnio rozmawiałam z moim partnerem o tym, dlaczego ciągle wracałam do tematu depresji. Być może próbuję sama siebie przekonać, że już jest w porządku?

Ale myślę też i chciałam o tym powiedzieć, bo to jest ważne – moi rodzice często mieli do siebie pretensje, że nie zauważyli tego, co się u mnie działo, choć są pedagogami. Są bardzo empatyczni. Jedyne, co moja choroba dała dobrego, to poprawę naszej relacji.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

eprasa.pl 1f261a212b

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik” na rok + 4 wydania specjalne

„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie.

Treści „Tygodnika Powszechnego” są wyjątkowe na polskim rynku prasy.

- Diagnozy społeczne z ludzką wrażliwością
- Kultura jako klucz do rozumienia świata
- Otwarte podejście do wiary i duchowości
- Bieżące wydarzenia w szerokim kontekście

OFERTA CENOWA

Tygodnik na rok + 4 wydania specjalne	InPost	cena 786 zł
	Poczta	cena 787 zł
4 wydania specjalne	InPost	cena 100 zł
	Poczta	cena 100 zł

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Razem tworzymy „Tygodnik”

eprasa.pl 1f261a212b

ŚWIAT

GDZIE JEZUS MA TWARZ MAJÓW

464 lata temu, 12 lipca 1562 r., w miejscowości Maní na Jukatanie hiszpański inkwizytor kazał spalić dorobek piśmiennictwa Majów. Dziś msza w tym samym kościele gromadzi ich potomków. Jak żyją z taką pamięcią?

STANISŁAW STRASBURGER Z MANÍ (PÓŁWYSEP JUKATAN, MEKSYK)

DANIEL / ADOBE STOCK

Maní: nazwa tego miasteczka Majów, liczącego około 5 tysięcy mieszkańców i położonego w głębi półwyspu Jukatan, widnieje dumnie na głównym placu. Wypisana kolorowymi literami wielkości dorosłego człowieka. Jakby ktoś mógł trafić tu przypadkiem i dopiero dzięki napisowi wyczytać, gdzie się znajduje.

Bo aby tutaj dotrzeć, trzeba zjechać z autostrady – przy stacji benzynowej, 80 km za Méridą. Dalej wąska droga sprawia wrażenie, jakby wyżłobiono ją w subtropikalnym lesie.

Podpis na cokole mówi sam za siebie: „Miejsce, w którym wszystko się wydarzyło" („Maní: Lugar donde todo pasó"). Wszystko, czyli co dokładnie?

Podczas trzytygodniowej podróży po południowym Meksyku wielokrotnie wracam do Maní. Szukam inspiracji, ale i przestrogi dla nas w Europie Środkowej, którzy, jakby w zawieszeniu między przeszłością a przyszłością, mierzymy się ze współczesnymi wojnami, z przetasowaniami sojuszy. To, co wydarzyło się kiedyś w Maní, dociera do przybysza powoli.

PUEBLOS MÁGICOS | Za napisem odsłania się widok na dawny klasztor franciszkanów, z ogromnym pustym placem wytyczonym na cokole piramidy Majów. Klasztor wzniesiono w połowie XVI w., trzy dekady po tym, jak Hiszpanie rozpoczęli podbój terenów zamieszkałych przez Majów (obecnie południe Meksyku). Dziś dawny klasztorny kościół służy jako świątynia parafialna.

Po przeciwnej stronie znajduje się żółto-biały ratusz z fasadą ozdobioną arkadami. W ich cieniu powstaje lokalne rękodzieło. Można tu kupić haftowaną sukienkę albo miejscowy miód. Fasady okolicznych domów są kolorowe, jak przystało na tak zwaną „magiczną miejscowość", *pueblos mágicos*, jedną z aktualnie siedmiu takich w stanie Jukatan.

To ma być zapewne zachęta, ma przyciągnąć turystów, tworzyć miejsca pracy i w ogóle, wiadomo, budować dobrobyt na prowincji. Magia miejsc wymaga jednak powolnego czytania.

– Turyści szukają oryginalnych domków Majów – wyjaśnia Andy Interian Chan, pełnomocnik urzędu miasta do spraw turystyki. Andy towarzyszy mi od pierwszego dnia. – Ale co to niby miałoby być? Wszystkie domy, w których dziś mieszkamy, to oryginalna zabudowa Majów. Nie jesteśmy muzeum. To nasze życie.

DOM INKWIZYTORA | Od Andy'ego dowiaduję się, że z architektury domów w Maní można wyczytać sporo ciekawych rzeczy. Na przykład forma przedsionka wskazuje, czy ktoś z rodziny emigrował do USA i zainspirował się tamtą architekturą. Owszem, tu i ówdzie widać tradycyjne chaty ze spadzistymi dachami z liści palmowych. Często stoją na podwórku i są częścią zespołu mniejszych i większych budynków na jednej działce, między palmami bananowymi, drzewkami limonki i słynnymi roślinami medycyny naturalnej *chaya*. Gdzieniegdzie zachował się też dom w stylu kolonialnym.

W jednym z takich domów mieści się popularna restauracja, do której zaprasza Iván Jiménez, katecheta katolicki i jednocześnie szaman Majów. Poznajemy się po niedzielnej mszy we wspomnianym kościele. Czekam, aż skończy prowadzić ka-

eprasa.pl 1f261a212b

Kościół pofranciszkański z XVI w., Maní

techezę, a potem wybieramy się na spacer i regionalny obiad, wyśmienite *poc chuc* – wieprzowinę marynowaną w cytrusach i upieczoną na grillu.

– Podobno mieszkał tu sam inkwizytor Diego de Landa – twierdzi Iván, gdy czekamy w kolejce na stolik.

CONVIVENCIA | Iván chętnie opowiada o różnych aspektach swojej osobowości, które ktoś z zewnątrz mógłby uznać za ambiwalentne. – Chcesz mnie nazywać czarownikiem, proszę bardzo – mówi. – Kilka lat temu urzędował tu inny proboszcz. Miał z tym problem.

Iván opowiada o rodzaju przesłuchania, jakiemu poddał go ów ksiądz: czy bierzesz udział w rytuałach Majów? Czy znasz praktyki lecznicze Majów? Czy potrafisz czytać starożytne pismo Majów i uczysz tego?

– Odpowiadałem zgodnie z prawdą, że tak – wspomina Iván. – Poza tym nie komentowałem. Po tej rozmowie zostałem zawieszony w obowiązkach katechety. Szczerze mówiąc, nie zawsze rozumiem, jak łączę jedno z drugim. Ale moje życie świadczy, że taka łączność jest możliwa. Co więcej, służy mnie i mojej wspólnocie. Zatem warto ją zaakceptować. Po co zaraz wszystko kwestionować i wyjaśniać co do joty?

– Obecny proboszcz jest inny, stara się przywrócić dobre współżycie – Iván posługuje się nośnym dziś hiszpańskim słowem *convivencia* (współżycie, współistnienie, koegzystencja). – Odbyliśmy poważną rozmowę i wróciłem do zajęć w kościele. Zresztą kilka innych osób przeszło podobne doświadczenia.

RYSY JEZUSA | Starania proboszcza obserwuję w czasie niedzielnej mszy. „Tak jak w minione niedziele – mówi, rozpoczynając kazanie – przypominam, że mamy mikrofon. Ktoś chciałby o coś zapytać? Śmiało, bardzo proszę!”.

Rzeczywiście, ledwie proboszcz zdąży usiąść na krześle przed ołtarzem, a już pojawiają się pierwsi chętni.

Mam wrażenie, że ta jego równościowa, nastawiona na wzajemne uznanie komunikacja, koresponduje z wystrojem wnętrza dawnego klasztoru. Na przykład figura Jezusa na krzyżu, przy wejściu do nawy głównej, ma rysy twarzy charakterystyczne dla tutejszych mieszkańców. ↦

eprasa.pl 1f261a212b

STANISŁAW STRASBURGER x3

Główny plac w Maní

Andy zwraca mi na to uwagę już pierwszego dnia. – Jezus ma niski wzrost, płaskie czoło, co w tradycji Majów jest szczególnie piękne – opowiada Andy. – Oczy też przypominają nasze. Rysy mieszkańców Śródziemnomorza są inne. Dotyczy to zresztą wielu figur przy ołtarzu i malowideł ściennych.

Jeśli chodzi o sam klasztor, to legenda głosi, że budowlę postawili tajemniczy giganci w ciągu jednej nocy. Miasto Maní konkurowało z Méridą o to, które z nich zostanie stolicą regionu. Kiedy zapiał kogut, Maní uznało się za zwycięzcę. Potem okazało się, że Mérida była jednak szybsza.

– Cóż, legendy też wymagają powolnego czytania – upomina Iván. – W gruncie rzeczy chodzi o to, że budynek powstał zadziwiająco sprawnie.

AUTODAFÉ | Powolne czytanie dotyczy też innych aspektów przeszłości. Na przykład kwestia *autodafé:* obrzędu, który w 1562 r. poprowadził tu Diego de Landa.

W tamtym czasie był to rytuał publiczny, praktykowany w Hiszpanii i Portugalii, a także w tzw. Nowym Świecie, podbitym przez oba te kraje – wobec podejrzanych o herezję oraz niechrześcijan. Łączył akt wiary z ceremonią pokutną, często towarzyszyły mu różne formy przemocy, fizycznej i psychicznej.

– W czasie ostatniej wizyty u nas Galina Jerszowa chciała zainicjować wzniesienie pomnika franciszkańskiego inkwizytora – Iván opowiada o spotkaniu ze słynną antropolożką i ekspertką od Majów. – Ale my nie chcemy żadnego pomnika.

Z punktu widzenia Jerszowej inkwizytor wykonał bezcenną pracę. Około 80 lat temu sowiecki etnolog i jej mistrz naukowy, Jurij Knorozow, odnalazł w dziele Diega decydujące wskazówki pozwalające rozszyfrować starożytne pismo Majów. Jednak „Relację o sprawach Jukatanu" („Relación de las cosas de Yucatán"), autorstwa Diega de Landy, trudno nazwać dziełem powstałym z zamiłowania do nauki i świata Majów.

Napisał tę rozprawę, polemizując z oskarżeniami ze strony hiszpańskiej Królewskiej Rady Indii. Rada podejrzewała go o zbyt brutalne traktowanie miejscowych. Źródła mówią o torturowaniu ogromnej liczby Majów. Niektórych zamordowano, innych sprzedano w niewolę lub zmuszono do płacenia okupu.

Zniszczono też dziedzictwo materialne: przedmioty kultu i obiekty artystyczne zdewastowano, wytropione księgi (tzw. księgi prekolumbijskie) spalono co do jednej. Wielu Majów odebrało sobie później życie „ze zgryzoty".

BEZ POMNIKA | Ale dlaczego w Maní nie ma pomnika ofiar *autodafé?* Wracam do tego pytania, stojąc na pustym i rozgrzanym słońcem placu, między dawnym klasztorem a ratuszem.

Urodziłem się i wychowałem w Warszawie. Mój dziadek nie wrócił z hitlerowskiego obozu. Od dziecka chodziłem ulicami pełnymi tablic, pomników i innych miejsc pamięci. Berlin, gdzie dziś mieszkam, także ma ich wiele. Wszechobecność materialnej pamięci obu tych miast jest przeciwieństwem Maní.

Wątpliwościami dzielę się z Gildą Segovią Chab, adwokatką, która obronę praw społeczności Majów uczyniła sensem swojej pracy zawodowej (sama się z nich wywodzi).

– Pomniki są dobre, ale te wznoszone w sercach ludzi – uważa Gilda. – W sercach i umysłach, nie z kamieni. Bo pomniki powinny pomagać w zabliźnianiu ran i powrocie do dobrostanu. Tymczasem kamienie wywołują różne emocje. U jednych dobre, u innych nie. Na przykład nienawiść. Słowem, niekoniecznie pomagają zagoić rany.

– Nie daliśmy się zredukować do tego jednego, tragicznego wydarzenia – mówi Andy, gdy poruszam temat nieistnieją-

eprasa.pl 1f261a212b

cego pomnika. I dodaje: – Liczy się pamięć, którą każdy z nas nosi w sobie. Mamy różne wspomnienia i słowa. A nie, że coś wyryję w kamieniu raz na zawsze. Zresztą, czy przyszłość nie jest ważniejsza niż przeszłość?

LEGENDA | Jeśli chodzi o przyszłość, Maní też jest miejscem szczególnym. Na Jukatanie znajduje się kilka tysięcy tzw. cenot: to studnie krasowe, połączone siecią jaskiń i wypełnione słodką wodą. Majowie wykorzystywali je jako naturalne zasoby wody, a niekiedy miejsca kultu. Obok ratusza w Maní też jest niewielka cenota.

Legenda mówi, że w okresie poprzedzającym Dzień Sądu Ostatecznego na całej planecie zabraknie wody. Cenota w Maní nie wyschnie jako jedyna. I tu jest haczyk. Na straży cenoty stanie bowiem pewna starsza kobieta. Za buteleczkę wodę zażąda ofiary: dziecka, które rzuci na pożarcie towarzyszącemu jej wężowi.

– Węża nie należy traktować dosłownie – tłumaczy Iván. – Dzień Sądu i zagłada Żiemi to przecież ludzkość, która do tego doprowadziła. W rzeczywistości starucha ratuje dzieci przed katastrofą, którą na nie sprowadziliśmy. Lepiej dla tych maluchów, prawda?

Jak do tej pory, Iván sam też pracuje nad odwleczeniem zagłady i „przywróceniem siły Matce Ziemi". To znaczy: łączy

Cenota przy ratuszu w Maní

„Jezus ma niski wzrost, płaskie czoło, co w tradycji Majów jest szczególnie piękne". Krucyfiks w kościele w Maní.

rolnictwo ekologiczne z tradycyjnymi metodami upraw Majów. Konkretnie, od młodości pracuje w szkole rolniczej U Yits Ka'an (Rosa, który spada z nieba) na obrzeżach Maní.

EKOSZKOŁA | – Współzałożycielami U Yits Ka'an było kilku księży katolickich, a działkę kupiliśmy ze środków katolickiej fundacji Misereor – tłumaczy Iván. – To swego rodzaju przeprosiny za *autodafé*. Tak to postrzegam. Szkoła jest ekumeniczna, każdy może podjąć naukę. Jednak w ciągu 30 lat od założenia nie zawsze mieliśmy łatwo z Kościołem.

Ołtarz w szkolnej kaplicy to przykład tego ekumenizmu i zadośćuczynienia. Obok figury Jezusa na krzyżu znajduje się drewniana tablica z napisem w języku Majów. To podziękowanie za „trzy dekady obfitych plonów, dla dobra Matki Ziemi i jej najuboższych córek i synów, z ludu Maní".

– Pewnego razu przyjechała do nas delegacja – wspomina Andy. – W ramach programu „magicznych miejscowości" wiele nam obiecano. Poproszono też, żebyśmy się trochę dostosowali. Na przykład zamontowali kosze na śmieci na ulicach. I nie rzucali śmieci na ziemię podczas festynów. Podobno śmieci psują turystom wizerunek mitycznych Majów. Sorry, wolimy sprzątać po wszystkim. Czy to aż taki problem?

PRZYSZŁOŚĆ | „Odrodzenie Majów" (*Renaciemiento Maya*) to motto jukatańskiej transformacji wdrażanej w latach 2024-2030. Bliska ludziom polityka, dobrobyt społeczny, ochrona zdrowia, gospodarka partycypacyjna i krzewienie kultury pokoju – to ma zasilić region i mieszkańców. Realizowane są też projekty infrastrukturalne. Należy do nich tzw. Tren Maya: niedawno uruchomiona linia kolejowa, obejmująca cały ogromny półwysep.

Co tu dużo mówić, polityka humanistyczna, gospodarka partycypacyjna i kultura pokoju – jestem zachwycony. Jednak wielu patrzy na tę transformację inaczej.

– Tren Maya służy głównie turystom – uważa José Iván Borges, historyk i aktywista. – Trasę i stacje projektowano bez uwzględnienia naszych potrzeb. Denerwuje mnie całe to odrodzenie. Aby się odrodzić, trzeba najpierw umrzeć, prawda? My nigdy nie umarliśmy.

Rzeczywiście, myślę, choć to chyba jakiś cud, po *autodafé*, cierpieniu i przemocy na przestrzeni wieków. W Maní raz po raz przypominają mi się warszawskie rozstrzeliwania, berlińskie deportacje.

Jednak Iván nie daje za wygraną. – Nie mam urazy wobec Kościoła katolickiego – objaśnia. – Ani wobec Diego de Landa. Czerpię inspirację z natury. Jak wiesz, nasze rolnictwo, tzw. *milpa*, kieruje się zasadami partycypacji i samowystarczalności. Nie musimy ekspandować, mnożyć zysków, czegoś udowadniać. Podstawą *milpy* są kukurydza, fasola i dynia, a *milpa* ma swoje cykle. Co 7-8 lat wypalamy ziemię, aby sadzić i zbierać nowe plony.

– Wiesz, Iván, z perspektywy Warszawy i Berlina chciałbym mieć takie podejście – chcę powiedzieć Ivanowi. Ale nie mówię.

© STANISŁAW STRASBURGER

Autor jest pisarzem, podróżnikiem i menadżerem kultury. Autor książek „Opętanie. Liban" i „Handlarz wspomnień". Mieszka na przemian w Berlinie, Warszawie i Granadzie. Niemiecka wersja tekstu powstała dla miesięcznika „Publik-Forum EXTRA LEBEN".

eprasa.pl 1f261a212b

RYAN JENKINSON / GETTY IMAGES

Andy Burnham, Rob Pownall jako Mister Lis i Jonathan Harvey jako Hrabia Kosz podczas ceremonii ogłoszenia wyników wyborów uzupełniających do parlamentu. Wigan, 19 czerwca 2026 r.

Mister Lis ma głos

PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

HUMOR I POLITYKA | **Ekscentryczni kandydaci w zaskakujących kostiumach to częsty obrazek podczas brytyjskich wyborów. Wbrew pozorom nie chodzi tu tylko o żart.**

Oglądały ją na żywo miliony Brytyjczyków: ceremonię ogłoszenia wyniku niedawnych wyborów uzupełniających do parlamentu w Londynie, które miały miejsce w okręgu Makerfield (północno-zachodnia Anglia).

Ceremonia, uświęcona tradycją, wygląda tak, że zarówno zwycięzca, jak też wszyscy przegrani kandydaci wysłuchują publicznie obwieszczenia, kto ile otrzymał głosów.

Tym razem chwila była podwójnie ważna: wybory w Makerfield nabrały dodatkowego znaczenia, gdyż startował w nich Andy Burnham, burmistrz Manchesteru z Partii Pracy – i zarazem prawdopodobny następca Keira Starmera w roli premiera oraz lidera laburzystów.

KOSZ I LIS | Zgodnie z brytyjskim prawem, aby ubiegać się o stanowisko premiera, polityk musi być posłem w Westminsterze. Deputowany laburzystów z okręgu Makerfield poświęcił się więc i zrezygnował, aby Burnham mógł wystartować.

Burnham wygrał i po niedawnej dymisji Starmera najpewniej zastąpi go wkrótce na Downing Street, by ratować słabnącą Partię Pracy i jej rząd. Jest dziś najpopularniejszym politykiem w kraju, ma więc po temu pewne szanse.

Nie to jednak nas tutaj interesuje, lecz sama ceremonia. Stojąc wśród kandydatów, jak równy z równymi, Burnham miał po swojej prawicy człowieka przypominającego postać z „Gwiezdnych Wojen" – tyle że z koszem na śmieci na głowie zamiast hełmu. To Jonathan Harvey, komik znany jako Count Binface. Po polsku: Hrabia Kosz.

Z kolei po jego lewicy stał mężczyzna przebrany za lisa. Trzymał planszę z napisem „Chrońcie brytyjską dziką przyrodę". To Rob Pownall, założyciel organizacji Protect the Wild, która prowadzi kampanię m.in. na rzecz ściślejszego zakazu polowań na lisy.

Oni obaj też startowali. Tylko po co, skoro było z góry wiadomo, że przegrają?

RATUJMY GŁUPTAKI! | „Wystartowałem w tych wyborach z jednego powodu: aby wprowadzić do debaty politycznej temat brytyjskiej przyrody, który zbyt często jest pomijany. Wprawdzie przerwano transmisję mojej spontanicznej przemowy, ale stacje telewizyjne nie mogły zignorować samego przesłania" – wyjaśniał później Pownall.

Choć więc Mister Lis zdobył jedynie 18 głosów (Burnham otrzymał ich 25 tys.), to zyskał cenny czas antenowy dla swojej sprawy. Na lisa, stojącego w towarzystwie przyszłego premiera, trudno było nie zwrócić uwagi.

Aktywista miał też okazję, by porozmawiać z Burnhamem – ten wysłuchał jego postulatów i przypomniał, że gdy w przeszłości zasiadał już w parlamencie, to głosował za zakazem polowań na lisy. Może ta chwila zaprocentuje więc, gdy zostanie szefem rządu?

To zresztą nie pierwszy raz, gdy Pownall wykorzystuje wybory, by dotrzeć do Brytyjczyków ze swoim przesłaniem. Teraz wstawia się za lisami. Wcześniej, w maju, wziął udział w wyborach do parlamentu Szkocji, występując w kostiumie ptaka głuptaka.

Pisklęta tego morskiego ptaka, w języku gaelickim zwane „guga", są raz w roku, w sierpniu, wybierane z gniazd na klifach Sula Sgeir, niezamieszkanej wyspy w archipelagu Hebrydy Zewnętrzne. Debata o przerwaniu tej wątpliwej praktyki jest trudna – wyspiarze z Hebryd, którzy polują na „guga", argumentują, że to kilkusetletnia tradycja, część ich kultury.

Dla Pownalla to okrucieństwo. „Chodzenie po Edynburgu w wielkim kostiumie ptaka bywało momentami niedorzeczne. Ale jeśli to jest potrzebne, by skłonić ludzi do rozmowy o ochronie głuptaków, będę to robić" – deklarował aktywista.

KEBAB Z WIGAN | A o co walczy Hrabia Kosz? Komik Jonathan Harvey, który sam woli określenie Kosmiczny Wojownik, ma liczne własne postulaty. Niektóre bywały absurdalne, np. postulat nacjonalizacji piosenkarki Adele czy obowiązkowa służba wojskowa dla byłych premierów. Inne rzeczowe, jak bezpłatny internet czy likwidacja Izby Lordów.

W okręgu Makerfield Hrabia Kosz startował, bo chciałby, aby burmistrzo-

eprasa.pl 1f261a212b

wie miast musieli dokończyć swoją kadencję, zanim mogliby startować w kolejnych wyborach – co odnosi się do osoby Burnhama. Poza tym Harvey obiecywał, w razie wygranej, działający internet w pociągach; pociągi, które działają; a także ustanowienie maksymalnej ceny lokalnej zapiekanki w bułce, zwanej „kebabem z Wigan". Zdobył 95 głosów.

Hrabia Kosz nie pierwszy raz stał obok przyszłego bądź aktualnego premiera. Kandydowanie w najbardziej medialnych okręgach to zresztą częsta praktyka takich ekscentrycznych kandydatów, bo gwarantuje, że będą zauważeni. W 2019 r. Hrabia rzucił więc rękawicę ówczesnemu premierowi Borisowi Johnsonowi, w 2024 r. premierowi Rishiemu Sunakowi, a w 2017 r. premierce Theresie May. Choć wtedy startował jeszcze jako swoje poprzednie wcielenie – Lord Buckethead, czyli Lord Wiadrogłowy.

KAŻDY MA GŁOS | – Brytyjczycy lubią ekscentryczność, ale nie traktują jej zbyt poważnie. Tak zwani „kandydaci żartobliwi" są obecni w wyborach od dekad, choć występowanie w kostiumach to zjawisko nowsze – wyjaśnia mi prof. Tim Bale, politolog z Queen Mary University w Londynie.

Bale podkreśla, że choć nigdy nie zdobywają oni wielu głosów, to sama ich obecność jest krzepiąca. – Pokazuje, że w naszej demokracji jest miejsce dla poglądów dziwnych czy radykalnych – dowodzi Bale.

Aby wystartować w wyborach parlamentarnych, wystarczy depozyt 500 funtów i 10 podpisów z poparciem. Żeby depozyt odzyskać, trzeba zdobyć co najmniej 5 proc. oddanych głosów. Nigdy nie udało się to najstarszej „żartobliwej" partii: Official Monster Raving Loony Party (dosłownie: Oficjalna Partia Potwornie Szalonych Wariatów), założonej w 1982 r. Ale niektóre z jej postulatów zrealizowano, np. ten, by puby mogły być otwarte cały dzień, bez popołudniowej przerwy.

Ekscentryczni kandydaci wnoszą więc do demokratycznego procesu na Wyspach trochę humoru, czasem skłaniają do refleksji. Brutalnie pointują słabości establishmentu. No i nierzadko mówią o sprawach ważnych. Pełnią też rolę „wentylu bezpieczeństwa": oferują alternatywę dla tych, którzy chcą oddać głos w proteście przeciw polityce głównego nurtu.

SAŁATA KONTRA TRUSS | Wracając do Roba Pownalla w kostiumie lisa: – Nie należy lekceważyć siły oddziaływania lisa – mówi prof. Bale. I przypomina, z całą powagą: – Sympatia Theresy May dla polowań z udziałem psów zaszkodziła Partii Konserwatywnej w wyborach w 2017 r., przyczyniając się do utraty przez nią większości parlamentarnej.

Być może Andy Burnham wykazał się więc przezornością, wysłuchując Mister Lisa i uprzejmie witając Hrabiego Kosza. Brytyjscy premierzy – w ostatnich 10 latach było ich już sześciu! – nie powinni tracić czujności, gdy chodzi o żartobliwą stronę polityki. Dość przypomnieć Liz Truss, która pobiła rekord najkrótszego pobytu na Downing Street: musiała się wyprowadzić już po 49 dniach.

Zanim to się stało, brukowiec „Daily Star" ustawił transmisję na żywo z procesu więdnięcia sałaty lodowej, twierdząc, że Truss przestanie kierować rządem, zanim sałata zwiędnie. I tak się stało. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

REKLAMA

Umowa śmieciowa?
Nie musisz się na to godzić.

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

NOWY PORZĄDEK NA RYNKU PRACY

8 lipca w życie wchodzą nowe przepisy o Państwowej Inspekcji Pracy. Jeśli pracujesz jak na etacie, ale nie masz umowy o pracę, **możesz zgłosić się do Państwowej Inspekcji Pracy**.

Teraz PIP będzie mogła przekształcić Twoją umowę śmieciową w umowę o pracę, gwarantując należne Ci prawa pracownicze:

- płatny urlop
- płatne zwolnienie chorobowe
- ochronę przed zwolnieniem z dnia na dzień
- płatny urlop macierzyński, ojcowski i rodzicielski
- inne uprawnienia z Kodeksu pracy zwiększające pewność i bezpieczeństwo pracy

Dowiedz się więcej:

eprasa.pl 1f261a212b

Eden wysycha

IGOR KUŚMIERSKI

CYWILIZACJA | To największe mokradło Bliskiego Wschodu, położone pośród pustyni. To także miejsce, które tradycja wiąże z biblijnym rajem. Tętniło życiem przez pięć tysięcy lat. Aż do dziś.

Było lato 2023 roku, gdy na mokradłach Czibajisz, na południu Iraku, poziom rozlanego na tym obszarze szeroko Eufratu spadł do niespełna 60 centymetrów. Tam, gdzie jeszcze dekadę wcześniej sunęły wąskie łodzie, teraz rozciągało się spękane błoto. Bawoły brnęły przez kałuże, szukając resztek wody, chorowały i padały. Nieco wcześniej, w ciągu ledwie pół roku, jedną tylko prowincję opuściło 1200 rodzin, a dwa tysiące bawołów nie dożyło jesieni.

Wtedy sądzono, że gorzej być nie może.

ZAKĄTEK U ZBIEGU RZEK | To nie jest pustynia, choć tak wygląda. To największe mokradło Bliskiego Wschodu, a zarazem miejsce, które tradycja od wieków wiąże z rajem. Księga Rodzaju opisuje Eden jako ogród, z którego wypływała rzeka rozdzielająca się na cztery ramiona; dwa z nich nosiły imiona Tygrysu i Eufratu.

Obie te rzeki spotykają się właśnie w tym miejscu, na południu Iraku, w miasteczku Al-Kurna, którego nazwa znaczy tyle co „Zakątek". To tutaj od wieków umieszczano ogród Eden, a bujne, tętniące życiem mokradła pośród pustyni zdawały się tę legendę potwierdzać.

Mieszka tu lud, którego sposób życia trwał niemal niezmieniony od czasów Sumeru. Właściwie: mieszkał. Cała jego historia jest historią wody i właśnie dlatego to, co się dziś dzieje, jest czymś więcej niż kolejną klęską suszy. Aby to zrozumieć, trzeba cofnąć się do czasów, gdy woda była dla tego ludu nie tłem życia, lecz jego tworzywem.

CIĄGŁOŚĆ PRZEZ TYSIĄCLECIA | Nazywa się ich Ma'dan, Arabami bagiennymi. Żyli na sztucznych wyspach z trzciny i mułu, w domach plecionych w całości z jednej rośliny, wysokiej trzciny *qasab*. Najokazalsza z tych budowli, *mudhif*, dom gościnny plemienia, to katedra z trzcinowych łuków, stawiana bez gwoździ. Ma'dan hodowali bawoły i łowili ryby, a między osadami przemykali wąskimi czółnami zwanymi *tarada*. Niemal wszystko, czego potrzebowali, dawała im woda dookoła.

W latach 50. XX w. żył wśród nich brytyjski podróżnik Wilfred Thesiger – spędził tam z przerwami siedem lat, a świat ten opisał w klasycznej książce „The Marsh Arabs". Thesiger zobaczył coś niezwykłego: ciągłość, od tysiącleci. Kształt trzcinowych kolumn i łodzi odpowiadał temu, co widać na sumeryjskich płaskorzeźbach sprzed pięciu tysięcy lat.

Stąd uporczywie powtarzane określenie, że Arabowie bagienni są „potomkami Sumerów". Trafniejsze od pokrewieństwa krwi jest jednak pokrewieństwo sposobu życia; to ono przetrwało kolejne imperia, które przewalały się nad Mezopotamią.

Wtedy, w połowie XX w., było ich około pół miliona. W większości szyici, choć na mokradłach żyli obok nich także mandejczycy, ostatni wyznawcy późnoantycznego gnostycyzmu, znani jako budowniczowie łodzi. Lud cichy i ubogi. A przy tym, co okaże się kluczowe, trudno dostępny.

TWIERDZA Z WODY | Woda nie tylko żywiła, ona dawała również schronienie. Do wielu osad można było dotrzeć wyłącznie łodzią, przez labirynt trzcin, w którym obcy gubił się po kilku minutach. Przez stulecia mokradła były naturalną twierdzą, schronieniem dla buntowników i zbiegów, miejscem, dokąd władza z Bagdadu nie sięgała. Lud, który nic nie chciał od państwa, i którego państwo nie umiało dosięgnąć, mógł trwać przy swoim.

Ta sama cecha, która dawała wolność, okazała się słabością. Twierdza z wody ma jedną wadę: można ją opróżnić.

W 1991 r., po klęsce ówczesnego irackiego dyktatora Saddama Husajna w wojnie o Kuwejt, na szyickim południu Iraku wybuchło powstanie. Husajn utopił je we krwi, a niedobitki schroniły się tam, gdzie zawsze: na mokradłach (jeszcze w wojnie z Iranem, w latach 80., Ma'dan stali po stronie Bagdadu).

Husajn uznał, że skoro nie może wkroczyć do trzcinowego labiryntu, to go osuszy.

KATASTROFA KATASTROF | Pomysł nie był nowy. Już w latach 50. XX w. brytyjscy inżynierowie zaczęli odprowadzać wodę z mokradeł, uznawszy je za bezużyteczne, za wylęgarnię komarów. Saddam ten projekt zamienił w broń. Jego ludzie wykopali sześć kanałów o łącznej długości ok. pięciu tys. kilometrów. Główny zwał się po prostu Rzeką Saddama; inne nosiły nazwy rodem z koszmaru, jak Kanał Chwały czy Rzeka Matki Wszystkich Bitew.

Kanały odcięły wodę od bagien i spuszczały ją wprost do Zatoki Perskiej. Dwie trzecie mokradeł odcięto od wody już do 1993 r., a do końca dekady wyschło niemal 90 proc. całego systemu. Światowi naukowcy nazwali to jedną z najgorszych katastrof inżynieryjnych w dziejach. Mokradła, które niegdyś sięgały 20 tys. km², skurczyły się raptownie.

Razem z wodą zniknęła większość ludzi. Z 250 tys. żyjących na mokradłach w 1991 r. zostało może 40 tys. Reszta uciekła do irańskich obozów i na ubogie przedmieścia Bagdadu i Basry, a tysiące zginęły. Lud, przez tysiąclecia nieuchwytny, zniknął wraz z wodą.

CUD NATURY | Potem jednak stała się rzecz w tej części świata rzadka: katastrofę udało się cofnąć.
Wiosną 2003 r., wkrótce po upadku Saddama, ludzie z bagien, nie czekając na żaden program odbudowy, wzięli łopaty i zaczęli przebijać groble, którymi reżim odciął im wodę.

Wróciła ona szybciej, niż ktokolwiek by się spodziewał, a wraz z nią ptaki i ryby. Do około 2006 r. odżyła ponad połowa dawnych mokradeł. Wracali też ludzie, odbudowywali trzcinowe domy.

W 2016 r. UNESCO wpisało Ahwar, tj. mokradła południowego Iraku, na listę światowego dziedzictwa. Podwójnie: jako zabytek przyrody i kultury. Wpis objął bowiem nie tylko cztery obszary bagien, lecz też ruiny trzech sumeryjskich miast: Uruk, Ur i Eridu.

eprasa.pl 1f261a212b

MOHAMMED ATY / REUTERS / FORUM

Mokradła Czibajisz nieco odżyły po sezonie zimowym 2023/24 r., gdy poziom wody wzrósł dzięki dużym opadom. Prowincja Dhi Qar w południowym Iraku, kwiecień 2024 r.

Pięć tysięcy lat temu Uruk, uchodzący za pierwsze prawdziwe miasto świata, otaczały słodkowodne trzcinowiska i żyzny muł, a kanałami można było dopłynąć aż do obecnej Zatoki Perskiej. Ryby i urodzajna ziemia dały nadwyżkę żywności, dzięki której z osad wyrosły miasta. Tu też wynaleziono pismo: najstarsze znaki klinowe odciskano w mokrej glinie zaostrzoną trzciną – tą samą, z której Arabowie bagienni do dziś plotą domy.

Wyglądało to na szczęśliwe zakończenie: lud i ekosystem, które dyktator skazał na śmierć, powstały z martwych.

TURECKA TAMA | Tyle że nad mokradłami zbierała się już inna susza: taka, której nie da się przebić łopatą.

Tygrys i Eufrat rodzą się poza Irakiem, w górach Turcji, i to Turcja decyduje dziś, ile wody puści w dół. Od lat 70. XX w. buduje tam GAP, Projekt Anatolii Południowo-Wschodniej, jeden z największych programów wodnych świata. Ponad 20 zapór i kilkanaście elektrowni, na czele z tamą Ilisu na Tygrysie, mają dać prąd i nawodnić ubogie południe Turcji.

Im więcej wody Turcja zatrzymuje u siebie, tym mniej dopływa do Iraku. W sumie spływa tam dziś mniej niż połowa wody, którą rzeki niosły dawniej. A im mniej słodkiej wody schodzi z północy, tym śmielej od strony Zatoki wdziera się słona i zatruwa to, co zostało.

Jakby tego było mało, Irak należy do krajów świata najbardziej narażonych na zmianę klimatu. Po 2021 r. było tu kilka susz z rzędu, z temperaturami przekraczającymi 50 stopni.

Poziom Eufratu w Czibajisz, w 2019 r. sięgający blisko dwóch metrów, w 2024 r. spadł do 55 centymetrów, a do mokradeł docierała ledwie czwarta część wody, której potrzebują. Stada bawołów stopniały o ponad trzy czwarte, a połów ryb, z którego żyła większość mieszkańców, spadł niemal do zera.

Między rokiem 2021 a 2025 całe obszary, jak Iszan Hallab, wyschły do cna, a ludzie znów ruszyli w drogę. Koordynator ONZ w Iraku nazwał to degradacją środowiska i wymazywaniem kultury. Rodziny, które odbudowały życie po Saddamie, są wysiedlane po raz drugi.

KONIEC OGRODU? | Wiosną 2026 r. przyszła ulga. Po obfitych deszczach i wezbraniach obu rzek, zalana powierzchnia mokradeł wzrosła z niespełna 8 proc. do jednej trzeciej, a fala wysiedleń przyhamowała; część pasterzy wróciła. Ale nawet ci, których to ucieszyło, mówią: deszcz nie wystarczy. Woda spadła z nieba, nie przypłynęła rzeką, a rzeki wciąż są przykręcone u źródła.

Tym razem nie ma jak odpowiedzieć. W 2003 r. wodę odzyskano, bo wroga dało się wskazać: reżim, który został obalony, a jego wały przekopane łopatami. Dziś przeciwnik jest rozproszony i bezimienny – czy to tama w obcym państwie, czy ocieplenie klimatu – i nie da się go ani postawić przed sądem, ani przebić łopatą.

Łatwo uznać to za odległą, lokalną tragedię. Ale byłby to błąd. Los Arabów bagiennych jest przedsmakiem stulecia, w którym o przyszłości całych regionów zadecyduje nie armia, lecz to, kto kontroluje źródła rzek. Ta sama logika wisi nad Nilem, o który spierają się Egipt i Etiopia, a także nad Indusem, dzielonym przez Indie i Pakistan. Od tych rzek zależy życie setek milionów ludzi.

Irackie mokradła są tej rozgrywki zapowiedzią w miniaturze.

Jest w tym wreszcie ironia, od której trudno się uwolnić. Cywilizacja narodziła się akurat tutaj dlatego, że wody było pod dostatkiem; bez niej nie byłoby ani pierwszych miast, ani pisma. Pięć tysięcy lat później to samo miejsce umiera z pragnienia.

Można by powiedzieć, że nasz świat zaczyna wysychać tam, gdzie się kiedyś zaczął. ©

eprasa.pl 1f261a212b

Mołdawski błam

JULIUSZ PIELICHOWSKI Z MOŁDAWII I NADDNIESTRZA

MOŁDAWIA | Choć pod rządami prezydentki Mai Sandu kraj jest na prozachodnim kursie, wciąż targają nim sprzeczne interesy różnych grup społecznych i narodowych. Relacja z kraju między Prutem a Dniestrem.

Z Suczawy – dawnej stolicy Hospodarstwa Mołdawskiego, położonej w Rumunii, na południowej Bukowinie – ruszam na wschód. Lasy i góry Karpat ustępują tu wzgórzom pokrytym polami i pastwiskami. Im bliżej dzisiejszej granicy rumuńsko-mołdawskiej, tym ruch na szosie staje się mniejszy. Za Botoszanami, oddalonymi w linii prostej od granicznego Prutu o mniej niż 50 km, miejscami niemal zamiera.

Mijam kilkanaście ostatnich wsi po stronie rumuńskiej i dojeżdżam do rozległego zbiornika zaporowego. Droga prowadzi koroną tamy. Rumuński punkt kontrolny pokonuję niemal bez zatrzymywania się. Mołdawski pogranicznik szybkim krokiem okrąża samochód i rzuca z przekornym uśmiechem: „Coś do oclenia? Broń? Narkotyki?”.

Zagląda tylko do bagażnika i daje znak, że można jechać.

„Mała Warszawa”

Na stacji benzynowej (należy do rumuńskiej sieci Petrom), tuż za przejściem, ruch jest większy. Ceny o kilkanaście procent niższe niż w Rumunii. Ci, którzy regularnie jeżdżą przez granicę, a jest ich niemało, paliwo kupują na tym brzegu Prutu.

Pierwszy cel to Styrcza, zwana „Małą Warszawą”. Założyli ją pod koniec XIX w. Polacy, przybyli m.in. z Chocimia i Kamieńca Podolskiego. Dziś żyje tu nieco ponad trzysta osób, z czego przeszło jedna trzecia to potomkowie założycieli – w tym pani Katarzyna.

Otrzymuję wskazówkę, by szukać jej gospodarstwa w pobliżu Domu Polskiego. Znak rozpoznawczy: bocianie gniazdo. Z ludźmi we wsi rozmawiamy po rosyjsku. Choć językiem urzędowym w Mołdawii jest rumuński, na co dzień króluje rosyjski – pozostałość po Mołdawskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej.

Kręte drogi są szutrowe, niektóre z koleinami. Odnajduję właściwy dom. Zanim usiądziemy do rosołu, kawy i ciasta, pani Katarzyna pokazuje skromne obejście. Jej wzrok zatrzymuje się na wieży nieodległego kościoła. Bije od niej zadowolenie i duma.

Nastrój zmienia się, gdy dopytuję o życie w dzisiejszej Mołdawii. Pani Katarzyna nie szczędzi słów krytyki wobec obecnych władz. Twierdzi, że od upadku Związku Sowieckiego jest coraz gorzej. Młodzi w większości wyjechali, niektórzy do Polski. Okolica jest piękna, ale co z tego, skoro nie ma pracy i perspektyw na dobre życie.– Zostaliśmy tylko my, starzy – stwierdza pani Katarzyna.

Masowa emigracja to nie tylko problem polskiej mniejszości, ale całej Mołdawii: o ile w połowie lat 90. XX w. liczyła ona 4,5 mln ludności, dziś ma niecałe 2,5 mln. To oznacza ubytek o ok. 40 proc., właśnie na skutek emigracji zarobkowej.

Bielce dawniej i dziś

Zanim ruszę do Kiszyniowa, stolicy Mołdawii, zatrzymuję się w Bălăi, po polsku Bielce. Choć to drugie co do wielkości miasto w kraju, a także największy ośrodek Polonii, panuje w nim, w najlepszym tych słów znaczeniu, atmosfera na wskroś prowincjonalna.

Parkuję przy głównej arterii imienia hospodara Stefana Wielkiego – wszechobecnego w całej Mołdawii patrona ulic i placów. Szukam monumentu poświęconego miejscowej społeczności żydowskiej. Przed II wojną światową stanowili tu większość. Gdy Rumunia sprzymierzyła się z III Rzeszą, większość mołdawskich Żydów padła ofiarą Holokaustu.

W dzisiejszym Bălăi zachowały się domy z przełomu XIX i XX w., ale dominuje architektura postsowiecka – szerokie aleje, osiedla z wielkiej płyty i monumentalne budynki użyteczności publicznej. Jak cała północna Besarabia, i to miasto dotyka problem emigracji i starzenia się społeczeństwa. Jednak położenie na skrzyżowaniu szlaków komunikacyjnych działa na korzyść mieszkających tu Mołdawian, Ukraińców, Rosjan i Polaków.

Spacerując sennymi o tej porze dnia ulicami, myślę o sentymentalnej piosence „Majn sztetele Belz”, opiewającej przedwojenne Bielce. Powstała w 1932 r. w jidysz, na potrzeby nowojorskiego przedstawienia „Pieśń z getta” i szybko zawojowała świat, stając się może najtrwalszym pomnikiem świata skazanego na zagładę.

Rozmawiam z Mariną, studentką miejscowego uniwersytetu. Pytam o piosenkę, puszczam fragment na telefonie. Zna ją, ale sama – jak mówi, uśmiechając się porozumiewawczo – słucha innej muzyki. Marina liczy, że Mołdawia szybko wejdzie do Unii. W przeciwieństwie do wielu, nie chce opuszczać kraju. Jeśli wyjedzie z Bălăi, co nie jest przesądzone, to do Kiszyniowa. Rozmawiamy po angielsku. Marina zna rumuński, ale i ona zwykle posługuje się rosyjskim.

Stolica bez złudzeń

Droga z Bălăi do oddalonego o 100 km na południowy wschód Kiszyniowa pozwala zachwycić się – i nasycić – pejzażem Besarabii. Z poczucia błogiego osamotnienia wyrywają raz po raz niewielkie wsie, ukryte między zielonymi wzgórzami. Droga krajowa M5, której nawierzchnię na długich odcinkach wciąż stanowią betonowe płyty, przywołuje mgliste wspomnienia dawnej poniemieckiej autostrady A4 między Wrocławiem a Zgorzelcem.

Kiszyniów, położony na wzgórzach, od dawna musi stawiać czoło krzywdzącej opinii, że jest jedną z najbrzydszych stolic Europy. I choć wiele tu architektonicznego chaosu – wyrosłego na sięgającym XIX w. regularnym układzie ulic, pożenionym z „subtelnością” sowieckiej urbanistyki – Kiszyniów może się podobać. Zwłaszcza w reprezentacyjnym centrum.

Jeśli nie liczyć separatystycznego Naddniestrza, w stolicy mieszka 30 proc.

eprasa.pl 1f261a212b

JULIUSZ PIELICHOWSKI

Sowieckie wagony przed siedzibą mołdawskiego rządu z wystawą o represjach w czasach komunizmu. Kiszyniów, 16 czerwca 2026 r.

obywateli Mołdawii. Ściągają do stolicy ludzie z wszystkich zakątków kraju.

Vlad, z którym spotykam się w kawiarni przy Parku Katedralnym, kilka lat temu przyjechał na studia z Ungheni, miasta przy granicy z Rumunią – i już został. Dziś pracuje dla zachodniej korporacji. Mówi, że decyzja o pozostaniu w Mołdawii nie była oczywista, ale że kraj na tyle się zmienił w ostatnich kilku latach, iż łatwiej było ją podjąć.

Gdy pytam, co zatrzymało go w ojczyźnie, mówi wprost, że rodzina. Do Ungheni nie wróci, ale w Kiszyniowie żyje się dobrze. Kupili z żoną mieszkanie na obrzeżach Parku Valea Morilor, słynącego z kaskadowej fontanny i malowniczego jeziorka, mają dwoje dzieci.

Pamięć o wielkim głodzie

Kilka godzin później przyglądam się zdjęciom składającym się na wystawę umieszczoną w dwóch sowieckich wagonach kolejowych. Ustawione zostały przed siedzibą rządu – w najbardziej reprezentacyjnym miejscu, na Placu Wielkiego Zgromadzenia Narodowego, obok łuku triumfalnego i soboru katedralnego Narodzenia Pańskiego.

Na brązowych deskach bieleją coraz słabiej widoczne litery „CCCP". Ekspozycja poświęcona jest represjom, jakich doświadczyli mieszkańcy mołdawskiej republiki sowieckiej. Jedna z wielu wstrząsających historii opowiada o wielkim głodzie z lat 1946-47. Wywołany początkowo suszą, został świadomie pogłębiony przez władze sowieckie, które nie obniżyły obowiązkowych kontyngentów zboża w regionach dotkniętych głodem. Według szacunków historyków, przeszło 100 tys. ludzi zostało tak skazanych na śmierć głodową.

Wieczorem wsłuchuję się w rozmowy dobiegające z restauracyjnych ogródków. Miasto tętni życiem. Także wśród młodych dominuje rosyjski. Gdy kilka godzin wcześniej pytałem Vlada o jego stosunek do Rosji, żachnął się, że Mołdawia miałaby mieć z nią cokolwiek wspólnego. Jej przyszłość to Unia Europejska. Gdy zwróciłem uwagę, że wielu, w tym on, dzieli z Rosjanami język, spojrzał z pobłażaniem: – Język nie jest w życiu najważniejszy.

Kierunek Naddniestrze

Ze stolicy ruszam do Naddniestrza. Oficjalnie to region autonomiczny Mołdawii, ale od roku 1990 – a więc roku oderwania się Mołdawii od Związku Sowieckiego, gdy lokalne władze Naddniestrza zadeklarowały chęć pozostania w strukturach Sojuzu – pozostaje republiką separatystyczną. Nikt jej nie uznaje, poza Abchazją i Osetią Południową. Żyje tu niespełna pół miliona ludzi.

Droga z Kiszyniowa do Tyraspola, głównego miasta Naddniestrza, to raptem kilkadziesiąt kilometrów. I tu obowiązuje zasada, że im dalej na wschód, tym ruch na drodze mniejszy. Z każdej strony, aż po horyzont, ciągną się pola uprawne. Mołdawskie ziemie słyną z urodzajności. Na posterunku granicznym przy wjeździe do Naddniestrza witają mnie milczący uzbrojeni żołnierze. Jeden nieznacznym ruchem głowy wskazuje, by jechać dalej. Na poboczu stoją tankietki, pamiętające lepsze czasy.

Właściwy punkt kontrolny znajduje się jakiś kilometr, może półtora dalej. Atmosfera znacznie luźniejsza, niemal familiarna. Kontrola bagażu to formalność. Jeszcze tylko deklaracja, jak długo planuje się zostać w Naddniestrzu (wpisywana do dokumentu poświadczającego wjazd – niedotrzymanie terminu opuszczania republiki może się wiązać z komplikacjami) i obowiązkowa winieta.

Raptem pół kilometra dalej droga znów pustoszeje i nastaje śródpolna cisza. Do Tyraspola pozostało niespełna 10 kilometrów.

Suworow i Harry Potter

O Tyraspolu mówi się, nie bez powodu, że to postsowiecki skansen. Już na pierwszy rzut oka widać kontrast między poziomem życia w Kiszyniowie i w samozwańczej stolicy. Choć można znaleźć też przykłady inwestycji – jak imponujących rozmiarów, acz tandetny budynek centrum handlowego w sercu miasta, przy ulicy 25 października (upamiętnia rewolucję bolszewicką w 1917 r.).

Kieruję się w stronę pomnika Aleksandra Suworowa, carskiego generała i fundatora Tyraspola. Gdy mijam gmach kinoteatru, uwagę zwraca twarz Emily Blunt, spoglądająca z plakatu „Dnia objawienia" Spielberga. Choć Naddniestrze to rosyjska strefa wpływów, na każdym kroku widać zachodnie symbole. Jak np. rzeźba Harry'ego Pottera, postawiona kilka lat temu przed Wydziałem Fizyczno-Matematycznym miejscowego uniwersytetu.

Pomnik Suworowa prezentuje się imponująco. Obok monumentu powiewają flagi: dwie większe, rosyjska i naddniestrzańska, oraz cały rój mniejszych. ↦

eprasa.pl 1f261a212b

JULIEN / ADOBE STOCK

Popiersie Lenina przed Domem Sowietów w Tyraspolu

↦ Symbolizują regiony wchodzące w skład nieuznawanej republiki. Okolice pomnika to przestrzeń w ogóle nasycona polityką historyczną – po drugiej stronie alei stoi pomnik Katarzyny Wielkiej.

Państwo prowizoryczne

W administracyjnym centrum miasta wszechobecne są ślady zarówno sowieckiej przeszłości, jak i dzisiejszych wpływów Federacji Rosyjskiej, która utrzymuje w Naddniestrzu swoje siły wojskowe.

W gmachu Domu Sowietów, z umieszczonym przed nim popiersiem Lenina, znajduje się dziś miejski ratusz. Tuż obok siedzibę ma Sheriff – największe przedsiębiorstwo w Naddniestrzu, założone w 1993 r. przed byłych funkcjonariuszy sowieckich tajnych służb. Dziś to największy pracodawca w Naddniestrzu, kontroluje niemal wszystkie gałęzie gospodarki i obszary życia społecznego. Sto metrów dalej mieści się czterogwiazdkowy hotel „Rossija".

Miasto sprawia wrażenie pogodzonego ze swoim statusem. Choć Naddniestrze nie ma szans na wybicie się na rzeczywistą niepodległość, a i Rosja w gruncie rzeczy nie wydaje się zainteresowana wciągnięciem marionetkowego państwa w swoje granice, to Tyraspol trwa w permanentnym zawieszeniu – jako prowizoryczna, ale jednak stolica.

Ku budziackim stepom

Z Naddniestrza jadę na południe. Kilkadziesiąt kilometrów od Kiszyniowa i Tyraspola jest jeszcze jedna stolica: Komrat. Jej mieszkańcy należą w większości do najbardziej chyba tajemniczego z narodów, składających się na wieloetniczny błam, jakim jest Mołdawia. Także pejzaż się zmienia: w miejsce pól uprawnych pojawiają się stepy.

Gagauzja to formalnie region autonomiczny w strukturach Mołdawii, z własnym parlamentem, systemem edukacji i budżetem. Choć żyjący tu ludzie, Gagauzi, są pochodzenia tureckiego, przynależą do Kościoła prawosławnego. Mają własny język, ale – podobnie jak w innych regionach Mołdawii – dominuje rosyjski.

Na południe od Komratu, niedużego miasteczka, na spieczonych słońcem wzgórzach Budziaku, jeszcze raz myślę o słowie „błam". Do polszczyzny trafiło z rumuńskiego, do niego z kolei z bułgarskiego. Przodkowie Gagauzów prowadzili koczownicze życie na stepach Eurazji. Poza Mołdawią ich potomkowie żyją dziś w Bułgarii, Kazachstanie i Rumunii.

Znów przekraczam granicę rumuńsko-mołdawską, w miasteczku Kaguł (rum. Cahul), na południowych krańcach Mołdawii. Z jednego z ostatnich besarabskich wzgórz spoglądam na tylko nieco oswojoną, pełną historii dolinę Prutu.

Nie opuszcza mnie poczucie i obcości, i zarazem bliskości.

© JULIUSZ PIELICHOWSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 1f261a212b

WOJCIECH

Bonowicz: *Czasem trzeba poczekać*

Dość często, w sytuacjach publicznych i prywatnych, pytany jestem o pocieszenie. Napisałeś „Dziennik pocieszenia", to teraz się tłumacz. Zauważyłem, że słowo to budzi pewien opór, tak jakby w pocieszaniu było coś zawstydzającego, moralnie podejrzanego. Jakby pocieszanie innych było równoznaczne z ich okłamywaniem, utrwalaniem złudzeń, w których tkwią. Człowiekowi nie pociechy potrzeba, lecz prawdy. Chory chce wiedzieć, co mu jest, samo zapewnianie, że będzie dobrze, mu nie wystarczy. Pociecha jako przejaw ignorancji? Albo nawet obłudy? No tak jakoś ludzie kombinują.

Może zresztą chodzi o coś innego jeszcze. Często w recenzjach można napotkać zdanie: „Ta literatura nie oferuje łatwych pocieszeń". Chciałoby się zapytać: a która oferuje? No owszem, bywają czytadła, których celem jest dostarczenie historii z happy endem, choćby nawet mało wiarygodnym. Pocieszenie sprowadza się wtedy do utwierdzania pewnych stereotypowych wyobrażeń o szczęściu i spełnieniu. Literatura ambitniejsza, jeśli jest pocieszycielką, to nie wprost.

Jest jakaś racja w twierdzeniu, że każda książka w oczach czytającego staje się autobiografią. Akt lektury zawsze jest niepowtarzalny, bo zawiera rys własny, odniesienie do własnego, niepowtarzalnego przecież życia. Pocieszeniem mogą być oczywiście takie czy inne przeczytane słowa, jakiś aforyzm, złota myśl albo opis sceny, która znacząco – i na lepsze – zmienia losy bohaterów. Ale na ogół pocieszenie płynie po prostu z faktu, że w literaturze możemy spotkać samych siebie, własne dylematy, emocje, których nie umiemy nazwać, i tak dalej. Literatura jest lustrem, które nie tyle przechadza się po gościńcu, ile czeka na nas w łazience. Nie zawsze przyjemnie w nie spojrzeć, ale bez niego wiedzielibyśmy o sobie znacznie mniej.

Zastanawiające jest skądinąd samo to sformułowanie: łatwe pocieszenia. Przysłuchuję się dyskusji. Ktoś pyta: „Czym jest nadzieja?". „Na pewno nie czymś w rodzaju łatwych pocieszeń", pada odpowiedź. Musi pojawić się ten przymiotnik „łatwe". Co jest w sumie optymistyczne, bo oznacza, że nie kwestionujemy pociechy jako takiej, ale jej ułatwione wersje. Istotnie, w życiu nie brak takich łatwych, zdawkowych prób pocieszania. Oferuje się je zwłaszcza dzieciom, bo przecież – tak się ciągle myśli – dzieci nie przeżywają tak samo jak dorośli. „Nie płacz, nic wielkiego się nie stało", „Jak się nie znajdzie, kupimy nową", „Pojedziesz innym razem". Muszę wyznać, że dość wcześnie zacząłem odczuwać takie pocieszanie jako coś irytującego. Dziecko jest gotowe pogodzić się ze stratą, zmierzyć z własnym smutkiem, ale na pewno nie pomaga mu w tym ani pośpiech, ani lekceważenie.

Pamiętam, jak opublikowałem „Bajki Misia Fisia" i zdarzało mi się rozmawiać o nich z przedszkolakami. Była wśród nich opowiastka zatytułowana „Fotel": „Pewien chłopiec skakał i skakał po fotelu swojego dziadka. W końcu fotel się zapadł i chłopiec wpadł do środka. Dziadek był zły, smutny i prosił babcię, żeby go nie pocieszała". Dzieci chętnie o tej opowiastce dyskutowały. Rozumiały bardzo dobrze, skąd się wzięły i złość, i smutek z powodu zniszczenia czegoś tak ważnego, z czego korzystało się na co dzień. Podawały przykłady własnych strat i żalu, że czegoś się nie odzyska. „Jak ktoś jest smutny, to nie trzeba mówić, trzeba przytulić", powiedziała jedna dziewczynka. Rzeczywiście, przytulenie nigdy nie jest „łatwym" pocieszeniem. „A jeśli dziadek nie chciałby nawet przytulenia?", spytałem. „To trzeba poczekać", usłyszałem w odpowiedzi. Ciekawe, kim jest dzisiaj ta dziewczynka, której imienia, niestety, nie pamiętam.

Pocieszenie jest w istocie towarzyszeniem. A w każdym razie gotowością, by stanąć przy kimś, kto w ten czy inny sposób cierpi. Pocieszenie to nie oszukiwanie, tylko gotowość do wzięcia na siebie choćby małej części tego cierpienia. W konsekwencji – to także pewien sposób życia. Nie pociesza ten, kto udaje, że nie ma problemu, albo tworzy nowe iluzje, ale ten, kto proponuje zmianę punktu widzenia. Czasem nie musi wiele mówić, może pokazać: „Popatrz w inną stronę".

A co powiedzieć o pocieszeniu, które płynie z obecności pięciu kotów? Co powiedzieć, Lusio? Malusio? Leonie? Beksio, śpiąca na mojej koszulce? Dzikusie, przytulony do mojego uda? ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

eprasa.pl 1f261a212b

Abp Guido Pozzo, sekretarz Papieskiej Komisji Ecclesia Dei, celebruje mszę pontyfikalną w Bazylice MB Bolesnej Królowej Polski, Licheń Stary, lipiec 2018 r.

OAZA CZY OBLĘŻONA TWIERDZA

Obok ekskomunikowanych niedawno przez Watykan lefebrystów istnieją środowiska tradycjonalistyczne działające w ramach Kościoła katolickiego. Ich liczebność w Polsce gwałtownie wzrosła.

DAWID GOSPODAREK

eprasa.pl 1f261a212b

DAWID GOSPODAREK

Trudno nie odnieść wrażenia, że czas stanął w miejscu, gdy w niedzielne południe w wypełnionym wiernymi krakowskim Kościele św. Łazarza wybrzmiewają dźwięki chorału i organowych preludiów. Ksiądz celebruje mszę zwrócony przodem do ołtarza, łacińskie słowa mszalnych modlitw przeplatają się z ciszą, kobiety w mantylkach i kapeluszach, a mężczyźni w garniturach klęczą w skupieniu.

W porównaniu do standardowej parafii dostrzegalna jest nadreprezentacja osób młodych i mężczyzn – nie mamy więc do czynienia z nostalgią za przeżytymi czasami. W tej dawnej liturgii młodsze pokolenia odkrywają coś nowego, odmiennego od codzienności.

O ile sekularyzacja młodych jest w Polsce alarmująca, tu tego nie widać. Można odnieść wrażenie historycznej rekonstrukcji, ale trudno nie dostrzec też autentyczności. To cotygodniowe niedzielne rytuały kilkudziesięciu tysięcy polskich katolików, których przyciąga tzw. msza w klasycznym rycie rzymskim, szerzej znana jako msza „trydencka".

Środowisko tradycjonalistów przestało być marginesem, co widać zwłaszcza w mediach społecznościowych. Jeszcze dwie dekady temu w Polsce istniało zaledwie sześć miejsc z dawną mszą odprawianą za specjalnym pozwoleniem biskupa (indultem) – wspomina Jarosław Syrkiewicz ze Śląska, od 21 lat związany z tradycyjną liturgią (wcześniej z Ruchem Światło Życie i Odnową Charyzmatyczną), członek zarządu Una Voce Polonia – stowarzyszenia wiernych wspierających rozpowszechnianie klasycznej formy rytu rzymskiego.

Środowiska były na tyle niewielkie, że raczej wszyscy się znali, co dawno się zmieniło.

Wzrost jest realny i trwały. Dziś liczba oficjalnych duszpasterstw i kaplic wzrosła do ok. 120 miejsc pozostających w pełnej jedności z Kościołem, a w rycie uczestniczy regularnie od 50 do 60 tysięcy wiernych skupionych wokół różnych ośrodków duszpasterskich. Środowisko okrzepło i jest różnorodne. Wielu mężczyzn tu rozeznało swoje powołanie do sakramentu święceń kapłańskich.

Kryptolefebryzm?

Nikt nie przeprowadził badań, samo środowisko z różnych względów też o to nie zadbało. Jednak zwłaszcza w kontekście niedawnych i nielegalnych sakr biskupich w Bractwie Kapłańskim św. Piusa X (tzw. lefebrystów czy piusowców), skutkujących ekskomuniką, można zauważyć, że i wśród uczestników oficjalnych duszpasterstw pewna część popiera radykalne działania i teologię negującą przełomowe elementy nauczania ostatniego soboru.

– Niestety wielu wiernych związanych z tradycyjnym duszpasterstwem w diecezjalnych strukturach nie odbiega poglądami od lefebrystów. Widać tu tego samego krytycznego i krytykanckiego ducha. Najbardziej rzuca się to w oczy w mediach społecznościowych – wskazuje jeden z księży celebrujących „po staremu" i zauważa, że również wśród duszpasterzy zdarzają się „kryptolefebryści", co wpływa na wiernych. Z wielu ośrodków duszpasterskich w Polsce do tej pory tylko w trzech zdecydowano, by w trosce o dobro wiernych przestrzec przed schizmatyckimi działaniami lefebrystów.

W pełnej jedności z papieżem działa np. Bractwo Kapłańskie Świętego Piotra (FSSP) – założone w 1988 r. przez księży wywodzących się ze środowiska arcybiskupa Lefebvre'a, którzy sprzeciwili się jego schizmatyckiemu aktowi. W Polsce jest ono obecne przede wszystkim w Krakowie i okolicach. Globalnie FSSP przeżywa rozkwit: jego seminaria kształcą ok. 180 kleryków – to więcej niż wiele diecezji zachodnioeuropejskich razem wziętych.

W kilku miastach Polski działa też Instytut Dobrego Pasterza (IBP) – założony w 2006 r. przez pięciu księży opuszczających piusowców, w tym ks. Aulagniera, bliskiego współpracownika abp. Lefebvre'a. W przyszłym roku planowane są tu święcenia kolejnych dwóch Polaków. W pozostałych ośrodkach w Polsce, stanowiących większość, duszpasterzują wyznaczeni przez biskupów kapłani diecezjalni lub zakonni.

Za wszystkie duszpasterstwa w diecezjach odpowiedzialni są biskupi. Czy wystarczająco dbają o to, by księża wyznaczeni do opieki nad osobami preferującymi dawną mszę troszczyli się o pogłębianie ich jedności z Kościołem?

Cisza i tajemnica

Motywacje są różne, choć kilka wątków powraca z regularnością chorałowych refrenów.

Monika, nauczycielka z Warszawy, opowiada, że nawróciła się właśnie przez zaciekawienie starą liturgią: – Doświadczyłam rytuału, którego nie rozumiałam, pewnej tajemniczości, może i dziwności. To mnie wybiło z rytmu. Po prostu zaczęłam zgłębiać, o co chodzi, czytałam dogmatyczne traktaty i liturgiczne opracowania, widzę spójność między doktryną i rytuałem. I po prostu wciągnęło mnie, uświadomiłam sobie, co to znaczy być katolikiem, i staram się tym żyć. Wcześniej nie utożsamiałam się z Kościołem, miałam szczątkową wiedzę, już w szkole średniej nie chodziłam na religię. Teraz mogę o sobie powiedzieć, że wierzę w to, co Kościół do wiary podaje, staram się to ↦

eprasa.pl 1f261a212b

↦ zrozumieć, chodzę regularnie na mszę i modlę się codziennie.

Podobnie Aleksander Barszczewski, 32-letni dziennikarz z Poznania, który – jak to sam ujmuje – odkrywał starą liturgię jako zbuntowany młody chłopak. Jego wybór nie był estetyczny ani doktrynalny, a duchowy. Stara msza pozwala mu stanąć naprzeciw Absolutu bez rozproszeń i gadulstwa – w świecie, który kipi rozpraszaczami i przegadaniem.

Jan Walczak z Konina, student teologii, podkreśla z kolei wrażliwość na piękno, w tym na chorał gregoriański, który daje mu, jak mówi, przedsmak liturgii niebieskiej.

Ks. Dawid Tyborski z Kaszub, celebrujący czasem po staremu, opisuje tę liturgię jako rodzaj oazy, która w przebodźcowanym świecie pozwala na wytchnienie i kontemplację. Teolog dr Paweł Beyga, 36-letni nauczyciel we wrocławskim LO nr IX, wskazuje natomiast na coś, co nazywa niedowolnością liturgii. W świecie, gdzie wszystko zależy od nastroju celebransa, stary ryt oferuje bezpieczeństwo i spokój – jest też lekarstwem na lęk przed banalizacją *sacrum*.

– Tradycyjna liturgia jest ze swej natury bardziej nastawiona na adoracyjność, ma więcej momentów ciszy, która nie jest przerwaniem liturgii, ale jej naturalną częścią – tłumaczy ks. Tyborski.

Uczestnicy dawnej liturgii wskazują też, że ważne jest dla nich poczucie ciągłości historycznej i łączności z poprzednimi pokoleniami katolików. Dla wielu istotna jest wspólnotowość – poczucie związku z osobami o podobnej wrażliwości i poglądach, a także obecność rodzin z dziećmi, niektórzy wyrażają też przekonanie, że tak sformalizowany ryt i społeczne oczekiwania porządku pomagają przy wychowaniu dzieci.

Zwłaszcza młodsi podkreślają, że cenią sobie duszpasterstwa wymagające i angażujące – co też może być reakcją na sekularyzację i pluralistyczne społeczeństwo: wierzący szukają mocniejszej identyfikacji, stabilności, zakorzenienia, rytmu.

Moda tradsa

Wizualna strona tych wspólnot rzuca się w oczy już od kruchty. Mantylki i inne nakrycia na głowach kobiet, wyraźnie dandysowski styl u wielu mężczyzn. Filip Łuczak, znany z mediów społecznościowych „Pan Kościelny", pracujący też w branży pielgrzymkowej, zauważa, że dla wielu jego znajomych poznanie starej liturgii wiązało się z przemianą stylu ubierania się na co dzień – koszule i marynarki stały się standardem. Tłumaczy to prosto: ubiór jest wyrazem szacunku dla ważnej rzeczywistości, jaką jest liturgia, a nasz zewnętrzny wygląd pokazuje, jakie mamy do niej podejście.

Estetyczna wrażliwość ma uzasadnienie we wrażliwości religijnej, ale bywa też polem kontrowersji, a niekiedy zwykłej agresji. Monika wspomina z przykrością sytuację sprzed kilku lat: pod kościołem dwie kobiety próbowały ją przekonywać, że musi zakrywać głowę, bo tylko prostytutki kuszą mężczyzn odsłoniętymi włosami. Ten epizod nie jest, jak się okazuje, odosobniony. Presja na wygląd – zwłaszcza kobiet – bywa w tych środowiskach odczuwalna i niekiedy przybiera formy, które trudno pogodzić z ewangeliczną delikatnością.

Niemile widziane są oczywiście spodnie u pań, tym bardziej krótkie spódniczki, w niektórych miejscach krzywo się patrzy nawet na inne niż „cieliste" rajstopy. Panowie nie powinni zakładać krótkich spodenek i raczej wystrzegać się dżinsów. Są miejsca bardziej i mniej liberalne. Podobnie jeśli chodzi o nakrycie głowy kobiet. Paweł Beyga dystansuje się od romantyzacji przeszłości, przypominając, że np. mantylki nigdy nie były właściwie polską tradycją – dawniej kobiety nosiły kapelusze lub chustki. A w tym środowisku o tę zewnętrzność potrafią wybuchnąć naprawdę bardzo ostre spory.

Żona tradycyjna

W mediach społecznościowych wśród osób związanych z tradycjonalizmem liturgicznym widoczny jest trend określany *tradwife* – tradycyjna żona – promujący życie domowe i „tradycyjny podział ról płciowych". Zjawisko jest od dawna obecne na Zachodzie, zwłaszcza w USA, w Polsce też zyskuje w tych środowiskach popularność.

Karolina, ok. 40-letnia pedagożka szkolna, szukając partnera trafiła do jednej z takich wspólnot za namową koleżanki, która przekonywała ją, że jest tam wielu dbających o siebie kawalerów. Podczas jednej z konferencji ksiądz z pasją wykładał, że katolicka żona musi być posłuszna mężowi jak Chrystusowi, i analizował starą przysięgę ślubną ze zobowiązaniem do posłuszeństwa. Karolina co prawda spotkała osoby podchodzące do tego z dystansem, ale – jak mówi – napotykane postawy niektórych mężczyzn i kobiet budzą jej niepokój, zwłaszcza że wie o różnych formach przemocy w niektórych małżeństwach.

Podobnie irytuje ją presja na wielodzietność: rozumie, że dziecko jest darem, ale, jak mówi, „mam czasem wrażenie, że rozmawiam z ortodoksyjnymi Żydami z filmu, a nie z katolikami w XXI wieku". Aleksander Barszczewski wskazuje, że wizerunkowa *tradwife* w mediach społecznościowych jest często kreacją bez pokrycia w rzeczywistości, dostępną głównie dla osób uprzywilejowanych.

Poglądy polityczne

Z aktywności w mediach społecznościowych można odnieść wrażenie, że wśród zwolenników tradycji przeważają sympatycy Konfederacji. Jarosław Syrkiewicz potwierdza, że kiedyś faktycznie środowisko było bardziej jednorodne politycznie, jednak upowszechnienie starej liturgii to zmieniło.

Paweł Beyga wskazuje na postać Marka Jurka jako przykład „politycznej bezdomności", charakterystycznej dla wielu tradycjonalistów rozczarowanych brakiem obrony wartości przez rządy deklarujące się jako konserwatywne. Poglądy teologiczno-społeczno-polityczne, jak przekonuje Beyga, nie przekładają się wprost na wrażliwość liturgiczną. Przypomina, że jednym z najczęściej celebrujących starą mszę biskupów był uchodzący za „liberała" Tadeusz Pieronek.

W tych środowiskach zauważalna była nadreprezentacja osób powątpiewających w istnienie pandemii covid-19, ulegających teoriom spiskowym, sprzeciwiających się obostrzeniom. Trudne do przyjęcia okazuje się tu też m.in. nauczanie Kościoła o migracji czy elementy nauczania o ekologii. Uprzedzenia do mniejszości, zwłaszcza Żydów, są w tych środowiskach raczej powszechniejsze niż w przeciętnej parafii.

Zaostrzenie kursu

Lipiec 2021 r. przyniósł tradycjonalistom wstrząs, z którego skutkami wciąż się zmagają. Papież Franciszek ogłosił *motu proprio* „Traditionis custodes", ograniczające sprawowanie starej mszy do miejsc i okoliczności wymagających zgody

eprasa.pl 1f261a212b

biskupa lub samej Stolicy Apostolskiej. Dokument cofnął liberalizację wprowadzoną przez Benedykta XVI w „Summorum pontificum” z 2007 r.

Aleksander Barszczewski przyznaje, że na początku poczuł się skrzywdzony, zwłaszcza że dokument uderzył w grupy lojalne wobec Rzymu, podczas gdy lefebrystom udzielono przywilejów. – Jednak po latach obserwowania, jak środowisko pozostające w formalnej jedności z Watykanem i obowiązującym nauczaniem Kościoła odnosi się do papieża i nauczania, które przynajmniej formalnie uznaje, zacząłem trochę inaczej patrzeć na ten dokument. Nadal uważam, że pewien styl „Traditionis custodes” oraz jego konkretne zapisy są przynajmniej w części raniące i szkodliwe, jednak mam nadzieję, że papież Leon zadba o szerokie udostępnienie tradycyjnej liturgii, ale tym, którzy nie upierają się przy przestarzałej eklezjologii – dodaje.

Paweł Beyga uważa, że argumentacja „Traditionis custodes” jest teologicznie słaba i niesprawiedliwa, szczególnie w zestawieniu z dużą swobodą liturgiczną przyznaną np. konwertytom z anglikanizmu. Zauważa jednak, że krytyczne głosy pod adresem dokumentu Franciszka płynęły także ze stron nieoczywistych, jak „Tygodnik Powszechny” czy „Więź”.

Jarosław Syrkiewicz wskazuje, że zakaz odprawiania mszy „trydenckiej” w parafiach jest narzędziem, które ma ograniczyć zainteresowanie tą formą wśród parafian, tolerując jedynie grupy entuzjastów i szczególnie zainteresowanych. – Taką sytuację mamy np. w Tychach, gdzie po przeniesieniu mszy do innego kościoła w pobliskim mieście zanotowaliśmy spadek frekwencji, gdyż parafianie z poprzedniego miejsca celebracji już na nią nie przychodzą.

Reakcja polskich biskupów okazała się w porównaniu z Zachodem umiarkowana, a w wielu miejscach bardzo życzliwa. Sytuacja w Polsce pozostała przez to stabilniejsza niż na Zachodzie, gdzie część diecezji zlikwidowała duszpasterstwa tradycyjne. Niemniej Jarosław Syrkiewicz przyznaje, że radykalizacja cały czas niestety postępuje – część wiernych przeszła do kaplic lefebrystów.

Pokusa oblężonej twierdzy

Wśród tradycjonalistów wybijają się też niepokojące tendencje, w jakiejś mierze

DAWID GOSPODAREK

Granica ortodoksji zostaje przekroczona w momencie, gdy zaczynamy wierzyć, że **po Soborze Watykańskim II przestał działać w Kościele Duch Święty.**

będące skutkiem zaniedbań duszpasterskich. Jedną z nich Paweł Beyga scharakteryzował jako próbę zamknięcia Opatrzności w klamrę czasową. Aleksander Barszczewski mówi wprost: granica ortodoksji zostaje przekroczona w momencie, gdy wierny zaczyna wierzyć, że Duch Święty przestał działać w Kościele od rozpoczęcia Soboru Watykańskiego II. To postawa prowadząca do odrzucenia nie tylko nowej liturgii, ale i całego nauczania współczesnych papieży.

Wielu wiernych ma problem z tym, że kościelna rzeczywistość się zmienia (rytuały, język, nawet elementy nauczania) i problematyczne jest dla nich np. pogodzenie nauczania przedsoborowych papieży o relacjach z chrześcijanami innych wyznań z soborowym ekumenizmem. Ks. Tyborski diagnozuje zjawisko, które określa mianem samowoli doktrynalnej: osobiste interpretacje, prywatne objawienia lub własne „widzimisię” stają wyżej niż oficjalne nauczanie Kościoła.

Drugą pokusą jest intelektualne uproszczenie. Paweł Beyga zwraca uwagę, że duszpasterzem dla wielu staje się internet. Zamiast trudu zrozumienia teologicznej głębi, łatwiej zadowolić się prostymi, czarno-białymi odpowiedziami, „memami teologicznymi” – chwytliwymi sloganami i wyrwanymi z kontekstu cytatami z dawnych papieży, mającymi służyć za ostateczny argument w sporach. – Łatwiej jest oczywiście wziąć dwa cytaty np. z Piusa IX i Jana Pawła II, i zamknąć dyskusję stwierdzeniem, że te nauczania są sprzeczne. Zamiast trudu zrozumienia rozwoju doktryny mamy krytykanctwo zastępujące roztropne wyważenie – mówi Beyga.

Najbardziej jaskrawym błędem eklezjologicznym jest jednak tworzenie tego, co Beyga nazywa równoległym Kościołem. Radykalnym przykładem za czasów papieża Franciszka było pomijanie jego imienia w mszalnym kanonie. Jeden z księży zauważa, że wiele zależy jednak od konkretnego duszpasterza: gdy ma szerokie horyzonty, wspólnota jest bardziej otwarta. Choć wielu księży nie porusza tematów kontrowersyjnych dla tradycjonalistycznych wiernych z lęku, że ci uznają to za „modernizm” i przejdą do lefebrystów. Zdrowym wspólnotom sprzyja też obecność w nich wielodzietnych rodzin, których codzienny trud sprowadza na ziemię i broni przed ideologicznym nakręcaniem.

Środowisko skupione wokół dawnej liturgii jest pełne młodzieńczej pasji i pragnienia *sacrum*. Wykazuje się nieprzeciętną ofiarnością w odpowiedzi na materialne potrzeby, i konkretnym zaangażowaniem (remonty kaplic, formacja, uczenie się chorału czy ministrantury, osobista pobożność). Tego potencjału nie można bagatelizować. Zarazem grozi mu zamknięcie we własnym, coraz szczelniejszym świecie. Paweł Beyga podkreśla, że Kościół ani nie zaczął, ani nie skończył się na ostatnim soborze. Perspektywiczne jest odczytywanie tradycji w jedności z aktualnością Kościoła, bez pogardy dla tego, co stare, i bez lęku przed tym, co nowe. Granica nie przebiega między starą a nową mszą, tylko między wiernością a separatyzmem.

© DAWID GOSPODAREK

eprasa.pl 1f261a212b

DOMENA PUBLICZNA / MONTAŻ „TP"

JOHN GUSTAF AGELII,
znany jako Ivan Aguéli (1869-1917) – szwedzki malarz i pisarz, po pobycie na Bliskim Wschodzie i przejściu na islam wędrowny sufi, propagator mistyki i medytacji islamskiej w Europie.

TO SIÓDMA CZĘŚĆ CYKLU O HISTORII ZACHODNIEJ MEDYTACJI.
W poprzedniej pisaliśmy o odarciu buddyzmu zen z japońskiej otoczki kulturowej i rytuałów, o D.T. Suzukim i medytacji rozumianej jako droga oświecenia, o korespondencyjnych kursach zen i ich powodzeniu wśród elit intelektualnych i kulturalnych.

W KOLEJNYM TEKŚCIE przeczytamy: o „naukowym" umocowaniu jogi w okresie międzywojennym, o Paramahansie Joganandzie i synkretycznej drodze medytacji jako zjednoczeniu z Bogiem, o zachodniej recepcji jogi za pośrednictwem tłumaczy myśli hinduskiej.

Wszystkie teksty z cyklu dostępne na www.tyg-pow.pl/medytacja

Autor cyklu – Maciej Bielawski – jest teologiem, pisarzem i wykładowcą uniwersyteckim z Werony, nauczycielem kontemplacji i duchowości.

Modlitwa Jezusowa i zikr

MACIEJ BIELAWSKI

HISTORIA MEDYTACJI | **Opowieść o dwóch tradycjach mistycznych – prawosławnej i muzułmańskiej – które choć różne, mówiły zaskakująco podobnym językiem.**

Zanim ponownie zaczniemy się przemieszczać pomiędzy Japonią i USA, Indiami i Europą, zapytajmy, co w pierwszej połowie XX wieku działo się pośrodku, czyli między Władywostokiem a Petersburgiem.

Najprościej można by powiedzieć, że niewiele, jeśli chodzi o interesującą nas tu historię. Można jednak założyć, że i w miejscach, o których w naszym cyklu nie wspominamy, ludzie medytowali. Choć oczywiście czym innym jest wpisana w naturę człowieka skłonność do medytacji, której, tak czy inaczej, każdy jakoś ulega, a czym innym świadome jej praktykowanie, tworzenie dla niej szczególnych miejsc i pisanie na jej temat.

Pietrograd, Leningrad i książka bez autora

W interesującym nas okresie Rosja zafundowała sobie zamach stanu i wojnę domową, które zmieniły jej ustrój i pochłonęły miliony ofiar. Na sprawy duchowe nie pozostawiono zbyt wiele miejsca. Wspomniany powyżej Petersburg w 1914 r. stał się Pietrogradem, cztery lata później przestał być stolicą, a w 1926 r. został przemianowany na Leningrad. Już sama zmiana tych nazw godna byłaby medytacji, co zresztą pięknie uczynił Josif Brodski w eseju „Przewodnik po mieście, które zmieniło imię" (1979), do którego odsyłam ewentualnych zainteresowanych.

Poczynając od drugiej dekady XX wieku, do krajów Europy Zachodniej zaczęli masowo napływać rosyjscy uchodźcy, przynosząc z sobą także ocalałe skarby tamtejszej kultury i duchowości. Jednym z nich były „Opowieści pielgrzyma. W poszukiwaniu nieustannej modlitwy". Przez niemal sto lat uważano je za dzieło anonimowe, lecz dzisiaj wiemy, że autorem był Arsenij Trojepolski (1804-1870), twórca kilku innych jeszcze, całkiem dobrych książek. „Opowieści pielgrzyma" ukazały się po raz pierwszy drukiem w 1881 r. w Kazaniu i do czasów rewolucji miały w Rosji kilka wydań, lekko zretuszowanych przez kościelną cenzurę. W 1925 r. książka ukazała się w niemieckim tłumaczeniu pod tytułem „Ein russisches Pilgerleben", po czym pojawiły się tłumaczenia na inne języki, czyniąc z „Opowieści pielgrzyma" „najbardziej wpływową książkę duchową XX wieku" (S. Philips), co już bezpośrednio wiąże ją z naszą historią medytacji.

Modlitwa jak mantra

„Opowieści pielgrzyma" opisują, w formie przygodowej powieści, losy młodego i dotkniętego licznymi nieszczęściami mężczyzny, który – by uśmierzyć egzystencjalny ból – poszukuje „modlitwy nieustannej". Znajduje ją w postaci powtarzanej formuły „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną". Poza barwnymi przygodami i ciekawymi rozmyślaniami bohatera znajdziemy w książce cały szereg nauk na temat tej modlitwy. Dzieło jest w sumie „uprzystępnieniem" szerokiej publiczności istniejącej od wieków praktyki (i teorii) znanej pod takimi nazwami jak „modlitwa Jezusowa", „modlitwa serca" czy hezychazm, których najlepszym podręcznikiem była i jest „Filokalia" (Arsenij Trojepolski był jej znawcą i miłośnikiem).

Posługując się współczesnym żargonem, można powiedzieć, że „Opowieści pielgrzyma" proponują modlitewną medytację za pomocą mantry. Tak też była ona i jest do dzisiaj traktowana przez wiele osób zainteresowanych praktykami duchowymi. Zaskakujące jest – i zarazem niemożliwe do opisania – ile osób w XX wieku przeszło od „modlitwy

eprasa.pl 1f261a212b

Jezusowej” do innych form medytacji. Albo odwrotnie – po zapoznaniu się z medytacją buddyjską lub hinduską znalazło szczęśliwy port właśnie w praktyce metody hezychastycznej. Tym samym do krwiobiegu współczesnej subkultury medytacyjnej została wprowadzona pradawna praktyka chrześcijańska, ocalała z wielowiekowej tradycji prawosławia, w tym czasie w Rosji prześladowanego, więc szukającego swego nowego wcielenia poza jej granicami.

Dziewięćdziesiąt dziewięć imion

Drugą przestrzenią między Wschodem i Zachodem, nie mniej rozległą, był obszar ciągnący się od północnych Indii po północno-zachodnią Afrykę. Mam tu na myśli oczywiście islam, związany z nim sufizm i jego praktyki medytacyjne, które zaczęły docierać na Zachód, dokładając swoje trzy grosze do współczesnego ruchu medytacyjnego. Wspominam o tym także dlatego, że prawosławny hezychazm i islamski sufizm mają wiele punktów wspólnych, a w przeszłości nawzajem na siebie oddziaływały. Nawet Arsenij Trojepolski w „Opowieściach pielgrzyma” wspomina o Bucharze, której mieszkańcy praktykowali modlitwę wewnętrzną.

Bez wnikania w historyczne rozważania i doktrynalne dyskusje na temat tego, czym jest sufizm, powiedzmy, że chodzi o nurt duchowości związany z islamem, pełen fascynujących postaci, pism i praktyk duchowych. *Dhikr* (wym. zikr) to jedno ze słów, które w sufizmie oznacza medytację. Etymologicznie *dhikr* to tyle co „pamięć” czy „wspomnienie”, a jego praktykowanie opiera się na trzech filarach: okresowym odosobnieniu, wewnętrznym skupieniu i recytacji imienia (lub wszystkich 99 imion) Allaha. Sufizm znał i zalecał praktykę tej medytacji indywidualnie, jak i w grupach, stwarzając nawet rodzaj rytuału, czasami powiązanego z muzyką i tańcem.

Szwed, sufi i szpieg

W epoce nowożytnej niektóre wiadomości na temat *dhikr* dotarły na Zachód między innymi dzięki postaci Johna Gustafa Ageliiego, lepiej znanego jako Ivan Aguéli (1869-1917). Był to Szwed, który po pobycie na Bliskim Wschodzie osiadł około roku 1911 w Paryżu, gdzie założył stowarzyszenie zajmujące się praktyką i propagowaniem sufizmu. Pominę tu wątek sensacyjny mówiący o tym, że Aguéli mógł swoją działalność duchową łączyć ze szpiegostwem na rzecz Imperium Osmańskiego. Nie pierwszy i nie ostatni raz duchowość i polityka splotły się ze sobą w historii medytacji. W każdym razie Aguéli przyczynił się do rozpropagowania sufizmu, mistyki i medytacji islamskiej w Europie, zwłaszcza że przez pewien czas jednym z członków jego stowarzyszenia był René Guénon (1886-1951), francuski pisarz ezoteryczny, współtwórca tzw. tradycjonalizmu integralnego. Można by zresztą dodać tu całą listę badaczy, tłumaczy, pisarzy, malarzy, którzy w taki lub inny sposób uprzystępniali zachodniej publiczności skarby duchowości islamu. Pośrednio oddziałując także na świat medytacji.

Wirtuoz sitaru i jedność dusz

Kilka słów należy też poświęcić postaci Hazrata Inayata Khana (1882-1927), dzięki któremu sufizm, jego duchowość i medytacja przebiły się na Zachodzie do szerszego grona osób. Inayat Khan pochodził z leżącego w środkowo-zachodnich Indiach miasta Baroda (dziś Vadodara), z rodziny wybitnych muzyków (jego dziadka nazwano indyjskim Bethoveenem). Zainteresowania Inayata szły więc dwutorowo: ku muzyce i duchowości. Został wirtuozem sitaru, a zarazem przystał do sufickiego zakonu Chishitów, którego mistrz zalecił mu w pewnym momencie rozpropagowanie duchowości sufizmu na całym świecie. W 1910 r. Inayat Khan stworzył Międzynarodowy Zakon Sufich, a jego nauka o duchowej jedności wszystkich ludzi odbiła się szerokim echem na Bliskim (Europa) i Dalekim (USA) Zachodzie, które odwiedzał. Częścią integralną jego nauczania, obok muzyki, konferencji i odosobnień, była także praktyka medytacji. Pisał o niej: „Medytacja to nie tylko ćwiczenie, które należy praktykować. Podczas medytacji dusza zostaje napełniona nowym światłem i życiem, a także natchniona i umocniona. W medytacji kryje się wszelkiego rodzaju błogosławieństwo”. Połączenie muzyki, tańca i medytacji, pod auspicjami powszechnej harmonii i uniwersalistycznej duchowości, pozyskało mu wielu zwolenników.

Dodajmy jeszcze, że żona Inayata Khana, Ora Ray Baker, była krewną Mary Baker Eddy, założycielki Stowarzyszenia Chrześcijańskiej Nauki (Christian Science), powiązanej z Ruchem Nowej Myśli (New Thought Movement). Z kolei przyrodnim bratem Mary był Pierre Bernard, sławny propagator jogi w USA. O czym wspominam, by podkreślić sieć powiązań, rodzinnych i towarzyskich, pomiędzy propagatorami medytacji różnych nurtów. W tym samym czasie swoje duchowe doświadczenia i przygody odbywał, głównie pośród sufich, Georgij Iwanowicz Gurdżijew (znany na Zachodzie jako Georges Ivanovich Gurdjieff; 1872-1949), którego nauki stanęły u podstaw późniejszej tak zwanej medytacji dynamicznej. ©

Opowieści pielgrzyma

Wyobraź sobie swoje serce, zwróć oczy ku niemu tak, jakbyś na nie patrzył. Zarazem umysłem nasłuchuj, jak ono bije i uderza raz za razem. Nazywa się to według świętych ojców „sprowadzeniem umysłu z głowy do serca”. Gdy do tego stanu się przyzwyczaisz, to zacznij z każdym uderzeniem serca, patrząc na nie, łączyć słowa modlitwy w taki oto sposób.
Za pierwszym uderzeniem wymów lub pomyśl „Panie”; za drugim „Jezu”; za trzecim „Chryste”; za czwartym „zmiłuj się”; za piątym „nade mną”. Powtórz to wielokrotnie. Będzie to dla ciebie łatwe, gdyż posiadasz już podstawy modlitwy serca. Potem, gdy i do tego już przywykniesz, zacznij wprowadzać i wyprowadzać całą modlitwę Jezusa do serca wraz z oddechem, jak uczą ojcowie, to znaczy wraz z wdechem wymów lub pomyśl „Panie Jezu Chryste”, a wydychając „zmiłuj się nade mną”. Oddawaj się temu zajęciu często i jak tylko długo możesz, a w krótkim czasie odczujesz delikatny i przyjemny ból w sercu, a potem pojawi się w nim ciepło i rozgrzanie. Tak to z Bożą pomocą dojdziesz do działającej samoczynnie, przyjemnej i wewnętrznej modlitwy serca. Zarazem jednak uważaj, aby w umyśle nie przedstawiać sobie żadnych wizji ani nie akceptować żadnych wyobrażeń, gdyż święci ojcowie z mocą nakazują, aby w modlitwie wewnętrznej chronić niewyobrażalność, aby nie popaść w złudne oczarowanie.

Fragment rozdziału IV, tłum. Maciej Bielawski

eprasa.pl 1f261a212b

Podkastowe nieposłuszeństwo

ANNE GUILLARD, TEOLOŻKA:

KOBIETY W KOŚCIELE | Stworzyłyśmy platformę internetową dla ludzi, którzy tak jak my są o włos od opuszczenia Kościoła. By pokazać, że można żyć wiarą i być katolikiem, nawet jeśli się jest na marginesie wspólnoty.

ZUZANNA STAWISKA: Co Cię tak uwierało, że postanowiłaś powiedzieć „dość"?

ANNE GUILLARD: Dorastałam w dość mainstreamowym katolicyzmie. Mówiono nam, jak niebezpieczne jest społeczeństwo – tu kobiety pragnące emancypacji, tu osoby queer domagające się swoich praw i tak dalej. Tymczasem z mojego doświadczenia wynika, że społeczeństwo jest kształtowane przez relacje władzy i przemocy, często skierowanych właśnie przeciwko kobietom i osobom queer. A to wcale nie przystaje do tego, co mówił Kościół.

Kościół zwykle przemawia w sposób oficjalny, poprzez biskupów, księży lub papieża, więc można odnieść wrażenie, że ich zdanie w danej sprawie podzielają wszyscy katolicy. Ja się z tym nie zgadzam. Jako osoba wierząca jestem częścią Kościoła i ponoszę za niego współodpowiedzialność. Dlatego chcę powiedzieć głośno: jestem katoliczką i mam inne zdanie.

Twoja pierwsza książka, „Na rzecz nowego zaangażowania w chrześcijaństwo", była początkiem mówienia własnym głosem w Kościele?

Tak. Chodziło o to, by dotrzeć bezpośrednio do innych katolików, których uwierało np. uwikłanie Kościoła w związki z polityczną prawicą.

Dlatego od paru lat produkujesz podkasty, będące alternatywą dla standardowych, niedzielnych kazań?

Podczas studiów doktoranckich spędziłam rok na Uniwersytecie w Yale, gdzie odkryłam Kościół episkopalny. Parafia, w której mieszkałam, była niesamowita: nie miała pastora, więc wspólnota wyznaczyła dyżury i w każdą niedzielę podczas nabożeństwa inna osoba wygłaszała kazanie. Wykładowcy uniwersyteccy, pracownicy biurowi, właściciel małej firmy, kobiety, mężczyźni – naprawdę bardzo różni ludzie, którzy nadali Ewangelii wymiar, jakiego wcześniej nie doświadczyłam. Dla mnie był to niesamowity powiew świeżości. Zdałam sobie sprawę, do jakiego duchowego ubóstwa doprowadzamy, pozostawiając komentowanie i interpretowanie Ewangelii księdzu – mężczyźnie wykształconemu w seminarium.

I nagle wtedy poczułam coś w rodzaju olśnienia. Pomyślałam, że to jest o wiele bardziej boże miejsce niż te, które znałam do tej pory. Kiedy chodziłam na mszę we Francji, niemal zawsze wychodziłam zła. Wielu księży wykorzystywało swoją pozycję do promowania swoich poglądów politycznych, których ja nie podzielałam. Nie mogłam zrozumieć, jak oni mogą wykorzystywać do tego Ewangelię. Po powrocie ze Stanów spotkałam Valentine Rinner, Lucie Sharkey i Claire Chastel.

Z którymi później założyłaś inicjatywę Oh My Goddess.

Tak. Wszystkie wtedy mówiłyśmy, że nie postawimy już więcej stopy w kościele. Nie chciałyśmy słuchać politycznych wypowiedzi księży, ale jednocześnie chciałyśmy żyć zgodnie z naszą wiarą, rozwijać swoje życie duchowe. Nie chciałyśmy się wyprzeć katolicyzmu.

Powiedziałyśmy sobie: „Dobra, stwórzmy platformę internetową, na której będziemy udostępniać materiały innym, którzy tak jak my są o włos od opuszczenia Kościoła". Po to, by pokazać, że można żyć wiarą, być katolikami, próbować wspólnie budować Kościół, nawet jeśli jest się na marginesie wspólnoty. Dla nas to jest w porządku.

Waszym pierwszym projektem był podkast „Dobra Nowina".

To była forma twórczego nieposłuszeństwa, duchowej subwersji. Chciałyśmy dać szansę głosić Ewangelię tym, którym prawo kanoniczne zabrania robić to w czasie mszy.

We Francji już od dawna feministki domagają się kapłaństwa kobiet...

Nasza działalność dopełniała już istniejące ruchy, które oczywiście popieramy, ale jesteśmy już nowym pokoleniem feminizmu, zwracamy uwagę na niesprawiedliwość, dyskryminację i przemoc nie tylko wobec kobiet, ale dużo szerzej – także wobec dzieci czy osób queerowych.

Do kogo skierowana jest Wasza działalność?

Głównie do osób, które podobnie jak my czują pewien dyskomfort w Kościele, ale niekoniecznie mają czas, żeby dokładniej się zastanowić nad powodami, przeanalizować je. To ludzie, którzy mają krytyczne podejście do wiary, przez co mogą odczuwać w sobie jakiś rozdźwięk. Dla wielu osób to dość trudna sprawa. Wiara religijna jest zwykle przekazywana w rodzinie. Często wydaje nam się, że krytykując ją lub dystansując się od niej, popełniamy niemalże jakieś ojco- albo matkobójstwo. My też byłyśmy w podobnej sytuacji. Chcemy im pokazać, że nie są sami.

Staramy się też stworzyć narzędzia, które pomogą ludziom zrozumieć historyczną odpowiedzialność Kościoła za przemoc wyrządzoną kobietom i dzieciom – ludziom po prostu. Kościoła, który zawsze stał po stronie władzy, opowiadał się po stronie silniejszego, podpierał się imperiami czy podbojami kolonialnymi. Zawsze działał po stronie oprawcy, mimo że głosił coś dokładnie przeciwnego.

Pokazujemy, że można być katolikiem i z tego ogromnego dziedzictwa wybierać to, co jest nam potrzebne. Jako Oh My Goddess też czujemy się częścią tej tradycji – ludzi, którzy w każdym stuleciu walczyli z wypaczeniami w Kościele katolic-

eprasa.pl 1f261a212b

ERIC BRONCARD / AFP / EAST NEWS

„Marsz dla Jezusa" organizowany w Paryżu przez francuskich ewangelików przyciąga coraz więcej młodzieży katolickiej. Paryż, 6 czerwca 2026 r.

kim. Nie robimy nic szczególnie przełomowego.

Nauczyć zwykłych ludzi dzielenia się Ewangelią nie jest chyba łatwo?

Chodzi o to, by dać głos tym, którym nigdy go nie dano, pokazać, jak każdy z nas interpretuje swoje życie w oparciu o teksty biblijne. Oczywiście wymaga to sporo pracy. Wiele kobiet musiałyśmy przekonywać, powtarzałyśmy im: twój głos ma znaczenie, twoja interpretacja jest ważna, nawet jeśli nie jest to uczona egzegeza, bo nie studiowałaś teologii – nie o to nam chodzi. Nie prosimy o wykład, chcemy przekazać ich duchowy głos, świadectwo ożywczej mocy Ewangelii. Osoba, która o tym opowiada, musi tym żyć. Tylko wtedy będzie to ożywcze także dla słuchaczy. I rzeczywiście dostajemy listy od osób, które pisały, że to zmieniło ich życie, wyrwało ich z osamotnienia.

Myślę, że za bardzo zinternalizowaliśmy w sobie przekonanie, że to, co mamy do powiedzenia, jest nieciekawe, i że Bóg woli mówić poprzez księdza. Pokonanie tych wewnętrznych i psychologicznych oporów jest niezwykle trudne.

Wspominałaś, że często nie czujesz się swobodnie w Kościele. Jak sobie z tym radzisz?

To zależy. Są chwile, kiedy jestem spokojniejsza i bardziej cierpliwa. Wtedy nie muszę chronić się przed irytacją czy gniewem, kiedy idę do kościoła. Ale nie za każdym razem. Zdarza mi się płakać, jak widzę, że wokół ołtarza są sami mężczyźni, że tylko oni mówią homilię...

W takich momentach modlę się za Kościół, za księży, którzy tam są, za wiernych. Żeby zdarzył im się jakiś nagły przypływ empatii, spotkało ich jakieś drobne doświadczenie, pod którego wpływem zmieni się ich perspektywa patrzenia na Kościół, wiarę czy relacje międzyludzkie.

Po opublikowaniu raportu CIASE (o seksualnej przemocy w Kościele francuskim) kilku moich znajomych powiedziało: „To koniec, już nie mogę uważać się za katolika". Sama zaczęłam się zastanawiać, czy jeśli nie wyjdę z Kościoła, nie będę współwinna.

Dziś moja wiara jest bardziej swobodna, mniej obciążona takim ukrytym poczuciem winy. Przymusem, że trzeba chodzić do kościoła w każdą niedzielę, chodzić do spowiedzi, przyjmować komunię, nie krytykować, nie narażać wspólnoty. Mam też więcej pewności siebie, bo nie jestem już tak związana z instytucją Kościoła. Ale jednocześnie nie mogę, nie zamierzam się od niej odciąć, bo nadal czuję za nią współodpowiedzialność.

Dlaczego?

To nie wiąże się z poczuciem winy. Myślę, że to moja wiara sprawia, że czuję się współodpowiedzialna. I nie pozwala pozostać bierną. To po prostu coś, co czuję w głębi serca. Poczucie, że gdybym przestała się angażować, to prędzej czy później życie by mi to przypomniało.

Coś w rodzaju powołania? ↦

eprasa.pl 1f261a212b

↦ Tak. Za każdym razem, gdy zbaczam z tej drogi, jakoś to do mnie powraca. Prawda, moje zaangażowanie sporo mnie kosztowało. Odbiło się nawet na moim życiu zawodowym. Nie powiem, że z tego powodu nie dostałam jakiejś konkretnej pracy, ale na pewno mi nie pomogło. Nawet dzisiaj w niektórych kręgach są ludzie, którzy będą mi rzucać kłody pod nogi z powodu mojego aktywizmu.

Czy Oh My Goddess to tylko niedzielne homilie?

Mamy też czat dla naszej grupki, na który wysyłamy wiadomości, jak poruszył nas i przemówił do nas fragment Biblii na dany dzień. Czasami zdarzają się dni, a nawet tygodnie, kiedy nic do nas specjalnie nie przemawia. Ale zawsze w końcu przychodzi taki moment, że przeczytane Słowo porusza w kimś czułą strunę. Ktoś zrozumiał ten fragment w innym świetle niż do tej pory i pisze nam, jakie to miało dla niego znaczenie.

To sposób, by nie popaść w izolację? By czytać Biblię nie samemu i samodzielnie o niej rozmyślać, tylko szukać wspólnoty?

Dokładnie tak. Działamy jako grupa od 2018 r. Szczerze mówiąc, uważam, że łączy nas duchowa i intelektualna więź, co jest cudowne. Powtarzam sobie: dla mnie to ogromne szczęście, że mam te goddesski.

Na ile Wasze przesłanie dociera do przeciętnego katolika we Francji?

Trudno powiedzieć. Udzieliłam kilku wywiadów dla „La Croix", które jest dość popularnym pismem katolickim. Najnowszy dotyczył teologii queer. Starałam się pokazać, że chrześcijaństwo jest przede wszystkim religią transgresji: Bóg uniża się, staje się małym dzieckiem, ofiarą morderstwa, a potem zmartwychwstaje, zabierając ze sobą zmarłych. Teologia queer bardzo serio traktuje chrześcijańską rewolucję, której przykładem są listy Pawła: „Nie ma już wolnego ani niewolnika, kobiety ani mężczyzny".

Wiem, że w wielu kręgach ludzie są świadomi istnienia Oh My Goddess czy ogólnie mówiąc teologii feministycznych. Ale są i ci, którzy wynieśli katolicyzm z domu i są przekonani, że za teologią feministyczną i queerową stoi grupa histerycznych kobiet, które chcą na siłę nadać chrześcijaństwu nowoczesny, queerowy i feministyczny charakter.

Jednak szczerze mówiąc, nie sądzę, że wywrzemy jakiś znaczący wpływ na Kościół. Ludzie mają tendencję do słuchania głównie księży. Wielu księży ma liczne grono zwolenników, prowadzą blogi lub kanały na YouTubie, gdzie powielają język prawa kanonicznego albo kreują się na ofiary współczesnego społeczeństwa, które ich zdaniem jest dekadenckie, indywidualistyczne i tak dalej. Uważają siebie za posłańców prawdy. Dzięki temu łatwiej jest im trafić do ludzi o konserwatywnych poglądach.

Masz nadzieję, że Wasze zaangażowanie coś zmieni?

Tak i nie. Myślę, że nie dożyję dnia, w którym coś się zmieni w tych sprawach, o które walczyłam. Ale powtarzam sobie, że jestem tylko trybikiem w kołowrotku historii i że większość ludzi, którzy się angażowali w zmiany, nigdy nie zobaczyła owoców swoich działań. Moim obowiązkiem jest wnieść ten swój niewielki wkład, ale bez przywiązywania się do tego, że muszę absolutnie zobaczyć efekty. Tu naprawdę potrzebna jest pokora, by zrozumieć, że większości problemów nie da się łatwo rozwiązać. Musimy starać się jak najlepiej wykorzystać nasze zasoby, by robić to, w co się wierzy. Mamy też pewną odpowiedzialność za własne życie: aby żyć z radością. Żeby dawać innym nadzieję i dzielić się wiarą. Ale też dbać o własne zdrowie, także psychiczne. Przecież nie chodzi o to, by się wypalić, być sfrustrowanym i nieprzyjemnym dla innych.

Ale też jakieś efekty by się przydały. Bo przecież zależy mi, by się udało. Gdy widzimy rezultaty tego, co robimy, dostajemy zastrzyk energii, bez której trudno byłoby dłużej wytrzymać. Wsparcie innych dla tego, co robię, to też jest efekt. Dla mnie bardzo ważny.

© Rozmawiała ZUZANNA STAWISKA

Autorka jest dziennikarką piszącą o zdrowiu publicznym, kulturze i tematach społecznych. Pracuje dla „The European Correspondent".

ALAIN GROSCLAUDE / ARCHIWUM PRYWATNE

ANNE GUILLARD (ur. 1991) jest doktorem teologii i nauk politycznych. Współzałożycielka kolektywu Oh My Goddess oraz inicjatywy Toutes Apôtres (znanej z akcji zgłaszania kobiet-kandydatek na stanowiska kościelne zastrzeżone dotąd dla mężczyzn). Autorka książek na temat reformy Kościoła i redaktorka zbioru esejów teologii feministycznej „Dieu.e". Obecnie redaktorka wydawnictwa Labor et Fides.

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Wieliczce Wydziałem I Cywilnym do sygn. akt I Ns 399/23 na wniosek Elżbiety Łachman toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie przez Janinę Wójcik z domu Morawa z dniem 1 stycznia 2003 r. działki ewidencyjnej 251/2 położonej w miejscowości Grabie, gmina Skawina, objętej LWH 339 Polanka Hallera, o powierzchni 0,0145 ha – z karty B dawnej księgi wieczystej Lwh wynika, że własność tej działki przypada w udziale 1/2 części na rzecz Franciszka Kawaler i w 1/2 części na rzecz Agaty Kawaler.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tut. Sądzie i udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności nieruchomości, jeśli zostanie udowodnione.

eprasa.pl 1f261a212b

O. WACŁAW

Oszajca:
Nie uciekajmy od świata

Co jakiś czas, na przykład w piątek, zamiast zastanawiać się, czy jeść dorsza, czy może jednak wątróbkę, pobożniej będzie ten czas przeznaczyć na pomyślenie, z czym mi się kojarzy modlitwa? Jeśli z prośbą, to jak się modlić, żeby być wysłuchanym? To znaczy mieć wpływ na decyzje podejmowane przez Boga. Z własnego doświadczenia wiemy, ale boimy się do tego przyznać, że z tym spełnianiem modlitw bywa różnie, dlatego szukamy możnych protektorów. Oczywiście najskuteczniejszym jest, któż by inny, jak nie matka Jezusa. Stąd: „Ciebie więc, o Matko Nieustającej Pomocy, przez bolesną mękę i śmierć Twojego Boskiego Syna, przez niewypowiedziane cierpienia Twego Serca, o Współodkupicielko, błagam najgoręcej, byś wyprosiła mi u Syna Twego tę łaskę, której tak bardzo pragnę i potrzebuję".

A przecież to szantaż, stawianie Maryi pod ścianą, a Boga Ojca w kiepskim świetle. Sprawia On wrażenie złego demiurga, narcyza łasego na pochlebstwa, działającego tylko wtedy, gdy się Go o to ładnie poprosi, ale Jezus mówi: „Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam, [a] Ojciec z nieba da Ducha Świętego tym, którzy Go proszą". Dlatego w naszych prośbach nie chodzi o powiadamianie Boga, gdyż wie nasz Ojciec, czego potrzebujemy, zanim Mu o tym powiemy. Na modlitwie staramy się dowiedzieć, czego Bóg, mówiąc najkrócej, potrzebuje od nas. Z czym i do kogo chciałby nas posłać, żeby przez nas odpowiedzieć tym, którzy u Niego szukają pomocy. Dlatego do modlitwy najmniej potrzebne są wargi i mówienie, konieczne są uszy, oczy, ręce, nogi, a przede wszystkim mózg, rozum, gdyż chodzi nie tylko o słuchanie, ale i rozumienie.

Oczywiście słowem Bożym jest Jezus, ale nie tylko. Od wieków za Janem Kochanowskim śpiewamy o Bogu: „Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie: / I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie. / (...) Wdzięcznym Cię tedy sercem. Panie, wyznawamy, / Bo nad to przystojniejszej ofiary nie mamy". Według Jana Kochanowskiego rzeczywistość jest zmaterializowaniem woli Boga, udźwiękowieniem Jego myśli, dzięki czemu świat nie zasłania Boga, a przeciwnie, odsłania, niewidzialne czyniąc widzialnym. Nie uciekajmy od świata, żebyśmy przez to nie uciekli od Boga. Mniej mówmy, więcej słuchajmy, żeby wiedzieć, co warte jest naszego trudu. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Wiara – niewiara

„Gdy Jezus wszedł do łodzi, poszli za Nim Jego uczniowie. A oto zerwała się wielka burza na jeziorze, tak że fale zalewały łódź; On zaś spał. Wtedy przystąpili do Niego i obudzili Go, mówiąc: Panie, ratuj, giniemy! A On im rzekł: Czemu bojaźliwi jesteście, ludzie małej wiary? Potem, powstawszy, zgromił wichry i jezioro, i nastała głęboka cisza. A ludzie pytali zdumieni: Kimże On jest, że nawet wichry i jezioro są Mu posłuszne" (Mt 8, 23-27). To bardzo prawdziwa Ewangelia – gdy się w niej odnajdujemy, przeprowadza nas przez niejedno trudne doświadczenie.

Otwiera się aktem wiary: „poszli za Nim". To Jego wybór – po intensywnym, wyczerpującym dniu w Kafarnaum (zob. Mt 8), „gdy zobaczył tłum wokół siebie", postanowił przeprawić się na drugą stronę do kraju Gadareńczyków. Wsiada do łodzi, a oni jako uczniowie zdecydowani są Mu towarzyszyć. To piękne. Nie spodziewali się jednak zapewne, jakim niebezpieczeństwem okaże się dla nich ta przeprawa... Czy bycie przy Nim nie powinno stanowić gwarancji bezpieczeństwa? Pewności, że nic nam nie grozi? A tu: niebezpieczeństwo śmierci! Musieli być przerażeni. To przecież nie była dla nich pierwsza burza na jeziorze. Wielu z nich było rybakami. Umieli rozpoznawać i zawczasu reagować na niebezpieczeństwo. A tu okazują się bezradni: „Giniemy!". Z całą pewnością częścią tego dramatu jest zdumienie, że On śpi. Jak to możliwe? I właśnie ich lęk Jezus diagnozuje jako wiarę bardzo chwilową (gr. *oligopistos*). Niewiele (nic?) zostało w nich z tej postawy, z jaką wsiadali chwilę temu do łodzi. I pokazuje, że Jego obecność jest rozwiązaniem niebezpieczeństwa. Że w każdej z takich sytuacji najważniejszym pytaniem pozostaje: Kim On jest?

Myślę o sobie / o nas: idąc za Jezusem, wsiedliśmy bez lęku, z zaufaniem i pokojem do łodzi, która nazywa się Kościół. Wsiadając, liczyliśmy na poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji. Nie spodziewaliśmy się dramatów, niepokojów i burz – a już na pewno nie burz, które nas przerastają, grożąc wręcz unicestwieniem. Pojawia się strach o siebie i o innych. Zrozumiałe w pełni. Czy jest jakieś lekarstwo na strach? Jest. Wiara, że On jest. Nie w ogóle. Tutaj. I teraz. Obecny. Ta obecność wszystko zmienia. W sposób dla nas niewyobrażalny i nieosiągalny. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 1f261a212b

„TP" 24/2026

Pół wieku po Rabce

Przeczytałam przed chwilą artykuł o Rabce, jestem cała roztrzęsiona. Rozpłakałam się, choć od tamtych czasów minęło 49 lat. Kilka lat temu próbowałam znaleźć w sieci coś na ten temat, ale bezskutecznie. Zastanawiałam się, jak to możliwe: czy tylko ja mam takie wspomnienia? Miałam sześć lat, gdy trafiłam do tego straszliwego miejsca. Najgorsze wspomnienie? Byłam od kilku dni w izolatce, leżałam sama bez jakichkolwiek rozrywek czy atrakcji, bojąc się, że jak się bardziej rozchoruję, poddadzą mnie jakimś strasznym zabiegom. Przyszła niedziela, dzień odwiedzin (nie w każdą niedzielę można było dzieci odwiedzać). To był dzień zmiany czasu, mój ojciec zapomniał o tym i przyjechał godzinę później. Pielęgniarka pozwoliła mu tylko zajrzeć do mnie. Zostawił misia, „Świerszczyka" i pojechał. Do dziś zastanawiam się, jak to jest możliwe. Odwiedziny były limitowane. Raz udało się rodzicom przekupić personel czekoladkami i zabrać mnie na spacer. Standardem była tzw. wielka rozmównica – sala taka jak w więzieniu z telefonami po dwóch stronach szyby. Wszędzie panował terror i wojskowy dryl. Straszono nas zabiegami medycznymi. Dzieciom chorym na zatoki robiono punkcję straszną igłą, inne dzieci to widziały. Wszędzie krzyk i krew. Ja panicznie się bałam, że kiedyś i mnie to spotka. Zasypiać można było tylko odwróconym do ściany, a w nocy nie można było wstawać do toalety. Pamiętam, jak przemykałam oświetlonym korytarzem po cichutku, żeby nikt mnie nie dostrzegł. Koszmarem były kąpiele. Raz w tygodniu w wielkiej sali, kilkadziesiąt dzieci, chłopcy i dziewczęta, młodsze w wannach. Salowa przychodziła i brudną szmatą mydliła dziecko od stóp do głów, po czym całe zanurzała pod wodą. Broniłam się, że jestem duża i potrafię się sama umyć, nie pomagało. Salowe też czesały moje włosy. Strasznie to bolało, a one przeklinały, że mam taką cholerną czuprynę, której nie da się rozczesać. Nie lubiłam moich gęstych kręconych włosów, ale po tym doświadczeniu zupełnie je już znienawidziłam. Raz w tygodniu dostawaliśmy też czyste ubranie. Sanatoryjne: stare, połatane, brzydkie, za duże, za małe – nikt się tym nie przejmował. W tym, co akurat przypadło, trzeba było chodzić przez cały tydzień. Przez cały tydzień nikt się też nie mył. Do dziś zastanawiam się, jak takie małe, sześcioletnie dziecko poradziło sobie w tak koszmarnych warunkach – bez jakiegokolwiek emocjonalnego wsparcia ze strony dorosłych, bez kontaktu z rodzicami. Nie pamiętam, żeby ktokolwiek z personelu był dla dzieci wsparciem, żeby przytulił czy pocieszył. Dorosłych baliśmy się ogromnie. Rodzice bagatelizowali moje opowieści. Cieszyli się, że udało im się zdobyć dla mnie miejsce w sanatorium i podobno po powrocie mniej chorowałam na anginy. No i przecież wróciłam cała i zdrowa, „krzywda mi się nie stała". Może z perspektywy powojennego pokolenia wychowanego na okrutnych opowieściach o obozach takie błahostki wrażenia nie robiły? Nie wiem, na ile ten pobyt wpłynął na mnie i dalsze moje życie, ale emocje po niemal 50 latach nadal są ogromnie żywe i bardzo bolesne.

ANNA

GRAŻYNA MAKARA

TYGODNIK POWSZECHNY

92 km na 92. urodziny!

IDŹ, BIEGNIJ ALBO JEDŹ – na urodziny Redaktora Seniora.
Daj Solenizantowi w prezencie swój wysiłek i kalorie.

W zamian dostaniesz zdrowie, dobre samopoczucie i prezenty od Redakcji „Tygodnika Powszechnego".

Zapisz się już teraz!
tyg-pow.pl/92

Msza Święta w intencji ks. Adama Bonieckiego odbędzie się 26 lipca 2026 r. o godz. 15.30 w kościele pw. św. Stanisława Kostki przy ul. Konfederackiej 6 w Krakowie. Liturgię uświetni koncert organowy prof. Krzysztofa Latały.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 1f261a212b

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

eprasa.pl 1f261a212b

HISTORIA

KRÓL, HETMAN I WOJNA DOMOWA

To tragiczny moment w dziejach I Rzeczypospolitej: 360 lat temu w bitwie pod Mątwami pogrzebano reformę państwa forsowaną przez króla Jana Kazimierza. Czy gdyby się udała, wiek później uniknęlibyśmy rozbiorów?

MACIEJ MÜLLER

DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 1f261a212b

Buntownicy nie mieli litości dla pokonanych. Jeńców zarzynali, a ich ciała rąbali na sztuki. Później policzono, że wiele zwłok nosiło po 6-7 cięć, ale niektóre nawet po 30-40. Rokoszanie, dowodzeni przez hetmana Jerzego Lubomirskiego, dali tym upust nienawiści do żołnierzy króla Jana Kazimierza.

Bitwa, którą 13 lipca 1666 r. stoczono pod wsią Mątwy (dziś to część Inowrocławia), stanowiła epilog nie tylko rokoszu Lubomirskiego, ale też rozpaczliwych prób reformowania Rzeczypospolitej – i całego panowania nieszczęsnego króla, ostatniego z dynastii Wazów.

Król gbur

O Janie Kazimierzu, który tron objął w 1648 r., w wieku 39 lat, mawiano, że nigdy nie budził sympatii: był wyniosły, gardził szlacheckim narodem i z tego względu na dworze zatrudniał głównie cudzoziemców i mieszczan, a najchętniej posługiwał się językiem włoskim. Nikomu się nie odkłaniał, był nieuprzejmy, miał tendencję do zmiennych nastrojów.

Jeszcze gorszą opinię miała jego żona, królowa Maria Ludwika: to właśnie „demonicznymi" wpływami tej Francuzki o silnej osobowości, wiedzącej, czego chce, tłumaczono brak pokory króla wobec tradycji ustrojowych Rzeczypospolitej.

To ona namówiła Jana Kazimierza, żeby nowo mianowani urzędnicy podpisywali zobowiązanie, iż ustąpią na żądanie (podczas gdy urzędy były w Rzeczypospolitej Obojga Narodów dożywotnie). I to ona stała za dwoma słowami, które spędzały Sarmatom sen z oczu: *vivente rege*. Mowa o idei, aby następcę władcy wybierać i koronować jeszcze za życia poprzednika.

Okienko na reformy

W siódmą dekadę XVII stulecia kraj wchodził wyniszczony potopem szwedzkim (do porównywalnych strat ludnościowych i materialnych dojdzie dopiero w czasach II wojny światowej). Paradoksalnie, w obliczu tej klęski otwarła się – na krótko – furtka do naprawy ustroju. Spora część szlachty i większość magnatów zdawała sobie sprawę, że państwo działa źle – skoro mogło dojść do opanowania niemal całego jego terenu przez obce wojska.

Para królewska widziała te tendencje i postanowiła wykorzystać je do wzmocnienia władzy monarszej. Co swoją drogą również byłoby istotną – i potrzebną – zmianą ustroju.

Skupione wokół dworu stronnictwo reformatorskie dyskutowało więc o zmianach w sposobie obrad Sejmu (aby jednomyślność zmienić na głosowanie większością), ograniczeniu *liberum veto* (możliwości rozwiązania obrad po proteście jednego posła), powołaniu stałej rady senatorów i posłów przy królu (czegoś na kształt nowoczesnego rządu). Przedstawiano też pomysły na sfinansowanie stałej armii. I myślano o reformie sposobu wybierania króla.

Jak zostać królem

Funkcjonująca od 1573 r. elekcja *viritim* (a więc głosami całej zgromadzonej szlachty), dokonywana podczas bezkrólewia, była obarczona licznymi wadami. Bezkrólewia się przedłużały, stawały okresami chaosu, w których swoje interesy realizowali magnaci i ościenne mocarstwa. Dochodziło do podwójnych elekcji, a o tym, kto zostanie królem, decydował wyścig do katedry krakowskiej, a raz wojna domowa (w latach 1587-88, między zwolennikami Zygmunta III Wazy i Maksymiliana Habsburga).

W tym kontekście wrócił postulat znanej z czasów Zygmunta Starego elekcji *vivente rege*, gdy jego następcę, Zygmunta Augusta, ukoronowano za życia ojca (jak to się udało, to osobny thriller historyczny).

Taka forma wyboru likwidowałaby (lub choćby ograniczała) większość powyższych zagrożeń. Stanowiłaby też wzmocnienie pozycji urzędującego króla: mógł przez rozdawanie urzędów i dzierżawę ziemi (tzw. królewszczyzn) zyskiwać stronników dla popieranego przez siebie kandydata.

Nie po kolei

Jana Kazimierza i Marię Ludwikę tak zafascynowały możliwości, jakie dałby im ten model elekcji – głównie dla ułatwienia drogi do tronu kandydatowi z Francji – że zaniechali wspierania pozostałych reform. Czasu nie traciły też Austria, Francja i Brandenburgia. Nie w smak im była naprawa ustroju Rzeczypospolitej, dlatego przekupywały magnatów, za którymi szły tłumy klienteli szlacheckiej. Nastroje się zmieniały, furtka dla reform zaczęła się zamykać.

Król obsesyjnie przekonywał Sejm o konieczności elekcji *vivente rege* – czym w końcu sprowadził sobie na głowę dyżurne sarmackie hasła o tyranii, dążeniu do *absolutum dominium* (władzy absolutnej) oraz o likwidowaniu „złotej wolności". Dziś możemy spekulować, jakie byłyby losy planów króla, gdyby najpierw zadbał o wprowadzenie głosowania w Sejmie większością...

Bo przyjdą rozbiory!

Na Sejmie w maju 1661 r. Jan Kazimierz uderzył w najwyższe tony. W przemowie tłumaczącej konieczność sukcesji tronu za życia króla zawarł... ponurą przepowiednię upadku Rzeczypospolitej, rozdartej przez Rosję, Prusy i Austrię.

Tak, ostatni Waza przewidział rozbiory. Niestety nikogo wówczas nie przekonał. Być może dlatego, że w tle obrad sejmowych odbywały się akurat triumfalne wjazdy do Warszawy zwycięzców kolejnych bitew z Rosjanami – spod Połonki i Cudnowa. W obliczu takich przejawów potęgi oręża Rzeczypospolitej, przestrogi Wazy nie trafiły do wyobraźni.

Na czele opozycji wobec planów króla stanął zwycięzca spod Cudnowa: marszałek wielki koronny i hetman polny koronny Jerzy Lubomirski. Dotąd był stronnikiem dworu, ale para królewska uraziła go odmową ręki siostrzenicy Marii Ludwiki dla jego syna.

Król zaczął tracić grunt pod nogami. Wycofał spod obrad projekt *vivente rege*, bo Sejmowi groziło zerwanie. Tymczasem brakowało pieniędzy na wojsko i należało uchwalić podatki.

Oto zdrajca

Królewska wściekłość skupiła się na Lubomirskim. Janowi Kazimierzowi wydawało się dotąd, że tego potężnego magnata z Małopolski ma po swojej stronie, że łączy ich zaufanie. To przecież jemu oddał na przechowanie insygnia, uciekając na Śląsk podczas potopu. To Lubomirski walczył u jego boku z Kozakami, Moskwą, Szwecją i Siedmiogrodem. A teraz stanął na czele szlachty broniącej „złotej wolności" (i żołnierzy domagających się zaległego żołdu).

↦

Marian Adamczyk „Bitwa pod Mątwami", Muzeum w Inowrocławiu

eprasa.pl 1f261a212b

Czy to był podszept żony? W każdym razie król postanowił zniszczyć hetmana, stawiając go przed sąd sejmowy – przeznaczony do sądzenia najcięższych przestępstw politycznych. Miał się odbyć na zimowym Sejmie 1664 r. Na nic zdały się listy hetmana z błaganiami o przebaczenie ani próby mediacji podjęte przez biskupa krakowskiego Andrzeja Trzebickiego.

Król był nieprzebłagany: Sejm zebrał się w grudniu, a Lubomirskiemu (który się nie stawił) postawiono zarzuty obrazy majestatu, zdrady kraju, niedbalstwa w pełnieniu urzędów i nadużywania władzy.

W skład sądu weszli poplecznicy króla. Także sam Waza brał udział w jego obradach (bezprawnie, gdyż nie mógł uczestniczyć w postępowaniach o obrazę majestatu). 29 grudnia 1664 r. wydano wyrok: utraty życia, majątku, czci, pozbawienia wszystkich godności i urzędów. Surowszego nie dało się wydać.

Zagranica się miesza

Do wykonania wyroku król przystąpił od razu. Do posiadłości hetmana wysłał dragonów, którzy zajmowali i niszczyli nieruchomości.

Kolejne akty królewskiej furii powodowały wzrost oburzenia szlachty, która zaczęła widzieć w Lubomirskim opiekuna swoich praw. Postawy takie wzmacniał sam hetman, wysyłając na sejmiki agitatorów i zasypując kraj pismami propagandowymi, w których wzywał braci szlachciców, by bronili go przed krzywdą, a tym samym ocalili własną wolność.

Sam Lubomirski przezornie uszedł do Wrocławia, skąd rozsyłał posłańców do Szwecji, Brandenburgii, Austrii, Saksonii, Danii, a nawet do Tatarów i Kozaków. Cesarz austriacki i elektor brandenburski wypłacili mu subsydia, dzięki którym hetman zwerbował wojska zaciężne. Zaś jego zwolennicy w kraju zerwali wiosenny sejm 1665 r., po czym zawiązali konfederację przeciw królowi. Zaczął się rokosz Lubomirskiego.

Pamięć Beresteczka

Wszystko wskazywało, że zbliża się starcie tytanów. Bo choć Lubomirski był zręcznym wodzem, to za Janem Kazimierzem szła sława zwycięzcy spod Beresteczka w 1651 r.

W tej wojnie domowej nikt nie wygrał.

Król, złamany po śmierci żony, wkrótce abdykował. Hetman zmarł na wygnaniu. Szansę na naprawę ustroju państwa zmarnowano na całe stulecie.

Naprzeciw 80-tysięcznej armii Rzeczypospolitej stanęło wtedy 120-130 tys. wojsk kozacko-tatarskich. Obawiając się, że hetmani nie poradzą sobie (i mając w pamięci klęski pod Korsuniem i Żółtymi Wodami), król przejął dowodzenie osobiście i zastosował taktykę, którą poznał na polach bitew wojny trzydziestoletniej (toczącej się w Europie Zachodniej w latach 1618-48; młody Waza dowodził tam oddziałem ciężkiej jazdy cesarskiej).

Pod Beresteczkiem król umieścił więc na skrzydłach armii jazdę (zlecając jej czekanie na rozkaz do przełamującego ataku), a w centrum tzw. szyk holenderski: szachownicę naprzemiennie ustawionych oddziałów kawalerii uzbrojonej w broń palną i piechoty, zabezpieczających linię armat.

Ta plująca ogniem ruchoma twierdza zgniotła Kozaków i Tatarów. Było to jedno z największych starć ówczesnej Europy – bitwa, o której opowiadano na całym kontynencie.

Matka Boska płacze

Minęło jednak kilkanaście lat, król był schorowany, miewał nastroje depresyjne, a na dodatek w lutym 1665 r. zmarł Stefan Czarniecki, jego najwybitniejszy dowódca. Wojsko króla składało się głównie z piechoty i artylerii, gdy Lubomirski miał przede wszystkim kawalerię.

Skutkowało to manewrami, które świadkowie nazwali tańcem gonionym: hetman stale uchodził przednim strażom króla. Ten słał do lokalnych urzędników polecenia, jak to z sierpnia 1665 r: „żeby nam przeto za przeprawy [Lubomirski] nie umykał, mieć chcemy i rozkazujemy, abyście mosty u siebie zrzucali, promy i łodzie w okolicy swojej zabierali, topili, przeprawy, brody i cokolwiek by łatwości dało psowali, naprawiać ich nie pozwalali".

Taniec goniony sprawiał wrażenie – i o to hetmanowi chodziło – że król dąży do rozlewu krwi, a Lubomirski go unika.

Jan Kazimierz postanowił wykorzystać nawet moce niebieskie i zażądał od biskupa Trzebickiego, by rzucił na hetmana klątwę. Ten jednak wezwał króla, by okazał miłosierdzie i zapobiegł wojnie domowej. „Woła o to lud pospolity, który trwoży się złymi wróżbami. W różnych miejscowościach widziano, jak obraz Matki Boskiej płakał, a obraz Zbawiciela spłynął krwią" – apelował do króla.

Ten był nieprzebłagany. Roił sobie, że po stłumieniu rokoszu przeprowadzi z pomocą wiernych wojsk przewrót i wymusi wprowadzenie elekcji *vivente rege*.

Bój pod Częstochową

Wkrótce stało się coś, co zdało się potwierdzać, że Niebiosa nie są po stronie króla (przynajmniej tak opowiadała o tym szlachta). We wrześniu 1665 r. szpica sił królewskich, głównie Litwinów, zbyt oddalona od reszty sił, by liczyć na odsiecz, podjęła bój z rokoszanami pod murami Jasnej Góry. Zepchnięci do fosy, nie mogąc uciec (paulini zamknęli bramy klasztoru), Litwini złożyli broń.

W pęta trafił kwiat magnaterii. Pamiętnikarz Jan Chryzostom Pasek opisał, jak jeden z dowódców Lubomirskiego meldował wodzowi: „Więcej nam Pan Bóg daje nad to, niżeśmy Go prosili. (...) Prosiliśmy zawsze: *Da pacem, Domine* (...) i my prosili o jednego, a Pan Bóg dał nam pięciu Paców" (gra słów: *da pacem* to „obdarz nas pokojem", a Pacowie to litewski ród magnacki). W istocie ujęto trzech Paców, ale to nie zmieniało skali klęski.

Zawarty wkrótce rozejm między królem a rokoszanami okazał się krótkotrwały. Na dalszych walkach, osłabiających kraj, zależało Austrii i Brandenburgii. Króla z kolei wspierała Francja Ludwika XIV, licząca na obsadzenie tronu w Warszawie. Korupcja biła rekordy, pieniądze od obcych dworów brali wszyscy: król i królowa, hetmani, urzędnicy dworscy, wojewodowie, dowódcy pułków.

eprasa.pl 1f261a212b

DOMENA PUBLICZNA

Maria Ludwika Gonzaga, obraz Justusa van Egmonta z 1645 r.

Ludwik XIV nie zamierzał jednak zbyt długo finansować armii Jana Kazimierza. Król, prowadzący 11 tys. ludzi wojska koronnego i 6 tys. litewskiego, dążył więc do ostatecznej konfrontacji z Lubomirskim, który miał 12 tys. żołnierzy.

Rzeź pod Mątwami

Doszło do niej pod Mątwami. Winny klęski był sam król i jego zaniedbania.

W pogoni za Lubomirskim musiał przeprawić wojsko przez Noteć, ale nie wysłał zwiadu, by najpierw ustalić, gdzie jest wróg (a ten czekał za wzgórzem, nieopodal brodu). Nie sprawdzono brodu, który okazał się wąski (mieścił tylko kilku jeźdźców obok siebie). Żołnierzom nie rozdano rydli, więc po przeprawie nie mogli się okopać. I wreszcie: król nie wyznaczył wodza koordynującego cały manewr. Gdyby powierzył tę funkcję niejakiemu Janowi Sobieskiemu, od niedawna hetmanowi, może nie doszłoby do katastrofy.

Na stłoczonych po przeprawie królewskich dragonów i trzy pułki jazdy spadła nagle szarża rokoszan. Walka nie trwała dłużej niż pół godziny. Później doszło do

ALAMY / B&EW

Jerzy Sebastian Lubomirski, ok. 1667 r., obraz Jana de Herdta

DOMENA PUBLICZNA

Jan Kazimierz Waza pędzla Daniela Schultza

rzezi; rokoszanie wyszukiwali zwłaszcza cudzoziemców służących w szeregach królewskich. Wtedy powstał wierszyk: „Siecz Francuzów, siecz, wyostrzywszy miecz / Bij Francuzów, bij, wziąwszy dobry kij / Wal Francuzów, wal, wbiwszy ich na pal / Męcz Francuzów, męcz, a jak możesz – dręcz”.

Jan Kazimierz bezradnie patrzył na to z drugiego brzegu rzeki.

Padłszy do nóg twych

Zginęło może trzy, a może nawet pięć tysięcy najlepszych żołnierzy królewskich, w większości byłych podkomendnych Czarnieckiego, weteranów walk ze Szwecją i Rosją. Ich utrata – i uprzednie osłabienie sił litewskich, na których spoczywała dotąd obrona przed Rosją – wkrótce zmusiły Rzeczpospolitą do zawarcia niekorzystnego rozejmu w Andruszowie: w rękach cara pozostały Smoleńsk, Kijów i lewobrzeżna Ukraina.

Bratobójcza rzeź otrzeźwiła szlachtę, która poczęła odsuwać się od Lubomirskiego. Król też miał dosyć. Przystał na ugodę, w której wyrzekł się planów elekcji *vivente rege*, ogłosił amnestię dla rokoszan i przyrzekł wojsku wypłacić zaległy żołd. Lubomirskiemu zwrócono cześć, ale nakazano udać się na wygnanie.

Najpierw doszło jeszcze do uroczystych przeprosin w obozie wojsk króla, w Jaroszynie koło Puław. W namiocie królewskim Lubomirski uroczyście zapewnił Wazę: „jako zawsze wiernym Waszej Królewskiej Mości byłem, tak i teraz wyznaję, iż jestem szczery poddany, dla tego padłszy do nóg twych, panie miłościwy, majestat twój wenerujęˮ.

Jan Kazimierz nie oszczędził mu ostatniego upokorzenia: w chwili, gdy były hetman przed nim klęknął, podniesiono poły namiotu i wszyscy zgromadzeni – szlachta, dworzanie i żołnierze – mogli zobaczyć uniżenie buntownika.

100 lat później

W tej wojnie domowej nikt nie zwyciężył. Jan Kazimierz, złamany po śmierci Marii Ludwiki w 1667 r., abdykował w następnym roku. Lubomirski zmarł na wygnaniu (Sejm pośmiertnie uchylił ciążący na nim wyrok). Po prawie rocznym bezkrólewiu koronę nałożył Michał Korybut Wiśniowiecki, najgorszy z naszych monarchów.

Jan Kazimierz zmarnował szansę na naprawę ustroju Rzeczypospolitej – i było to niewybaczalne, bo zablokowało tę sprawę na całe stulecie. Do korekt ustroju dojdzie dopiero na Sejmie konwokacyjnym przed wyborem Stanisława Augusta Poniatowskiego w 1764 r.

W ten sposób ostatni z Wazów osobiście przyczynił się do tego, że jego przestroga przed rozbiorami stała się samospełniającą się przepowiednią.

© MACIEJ MÜLLER

Korzystałem m.in. z: M. Nagielski „Druga wojna domowa w Polsce. Z dziejów polityczno-wojskowych Rzeczypospolitej u schyłku rządów Jana Kazimierza Wazy” (2011); S. Płaza „Rokosz Lubomirskiego” (1994); M. Markiewicz „Historia Polski 1492-1795” (2011).

eprasa.pl 1f261a212b

WYKUCI W OGNIU

Bez niego nie byłoby nas – istot o dużym mózgu i złożonych sieciach społecznych. Nauka zgadza się z mitami: opanowanie ognia było kluczowym etapem naszej historii.

KASPER KALINOWSKI

Pierwszy ogień zapłonął na Ziemi ponad 400 mln lat temu. To wtedy rośliny skolonizowały lądy, zapewniając niezbędne paliwo, a atmosfera nasyciła się tlenem niezbędnym do reakcji spalania. Już od tak dawna ogień wpływa na ewolucję. Narażone na niego rośliny i zwierzęta wytworzyły adaptacje – np. grubą korę czy nasiona, które otwierają się pod wpływem wysokiej temperatury, czyli gdy rośnie szansa na to, że w okolicy (po pożarze buszu) zrobiło się dużo przestrzeni do życia.

Stephen Pyne, badacz ekologii ognia, pożary z tego okresu określa Pierwszym Ogniem. Na pojawienie się Drugiego, który przełamał monopol natury na jego wykorzystanie, musieliśmy poczekać setki milionów lat – do czasów pierwszych homininów.

Pierwszy kucharz

Najczęściej uważa się, że pierwszym strażnikiem ognia – i pierwszym kucharzem – był *Homo erectus*, który pojawił się w Afryce ok. 2 mln lat temu, a następnie rozprzestrzenił się do Eurazji, docierając nawet do Chin i na Jawę.

Nigdy nie dowiemy się, kiedy dokładnie celowo rozniecono pierwsze ognisko. Po pierwsze, potrzeba spełnienia różnych

eprasa.pl 1f261a212b

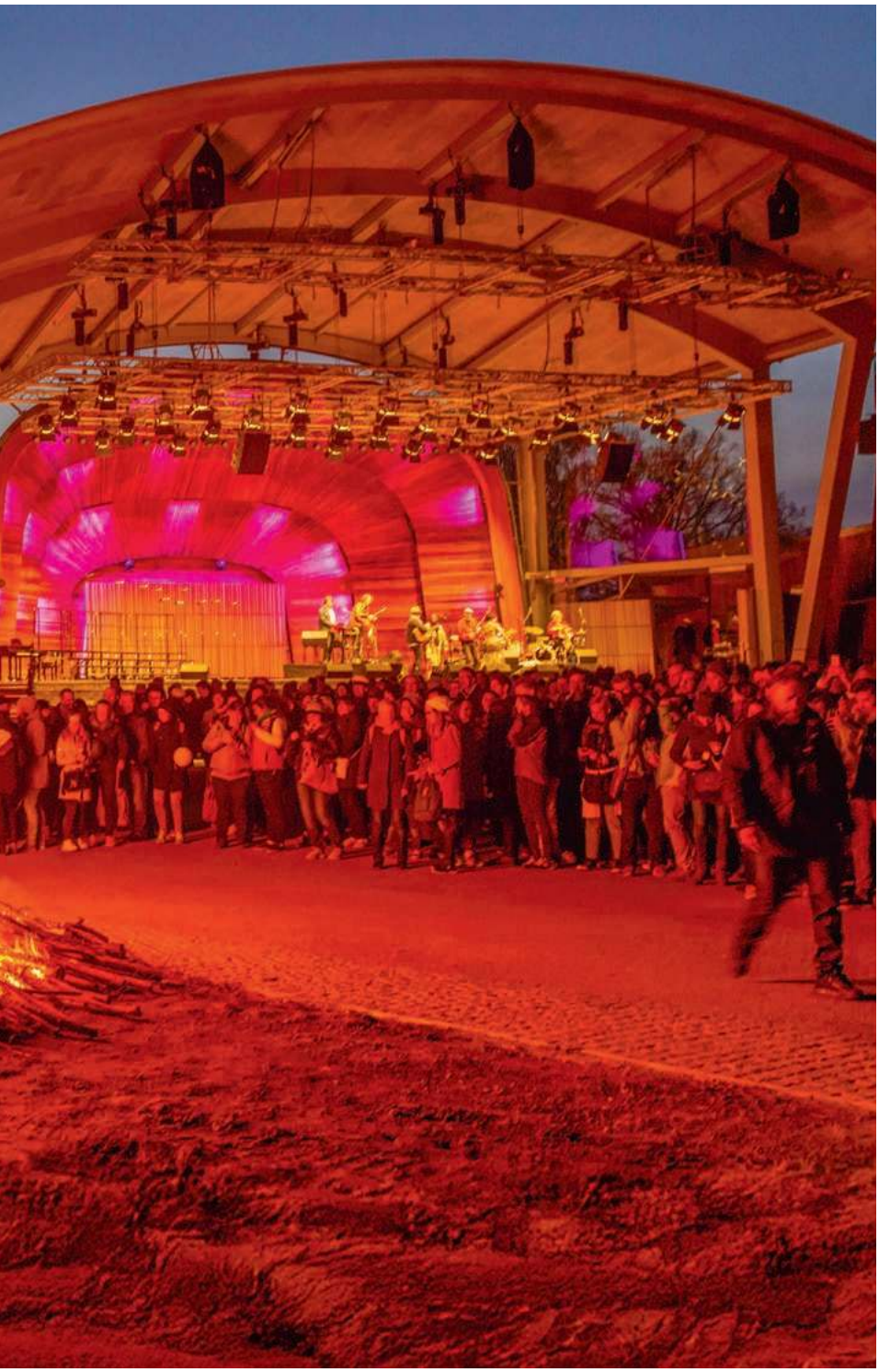

T. SCHÄFFER / IMAGEBROKER / FORUM

Noc Walpurgii w Sztokholmie, 30 kwietnia 2016 r. Współcześnie symbolizuje przywitanie wiosny. Jej nazwa pochodzi od św. Walburgi, anglosaskiej misjonarki nawracającej plemiona germańskie w VIII w. Dawniej wierzono, że to szczególnie ważna noc dla czarownic i złych duchów, które odganiano ogniem.

warunków, by popiół i drobiny węgla drzewnego zachowały się w zapisie kopalnym (choć ten ostatni jest wyjątkowo trwały i przez setki milionów lat może przechowywać informacje o roślinach, które spłonęły). Po drugie – i ważniejsze – w praktyce niemożliwe jest odróżnienie celowego skrzesania ognia od podtrzymywania i wykorzystania tego, który pojawiał się naturalnie.

Najstarsze ślady używania ognia mogą sięgać przeszło 1,5 mln lat temu. Na początku czerwca tego roku María Dolores Marín-Monfort i współpracownicy opisali w „PLoS One" ślady ognia znalezione w warstwach osadowych w głębi jaskini Wonderwerk w RPA, datowanych na 1-1,8 mln lat. Silniejsze dowody na kontrolowanie ognia są jednak młodsze. Jednym z najważniejszych stanowisk jest Gesher Benot Ya'aqov w Izraelu, datowane na około 790 tys. lat temu, gdzie znaleziono ślady palenisk i nagromadzenia szczątków ryb, interpretowane jako dowód obróbki termicznej pożywienia.

Odnaleziono tam m.in. tysiące rybich zębów, których rozmieszczenie pokrywało się z paleniskami. Człowiekowate z tego okresu szczególnie upodobały sobie gatunki z rodziny karpiowatych, które osiągały nawet przeszło metr długości.

Ślady ognisk z Europy są dużo młodsze, ale można je interpretować jako rozniecane celowo. Na stanowisku Barnham w Wielkiej Brytanii liczącym ok. 400 tys. lat odkryto niedawno fragmenty pirytu – minerału, który po uderzeniu w krzemień wytwarza iskry. Piryt nie występuje naturalnie w tej okolicy, najbliższe złoża znajdują się co najmniej 16 kilometrów dalej. Dwa fragmenty tego minerału, znalezione obok przypalonych krzemiennych pięściaków, sugerują, że zostały celowo przyniesione na miejsce jako paleolityczne krzesiwo.

Niewiele młodsze ślady z Terra Amata we Francji (poniżej 400 tys. lat) dowodzą już świadomego kontrolowania żywiołu poprzez budowę murków chroniących paleniska przed wiatrem, a analizy hiszpańskiego stanowiska Valdocarros II (ok. 250 tys. lat) wykazują, że nasi przodkowie potrafili regulować temperaturę ognia (do ok. 500 stopni Celsjusza), tak aby nie przypalać mięsa.

Wielu antropologów uważa zresztą, że technika krzesania ognia mogła być wielokrotnie odkrywana i zapominana na przestrzeni setek tysięcy lat. Być może *Homo erectus* faktycznie używał w Afryce ognia już 1,8 mln lat temu, jednak ślady ognia na stanowiskach archeologicznych starszych niż 400 tys. lat są bardzo rzadkie i odizolowane.

Dopiero właśnie ok. 400 tys. lat temu, w środkowym paleolicie, coś zaczęło się zmieniać. Na coraz większej liczbie stanowisk z tego okresu znajdowany jest węgiel drzewny, zwęglone kości czy ↦

eprasa.pl 1f261a212b

materiały poddane obróbce termicznej. Jedna z interpretacji brzmi tak, że ogień stał się innowacją kulturową, którą pradawni ludzie zaczęli wtedy przekazywać innym grupom.

Ta jaskinia jest nasza

Od czasu opanowania ognia ewolucja linii *Homo* gwałtownie przyspieszyła. Jak pisze w książce „Fire: A Brief History" wspomniany już Stephen Pyne, „faustowski pakt z ogniem miał charakter wzajemny. Jeśli ogień wyzwolił ludzkość, to prawdą jest również, że to ludzkość uwolniła ogień. Każde miejsce, które odwiedzili ludzie, dotknęli ogniem. Zanieśli go do krajobrazów, które go wcześniej nie znały".

Jego zdaniem to wtedy świat stał się jaskinią homininów, już oświetloną, ogrzewaną i chronioną przed drapieżnikami. To również dzięki opanowaniu ognia, a nie tylko dzięki dwunożnej postawie i utracie owłosienia, które zapewniły lepsze chłodzenie, nasi przodkowie mogli zacząć przemierzać świat i... przestać spać na drzewach.

Wcześniejsze gatunki, takie jak australopiteki, prawdopodobnie spędzały noce w bezpiecznych schronieniach na wysokościach, w ten sposób chroniąc się przed drapieżnikami. Ogień zapewnił ochronę, ponieważ skutecznie odstraszał zwierzęta i dawał światło, dzięki któremu ludzie mogli łatwiej dostrzec zagrożenie.

Zmiana ta, zdaniem Pyne'a, była ściśle powiązana z utratą ewolucyjnych przystosowań do sprawnej wspinaczki. Kluczową dla przetrwania rolę ognia widać również współcześnie – jeśli zgubimy się w dziczy, ogień jest pierwszą rzeczą, której potrzebujemy do przetrwania.

O tym, jak ważny jest ogień dla społeczności łowiecko-zbierackich, przekonuje np. obyczaj występujący u australijskich Aborygenów, zgodnie z którym ogień przekazuje się społecznościom, które go utraciły (w zamian za kawałki kwarcu czy ochry).

Być może najbardziej wymowny przykład zmiany, jaką przyniosło wykorzystanie ognia, pochodzi z jaskini Swartkrans z RPA. Najstarsze warstwy tamtejszych osadów zawierają liczne kości wczesnych homininów ze śladami zębów drapieżników.

Nasi przodkowie byli więc wówczas przysmakiem bardziej niebezpiecznych zwierząt. Jednak nad tymi najstarszymi osadami znajduje się wyraźna warstwa z węglem drzewnym, będąca świadectwem opanowania ognia. To moment przełomowy – nad warstwą spalenizny proporcje odnajdywanych kości gwałtownie się odwracają. Dzięki ogniowi homininy przejęły kontrolę nad jaskinią, wypędziły z niej drapieżniki i same stanęły na szczycie łańcucha pokarmowego.

Te dokonania blakną jednak przy ewolucyjnych konsekwencjach samego gotowania.

Krótkie jelita i duże mózgi

Antropolog Richard Wrangham uważa, że *Homo erectus* ok. 1,8 mln lat temu zaczął regularnie gotować (co oczywiście wymagało kontroli ognia). W swojej wpływowej „hipotezie gotowania" przekonuje, że ogień umożliwił wzrost mózgów linii *Homo*. Wysoka temperatura nie tylko zabija pasożyty i bakterie. Sprawia, że pokarm jest bardziej przyswajalny, miękki i ma wyższą wartość energetyczną. Dzięki gotowaniu nie spędzamy kilku godzin na przeżuwaniu, co jest typowe dla innych małp.

Nasi wcześniejsi przodkowie, tacy jak australopiteki, jedli głównie surowe rośliny i owoce. Nieco późniejsze homininy – *Homo habilis* – mogły zacząć spożywać mięso (prawdopodobnie surowe, być może padlinę), ale nadal posiadały cechy małpie – np. umiejętność wspinania się po drzewach.

Gdy doszło do opanowania ognia, zmienił się też człowiek. Według Wranghama spektakularny wzrost objętości mózgu *Homo erectus* (o kilkadziesiąt procent w porównaniu do australopiteków), a także u naszych późniejszych przodków (łącznie niemal trzykrotny wzrost objętości na przestrzeni ostatnich 2 mln lat) był możliwy dzięki wyższej kaloryczności przetworzonego jedzenia. Budowa klatki piersiowej i miednicy u *Homo erectus* wskazuje na mniejszy żołądek i jelita, co sugeruje, że nie musieli już trawić ogromnych ilości surowego, włóknistego pożywienia roślinnego.

Już Karol Darwin określił ogień jako „prawdopodobnie największe poza językiem odkrycie w historii ludzkości". Miał jednak na myśli wyłącznie przetrwanie i ochronę przed drapieżnikami. Jak wiemy po ponad 150 latach, korzyści są znacznie większe.

Zdaniem wielu współczesnych badaczy sama konieczność gromadzenia się wokół ogniska, aby jeść i spać, wymusiła na ludziach większą samokontrolę i spokój. Potwierdzają to dane z obserwacji społeczności łowiecko-zbierackich – w przeciwieństwie do zwierząt, które walczą o każdy kawałek pokarmu, ludzie wypracowali etykietę posiłku, cierpliwie czekają na swoją kolej i... rozmawiają.

Siła opowieści

Jak przekonuje antropolożka Polly Wiessner, która przez dekady badała społeczność Ju/'hoansi (Buszmenów) z południo-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 1f261a212b

wej Afryki, ogień – dając sztuczne światło – przedłużył dzień i zapewnił nam dodatkowy czas, który wykorzystujemy na więzi społeczne. To ważny element narodzin złożonej kultury.

W jednym ze swoich badań Wiessner porównała 174 rozmowy prowadzone w dzień i w nocy. Różnica poruszanych tematów była olbrzymia. W ciągu dnia rozmowy Ju/'hoansi koncentrowały się na sprawach ekonomicznych. Około 31 proc. z nich dotyczyło planów zdobywania pożywienia i technologii, a pozostałe 34 proc. to narzekania i plotki. Jednak po zmroku blask ogniska najwyraźniej sprawiał, że ekonomia ustępowała miejsca wyobraźni. Aż 81 proc. nocnych rozmów to opowieści. Buszmeni śpiewają, tańczą i snują historie o znanych osobach oraz wydarzeniach z przeszłości. Ogółem, społeczności łowiecko-zbieracka spędzają przy ogniu kilkakrotnie więcej czasu, niż jest to niezbędne do przygotowania i spożycia posiłku.

Jednym z czynników odpowiadających za przyjazną atmosferę jest sama obecność ognia. Christopher Lynn, antropolog z Uniwersytetu Alabamy, sprawdził, czy ogień rzeczywiście wpływa na naszą fizjologię. W jego badaniu okazało się, że znacząco obniża ciśnienie krwi. Jednak sam widok płomieni (bez dźwięku) daje niespójne rezultaty. Dopiero połączenie obrazu z naturalnym odgłosem ogniska obniżyło ciśnienie uczestników eksperymentu i działało na nich uspokajająco.

Zresztą współczesne angielskie *focus* (skupienie) wywodzi się od łacińskiego słowa oznaczającego „ognisko domowe". W starożytności ognisko było centralnym punktem domu, wokół którego skupiało się życie. Dane archeologiczne wskazują, że było tak prawdopodobnie przez całą historię ludzkości.

Paleolityczny smog

Chociaż ogień był fundamentem ewolucji linii *Homo*, nie był wyłącznie błogosławieństwem. Wiemy dziś, że toksyny pochodzące z palenisk miały negatywny wpływ na zdrowie naszych przodków. Pierwsze ogniska to także pierwsze antropogeniczne zanieczyszczenia środowiska.

Badania domów neolitycznych w Çatalhöyük (osady założonej ok. 9,5 tys. lat temu) wykazały, że poziom drobnych cząstek wewnątrz pomieszczeń przekraczał o tysiące razy współczesne normy przyjęte przez Światową Organizację Zdrowia. Nie pomagało, że w okresach, gdy brakowało drewna, jako opału używano wysuszonego obornika, co jeszcze bardziej zwiększało emisję szkodliwych związków chemicznych.

> Dzięki ogniowi skróciliśmy jelita i powiększyliśmy mózgi. Przegoniliśmy drapieżniki i zbudowaliśmy cywilizację. A spalając paliwa kopalne, **staliśmy się siłą geologiczną i zaczęliśmy gotować planetę.**

Wymownym dowodem na szkodliwość ognia jest stan płuc słynnego Człowieka z Lodu sprzed 5300 lat – Ötziego. Roiło się w nich od drobin sadzy, co świadczy o stałym przebywaniu przy paleniskach.

Nieustanne wdychanie dymu mogło być jedną z przyczyn miażdżycy i niewydolności serca, które wykryto u prehistorycznych mieszkańców dzisiejszej Skandynawii. Toksyny znacząco skracały życie, uderzając szczególnie w kobiety i dzieci, które spędzały w zadymionych schronieniach znacznie więcej czasu niż mężczyźni.

Nawet współcześnie dym z dzikich pożarów przyczynia się rocznie do ok. 11,4 tys. przedwczesnych zgonów tylko w USA. Aż 4,5 tys. wynika z incydentów sercowo-naczyniowych.

Niektóre badania genetyczne sugerują zresztą, że nasz gatunek wykształcił mutacje zwiększające tolerancję na toksyny zawarte w dymie. Mogło to zapewniać *Homo sapiens* przewagę nad neandertalczykami, którzy prawdopodobnie byli mniej odporni na to zanieczyszczenie. Nasi kuzyni oczywiście również korzystali z ognia. Co najmniej 200 tys. lat temu opanowali proces suchej destylacji kory brzozowej, wykorzystując ogień do produkcji dziegciu — zaawansowanego lepiszcza, pozwalającego tworzyć bardziej wyrafinowane narzędzia.

Wykorzystywali również ogień do wypalania lasów i roślinności. Dowody na takie działania odkryto na stanowisku Neumark-Nord w Niemczech, gdzie neandertalczycy żyli około 125 tys. lat temu. Przez ok. 2 tys. lat z pochodniami w rękach pilnowali tego, by teren wokół tamtejszego jeziora pozostawał otwartą przestrzenią. Analizy wykazały, że na spalonych obszarach znajdowało się dziesięciokrotnie więcej drobin węgla drzewnego niż w okolicznych lasach, co sugeruje celową ingerencję. Wypalanie sprzyjało rozwojowi roślin światłolubnych, takich jak leszczyna czy tarnina, które mogły być pożądanym zasobem.

Kowale własnego losu

Jeszcze w czasach średniowiecza domostwa kowali były lokowane na uboczu. Nie chodziło tylko o hałas, zanieczyszczenia i zagrożenie pożarowe z nimi związane – przynajmniej dla niektórych mieszkańców praca wymagająca kontaktu z żywiołem budziła nieufność i strach.

Ogień odczarowano dopiero w latach 70. XVIII w. Odkrycie tlenu sprawiło, że zaczęto interpretować go jako reakcję spalania. „Spalanie" jest już racjonalne i nowoczesne, w przeciwieństwie do prymitywnego naturalnego ognia.

Być może kiedyś za symboliczną datę końca ognia w życiu codziennym zostanie uznany 1 lipca 2018 r., gdy w Holandii wprowadzono przepisy zakazujące przyłączania do sieci gazowej nowych budynków. To oznacza koniec liczącego niemal 2 mln lat gotowania „na ogniu".

Dzięki ogniowi skróciliśmy więc nasze jelita i powiększyliśmy mózgi. Zajęliśmy szczytowe miejsce w łańcuchu pokarmowym, a potem zaczęliśmy uprawiać ziemię i hodować zwierzęta. Jak jednak podkreśla Stephen Pyne, jednocześnie staliśmy się siłą geologiczną i zaczęliśmy „gotować" planetę. Wydobywamy pochodzący z przeszłości surowiec, spalamy go w teraźniejszości, skutki uboczne zaś odczujemy w przyszłości.

Ogień przemysłowy, oparty na spalaniu paliw kopalnych, Pyne określa mianem Trzeciego Ognia. To kluczowy element epoki pirocenu – której nazwę zaproponował Pyne jako ściśle powiązaną z bardziej zadomowionym w literaturze antropocenem – i przestroga, że jeśli nic nie zmienimy w naszym podejściu do środowiska, Czwartego Ognia może już nie być. © KASPER KALINOWSKI

eprasa.pl 1f261a212b

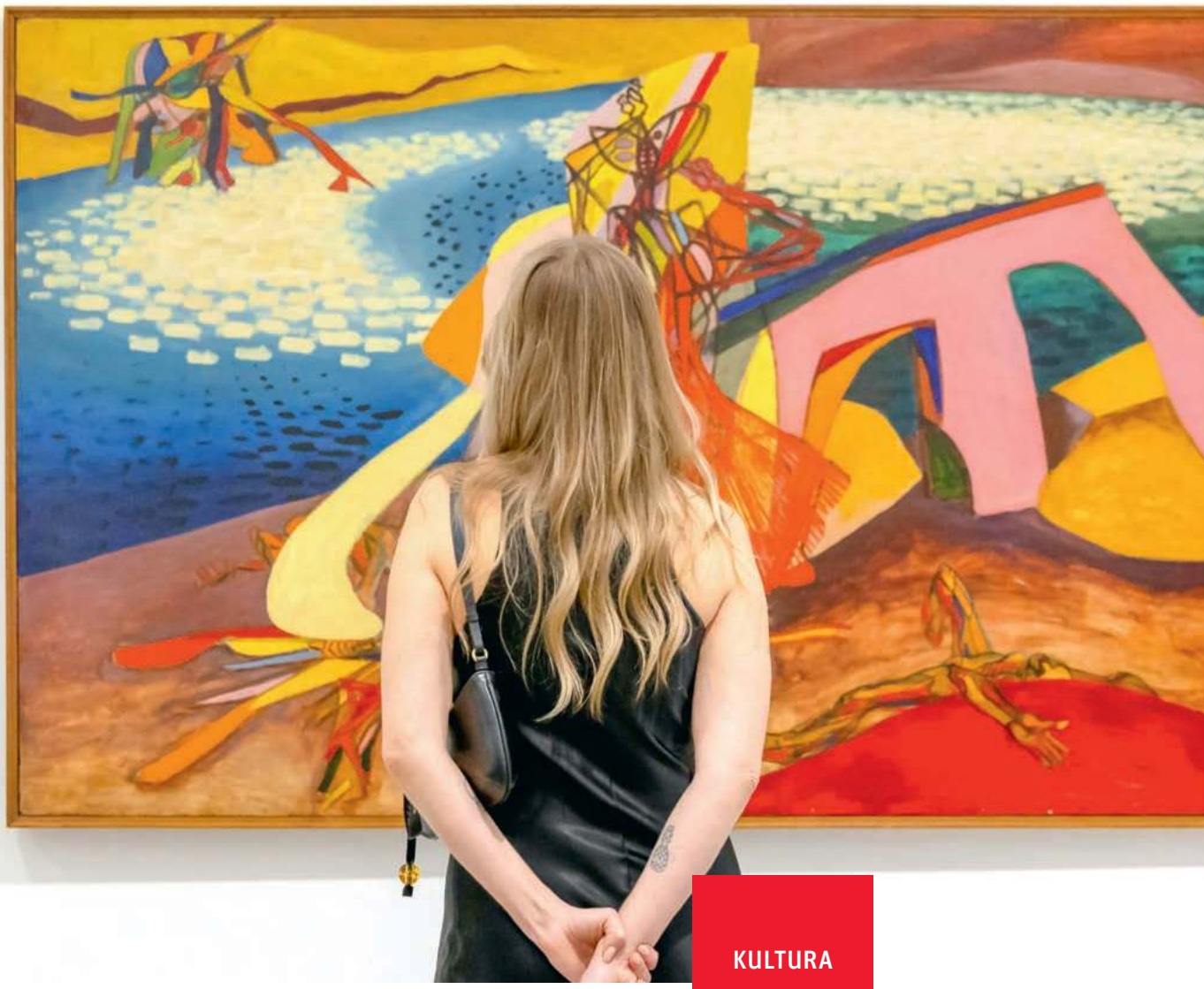

ALICJA SZULC / MSN

KULTURA

SŁONIE SĄ ZARAŹLIWE

Czym był, jest i będzie surrealizm? Nikt nie wie. Tyle jest surrealizmów, ilu twórców i ich dzieł, często w różnych fazach.

ELIZA KĄCKA

W gastronomicznej części barbarzyńsko zburzonego przed dwudziestu laty warszawskiego SuperSamu rozpościerało się nad barem kolosalne *panneau*. Miało, tak na niewprawne oko, trzy metry na dwadzieścia pięć. Dzieło, jak mi mówiono, Hanny i Gabriela Rechowiczów trzymało bezwstydnie styl amerykańskiego malarza Yves'a Tanguy. Bezwstydnie, bo w 1962 r. taka instalacja wizualna jawi się jak podskórna (a właściwie: pulsująca pod tynkiem) rebelia.

Przez całą długość malowidła ciągnął się nieziemski pagórkowaty pejzaż w rudobrunatnej gamie, a pośród niego sterczało kilkanaście niedających się nazwać kształtów – najwyraźniej mieszkańców tej krainy. Mieszkańcy mieli w sobie coś z rozwiniętej

eprasa.pl 1f261a212b

Na wystawie „Jesteś w sercu zmian. Surrealizm i antyfaszyzm" w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. W tle obraz Stanleya Williama Haytera „Krajobraz ludożerczy", 1937 r.

trójwymiarowo litery H. Wrażenie dzikie, alienujące, zwłaszcza w tle stalowych blatów i stołków barowych.

Przypuszczam, że nikt na nich nie zwracał uwagi. Biedni obcy: obywatele kontrpejzażu, szeregowcy naściennej kontry dla matowej polskiej realności. Owszem, jadano przy największym w Polsce obrazie surrealistycznym. Tyle już razy surrealizm czaił się za naszymi plecami. Nie w charakterze wygnańca nawet, lecz dziwnego gościa.

Dziś też mamy ów obraz metaforycznie za plecami, bo surrealizm nas nie opuścił. Mimo tego, że większość publikowanej dziś polskiej prozy – i szerzej: tekstów osobliwych i potocznie rzecz ujmując „dziwacznych" – nie realizuje wcale programu surrealistycznego.

Bo nie wszystko, co dziwne, jest surrealne. Co zatem – jest?

Wyobraźnia zbuntowana

W „Manifeście surrealizmu", który przed stu dwu laty wyskoczył z głowy André Bretona, panuje wielkie materii pomieszanie. O co w tym szło? Święty tekst założycielski ruchu łączy w sobie – na niewielu stronach – hołd dla wyobraźni, pochwałę cudowności, wiarę w usunięcie sprzeczności między rzeczywistością a snem, antologię kolaży tytułów z prasy, przykłady surrealistycznych metafor, ataki na powieść realistyczną (niefortunna krytyka opisu ze „Zbrodni i kary"), reklamę pisania automatycznego, listę przyjaciół, wątpliwy zbiór prekursorów, apel o nonkonformizm, a wreszcie dwie dość prostoduszne jeszcze definicje surrealizmu. Tekst ukazał się 15 października 1924 r.

Breton wyprzedził o miesiąc inną rzecz. W połowie listopada tamtego roku wyszła u Gustava Fischera w Berlinie „Czarodziejska góra" Tomasza Manna. Znaleźć w niej można to, co w manifeście Bretona (a nawet więcej): szyderstwo z racjonalizmu, przeczucia, sny wizyjne, naukowe czary, pożądanie, satanizm, widma, tryumf podświadomości, kult sztuki (muzycznej), przypadki obiektywne, automatyzm psychiczny i czarny humor.

A nade wszystko tak bliskie postulatom surrealizmu zniesienie granic: między naturą a kulturą, tym, co na zewnątrz i wewnątrz ciał, chorobą i duchowością, psychiatrią a szamaństwem, życiem i śmiercią, działaniem i kontemplacją, wyobraźnią i realnością, kobiecością i męskością, zgodą i niezgodą, kształtem i bezkształtem. I do tego tak drogą surrealistom miłość szaloną.

Mannowski Hans Castorp miał dwóch mentorów: humanistę i humanitarystę Włocha oraz jezuitę, galicyjskiego Żyda, zwolennika manicheizmu, terroru i nowego średniowiecza. Ciekawe, jak postawa paryskiego surrealizmu, spontaniczna, anarchiczna i wolnościowa, ewoluuje w ciągu piętnastu lat w stronę sekciarstwa, despotyzmu i kreowanych sztucznie, ponurych mitologii (patrz marginauci Georges Bataille i Maurice Blanchot). W miarę jak na świecie mroczniało, Lodovico Settembrini i Leon Naphta zamieniali się miejscami.

Jednakże w jednym intuicje Bretona przewyższają to, co mogła oferować wielka powieść. Streszczają się, koncentrują w jednym słowie, które stworzyło ruch, skonsolidowało grupę, stało się zapalnikiem niezliczonych tekstów, zapowiedzią i obietnicą. Gdyby nie ono, surrealizm nie przetrwałby w przyzwoitej kondycji stu lat, co nie było – wedle mnie – dane żadnemu z projektów awangardy. Mam na myśli słowo Nadrealność.

I nie wydaje mi się, by jego metafizyczny odpowiednik okazał się zabytkiem. Przeciwnie: im bardziej uświadamiamy sobie mnogość, a i tajemniczość światów równoległych, tym surrealizm staje się bliższy. Nie jest on bowiem jako projekt hodowlą wariatów czy aberracji, lecz wielkim otwarciem na odmienne stany świadomości. Odmienne nie klinicznie (choć czasem i tak), lecz egzystencjalnie, językowo, poznawczo.

Surrealizm tylko z zewnątrz może jawić się jako wystawa dziwności, niespontaniczne kuriozum: widziany od środka okazuje się – do dziś – hymnem na cześć wyobraźni zbuntowanej. Hymnem pełnym dysonansów, bo linoskoczków wizji zbyt często ściąga na ziemię balast teorii. A jednak żyje, uparcie.

Biuro badań

Czym był, jest (i będzie) surrealizm, nikt nie wie. Tyle jest surrealizmów, ilu twórców i ich dzieł, często w różnych fazach. Wobec surrealizmu obowiązuje bowiem nominalizm: poznaje się go, wychodząc od faktów artystycznych ku teoriom, nie na odwrót. Tego skądinąd nie chciał uznać André Breton z umysłem zawsze pełnym konceptów. Wszystko to jednak spaja Nadrealność, zjawisko – zjawisko? – prymarne, artykuł wiary, dogmat.

W gruncie rzeczy surrealizm długo nie skupiał się, jako taki, na produkcji artefaktów. Miał ambicje badawcze. Nie przypadkiem pierwszą powołaną przez ruch instytucją było jedyne w swoim rodzaju archiwum: Biuro Badań Surrealistycznych. Gromadzono tam wszelkie odkrycia, od wyznań osobistych po osobliwe przedmioty znalezione, czyli tzw. truwaje.

W działalności surrealistycznej obrazy i teksty miały status równorzędny z prowokacjami wobec Kościoła, Państwa, Armii, Tradycji i Władzy, z publicznymi awanturami i fascynacjami kliniczną ↦

eprasa.pl 1f261a212b

MATERIAŁY PRASOWE MSN

Leonora Carrington, „Arka Noego", ok. 1938, kolekcja prywatna

↦ kobiecą histerią. W przedziwny sposób splatało się to z kultem wszystkiego, co zagadkowe, zawieszone w prawie do bytu, odpowiadające, zwykle przypadkiem, tajemnym pożądaniom podmiotu.

Długo więc obrazy i teksty pozostawały służebne wobec ambicji zgłębienia lochów ludzkiej psychiki, w których to niezaspokojenie tłucze się, zniewolone, chcąc przemówić własnym głosem. Nie darmo Breton, Éluard i Aragon otarli się w latach wojny o psychiatrię – i nie było to bezbolesne. W lazaretach działy się rzeczy straszne. Ale szło o to, by wyzwolić język, rękę artysty. By te dopuściły do głosu treści pierwotne i stąd właśnie skryte, niczym w procesie psychoanalizy. Prawda tkwi w głębi, ale zarazem, wydobywszy się na powierzchnię, staje się sama powierzchnią.

Z surrealistycznego punktu widzenia malarstwo to paradoks. Głębia na powierzchni, czyli powierzchnia jako wyraz głębi – twardy orzech do zgryzienia, i stąd Breton tak długo deliberował nad traktatem „Surrealizm i malarstwo" (aż cztery lata). Przez ten czas Francis Picabia, André Masson, Max Ernst, René Magritte, Jean Arp i inni stworzyli mnóstwo zdumiewających prac. Sztuka przestała być środkiem do celu, wyemancypowała się na cel równorzędny. I „obsłużyła się" bez podpórek teorii.

Epizody dziwaczne

W traktacie o malarstwie Breton stawia do kąta realizm – po co reprodukować coś, co i tak istnieje? – ale posyła też do diabła przedstawienia o treści rozmyślnie zaszyfrowanej, czyli alegorie (dopiero po trzydziestu pięciu latach co bardziej szalone z nich zrehabilitował Roger Caillois.) Co pozostaje?

Umysłem kartezjańskim włada dychotomia. Doktryna surrealistyczna dopuszcza inną możliwość. Pomiędzy tym, co istnieje, a tym, co nie istnieje, rozciąga się strefa pośrednia; rozchylająca się czasem, na moment, wąska szczelina. Działalność surrealistyczna, czegokolwiek by dotyczyła, dąży do wglądu w ten fenomen, do migawkowej epifanii. To właściwie jedyne kryterium, by zaliczyć dany wytwór do rzędu surrealistycznych: najgłębiej irracjonalne i osobiste. A zarazem wolne od przeświadczeń, że surrealizm napędza kumulowanie efektów dziwności. Dziwność bywa tu pochodną, nie pierwszym impulsem.

Stąd mylną jest sugestia, jakoby „surrealne" były teksty, które kreują bohaterów bądź epizody estetycznie dziwaczne. A że wiele jest tekstów fundujących czytelnikom lekkie przesunięcie względem realności, mały zawrót głowy, to w braku lepszych określeń pseudonimujemy je jako surrealne. Ciągle to słyszę: „jakieś takie surrealistyczne". A jednak, Czytelniku, różne są zaburzenia błędnika lektury.

eprasa.pl 1f261a212b

Przekształcić świat, zmienić życie

NIEWIELE KIERUNKÓW w sztuce zdobyło taką popularność. Surrealizm stał się częścią kultury masowej, a wymyślone przez nadrealistów sposoby obrazowania do dziś są wykorzystywane w modzie, reklamie, filmie, klipach wideo. Wystawa w Muzeum Sztuki Nowoczesnej przełamuje obiegowe, nieustannie powielane przekonanie, że surrealizm to jedynie świat snów, fantazji i magii.

Znalazły się tu prace czołowych twórców surrealistów: Hansa Arpa, René Magritte'a, Joana Miró czy Pabla Picassa, który także z nim flirtował. One na pewno przyciągną liczną publiczność. W MSN nie zabrakło też artystek, od Leonory Carrington, Claude Cahun, po Toyen, o które, po dekadach przemilczenia, skutecznie się upomniano. Wystawa pokazuje również, że surrealizm miał wiele oblicz, zmieniał się, ale przede wszystkim był zjawiskiem międzynarodowym. I te nieoczywiste, nadal mniej znane wcielenia, jak czeski nadrealizm, jego obecność w Wielkiej Brytanii czy w Egipcie, zajmują wiele miejsca na wystawie.

Ekspozycja opowiada także o polskich związkach z surrealizmem.

Jednak najważniejsze jest zwrócenie uwagi na polityczny wymiar surrealizmu. Owszem, trudno było wymazać z historii sztuki związki niektórych surrealistów z marksizmem. Niektórzy z nich, jak Paul Éluard, z czasem stali się ważnymi komunistycznymi aktywistami. Jednak „Jesteś w sercu zmian" przypomina, że zaangażowanie polityczne nie dotyczy jedynie kilku twórców, lecz było na trwałe wpisane w ten nurt.

„»Przekształcić świat« – powiedział Marks; »zmienić życie« – powiedział Rimbaud: dla nas te dwa cele stanowią jedno" – ogłosił w 1935 r. André Breton. I nie był to jedynie slogan. Surrealiści w latach 30. włączyli się w ruch antyfaszystowski. Opowiedzieli się po stronie republiki w hiszpańskiej wojnie domowej. Potępiali europejski kolonializm. Jednak rewolucyjny był już ich program artystyczny oraz głoszony światopogląd: pochwała absolutnej wolności i postulat uwolnienia się od wszelkich nakazów ze strony państwa, Kościoła czy społeczeństwa.

To spowodowało, że surrealizm był atakowany przez środowiska prawicowe. W Polsce uznano go – o czym też przypomina wystawa – za sztukę „judeobolszewicką". We Francji dochodziło do fizycznych ataków na dzieła surrealistów, a w hitlerowskich Niemczech uznano je za przejaw sztuki zdegenerowanej. Oznaczało to dla artystek i artystów prześladowania, konieczność emigracji, czasami osadzenie w obozach.

Jednak to ten radykalny rys surrealizmu sprawił, że także po II wojnie światowej był on nadal atrakcyjny. Inspirował nie tylko kolejne pokolenia artystów, ale też wpłynął na rewoltę studencką w maju 1968 r. Nie był jedynie artystycznym bibelotem, do jakiego bywa łatwo sprowadzany.

© PIOTR KOSIEWSKI

JESTEŚ W SERCU ZMIAN. SURREALIZM I ANTYFASZYZM, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Wystawę można oglądać do 10 stycznia 2027 r.

Jeśli nie masz poczucia, że ktoś dereguluje zmysły, przecina oczywistość, otwiera Cię na „współdźwięczność wystukiwanych jak gdyby na klawiaturze akordów" (Breton) innego świata, nie mów o surrealizmie, proszę.

Idzie bowiem o to, by ucieleśniony w znalezionym przedmiocie, w zbiegu okoliczności, w powstającym malowidle, w szczególnym zestawieniu słów przedmiot pragnień był jak najbardziej zmysłowy, wręcz namacalny. Metamorfoza realnego w Nadrealne dokonuje się jako cudowność. Czasem żartobliwa, czasem rewelacyjna.

Ze „Skróconego słownika surrealizmu", wydanego z okazji sławnej paryskiej wystawy w 1938 r. (to tam Marcel Duchamp zawiesił sufit tysiącem worków węgla), zapamiętałam hasło pióra Éluarda i Benjamina Pereta (dwóch ich trzeba było dla trzech słów): „Słonie są zaraźliwe". Oraz: „Trzeba bić matkę, póki młoda". I jeszcze, Georges'a Hugneta: „Zwierzęta są piękne, bo nagie – wewnątrz także". A wreszcie, nieśmiertelne, Éluarda: „Ziemia jest modra jak pomarańcza". Zgadza się, Księżyconauci?

Zauważyć wypada, że surrealizm to ostatni ruch awangardowy, który nie wyrzekł się pojęcia „piękno", od stulecia skompromitowanego, zdegradowanego i wielokrotnie wyrzucanego na śmietnik. Nawet o obiektach zbiorowego kultu z rzadka mówi się, że są piękne. A surrealizm toczy tu bój odwrotowy jako ariergarda awangardy.

Gra w trupa

„Co wielbię w tobie, droga wyobraźnio, to że nie umiesz wybaczać" – czytamy w „Manifeście surrealizmu". Czego nie wybacza? Przedkładania czegokolwiek ponad nią samą. Jest czołową władzą „duchociała", czyli nieczystego, niespekulatywnego rozumu.

Wyobraźnia surrealistyczna to nie dar wzbogacania rzeczywistości o fikcje ani samoobronna funkcja psychiki. To przestrzeń wewnętrzna przecinana przez fale emocji zdolne kreować fantazmaty. Pozostaje głównym narzędziem pracy i odczuwania, kwestionujących władze realności i prawdopodobieństwa. Słowem, jest to przestrzeń rebelii – i transmutacji.

Nie darmo od lat trzydziestych, od „Drugiego manifestu surrealizmu", prawodawca ruchu uprzywilejowuje procedury alchemiczne. Bo przestrzeń wyobraźni przedstawić sobie można na kształt kryształowej bańki podgrzewanej w kuchni wodnej atanora, pieca alchemicznego. Dwie pospolite substancje wrzą, mutują w trzecią, wyższej natury. Nad kreską reakcji wpisać wolno: „samowolne zestawienia w polu halucynacji". Efekt powinien zaskoczyć.

Owszem, są metody ponaglania wyobraźni. Choćby marzenia senne prowokowane w hipnozie, tak zwana fala snów, bądź w autohipnozie, jak technika frottage'u, w której specjalizował się Ernst. Największą jednak sławę we wczesnej fazie ruchu wywalczyły sobie zabawy zbiorowe, na pozór idiotyczne, z których korzystać może każdy. Mam na myśli grę w Wybornego Trupa. Breton poświęcił jej komiczny w swej powadze fragment „Surrealizmu i malarstwa" w wersji z 1948 r.

Samą nazwę podał Jacques Prévert w oparciu o wynik pierwszej próby. Z kartek zaginanych tak, by uczestnik nie widział uprzedniej części zdania, ułożył ↦

eprasa.pl 1f261a212b

MATERIAŁY PRASOWE MSN

Max Ernst,
„Głowa anioła ogniska domowego”,
ok. 1937,
kolekcja Ulli i Heinera Pietzschów, Berlin

↦ się pisany na trzy ręce tekst: „Wyborny trup – wypije – nowe wino”. Rzecz była tak obmyślona, „by części mowy wchodziły w jak najparadoksalniejszy konflikt, a przekaz, już w punkcie wyjścia zbity z tropu, wtrącał umysły w maksymalną konfuzję”.

Z perspektywy stulecia Wyborny Trup jako taki zdaje się ucieleśnieniem losów samego surrealizmu. Martwy na pozór, historyczny, odradza się wciąż jako potencjał prac wyobraźni, raz zamierzonych, raz aleatorycznych, by „wtrącać umysły w maksymalną konfuzję”. Na pograniczu gry i grozy, eksperymentu i natchnienia, konceptów i wtajemniczeń.

Wyraźna odmowa

Surrealizm żywił, nieodwzajemnioną niestety, nadzieję (i wolę) działań w sferze rzeczywistości. O ich skuteczności decydować miała czystość doktryny, stąd w dziejach ruchu tyle brutalnych rozłamów i wykluczeń. Na ich kronikę składa się autoryzowana przez Bretona książka Maurice’a Nadeau „Histoire du surréalisme” (1945 i następne).

Ekskomunikowanie groziło za wzięcie subwencji z ambasady szwedzkiej (przypadek Antonina Artauda), palenie angielskich papierosów (przypadek Renégo Daumala), opisanie grupy jako sekty (przypadek Soupaulta), komercyjne podejście do sztuki (przypadek Salvadora Dalego), brak rewolucyjnego zapału (przypadek Ernsta), zdemaskowanie skaczących fasolek (przypadek Rogera Caillois), wierszyk w katolickim piśmie (przypadek Michela Carrouges’a).

Breton lubował się w tej inkwizytorskiej robocie, poniżaniu i likwidacji odstępców. Nie mówiąc o podchodach i infiltracji, dzięki którym to centrala Bretona z rue Fontaine zdołała podporządkować sobie grupę z rue Blomet (Joan Miró, André Masson, Robert Desnos) i grupę z rue du Château (Prévert, Tanguy, Marcel Duhamel). W gruncie rzeczy Breton czuł mores tylko wobec jednego człowieka, szydercy Marcela Duchampa, który mieszkał w Ameryce, miał ortodoksję w nosie i z rzadka zgadzał się brać udział w jakiejkolwiek imprezie.

A co z polityką? Surrealiści pochodzili z dobrych domów, więc, jak to bywa, śmiertelnie nienawidzili wszystkiego, co burżujskie. Poza tym policji, kolonializmu, wojny w Maroku i przemocy w szpitalach psychiatrycznych. Proletariatu i kobiet raczej nie dostrzegali. Spoglądali z sympatią na Francuską Partię Komunistyczną. Wstępny akces wykonał Pierre Naville: wyskoczył przed szereg i wstąpił do partii tuż po pierwszym Manifeście. Z miejsca wyleciał z grupy. A żeby było śmieszniej, dwa lata potem do FPK wstąpiła *in gremio* cała wierchuszka: Aragon, Breton, Éluard, Benjamin Péret i Pierre Unik. Breton chyba nie znał wówczas słowa „poputczik”, czyli „towarzysz drogi”, bądź w przekładzie z nowomowy „pożyteczny idiota”.

Tymczasem szykowano socrealizm. W 1930-1931 roku Aragon z Georges’em Sadoulem dali się ściągnąć do Charkowa na kongres Międzynarodowej Unii Pisarzy Rewolucyjnych. Co im zrobiono, nie wiadomo, dość że po powrocie ogłosili w prasie wieczystą wierność stalinizmowi i wodzowi osobno. Wzbudziło to w grupie tak nikły entuzjazm, że w roku 1933 Breton, Éluard i Crevel zostali z hukiem z partii usunięci. Z Moskwy słychać było coraz to głębsze pomruki; Komintern uważał surrealistów za czystych degeneratów.

W czerwcu 1935 r., przed otwarciem w Paryżu Międzynarodowego Kongresu w Obronie Kultury, stalinowski agent i niezły pisarz Ilia Erenburg oskarżył surrealistów o nieróbstwo, pochwały onanizmu, pederastii, fetyszyzmu, ekshibicjonizmu, sodomii. Spotkawszy autora w trafice, Breton ciężką ręką wymierzył mu kilka policzków. Próbujący łagodzić skandal ekssurrealista René Crevel w noc przed otwarciem obrad odebrał sobie życie, a surrealistów na Kongres nie wpuszczono.

W tej sytuacji nie pozostawało nic prócz trzeciego wyjścia, którym okazać się mógł tylko Lew Trocki. Nie było to jednak fortunne. Wszystko lepsze niż Hitler, nieprawdaż? Do tego ostatniego czuł dziwną miętę tylko Dalí, i doczekał się anatemy. Kim jest artysta? Funkcjonariuszem propagandy.

Na to surrealiści nie mogli przystać. I jest to lekcja na dziś, mimo ich upadków. Lekcja konieczna. Wolnościowy potencjał surrealizmu winien tak obiektywizować się międzyludzko: w odmowie akceptacji dla tyranów. Nie tylko kolektywnych, politycznych, również tych, którzy okupują nasze światy osobne.

Marzenie uzdrawia

Surrealizm dziś – to bunt przeciw chłodowi architektury z aluminium i szkła,

eprasa.pl 1f261a212b

geometrii, martwej abstrakcji, prozie zdań protokolarnych. Trzeba przeciw nim stworzyć własny świat: jak kiedyś pływano ku krainom goździków, imbiru i cynamonu. I dałoby się wskazać projekty światów osobnych, światów na opak. Wcale nie nokautują udziału realności, biografii, lecz je transformują, pokazując nam, że nad chodnikiem, którym biegniemy po bułki, wisi drugi chodnik, gdzie przepowiada się legenda naszych gestów, spotkań, zderzeń z Niesamowitym. Kto ten drugi złapie i przetnie z codzienną trajektorią, ten może surrealizować do woli.

Bo dla surrealizmu świadectwo istnienia osobnego jest więcej warte niż wiele kiepskich fabuł. W dobie pomieszania metafizyk broni metafizyki przypadku. Nie cofa się przed przyznaniem, że zawiadują nami duchy spotkań, lektur, spojrzeń zza węgła, przygodnych zetknięć. Wierzy w międzyludzką pneumę, strefę dialogów odbywających się poza naszą świadomością. Tu przypowiastka: Francis Picabia miał okres, gdy malował otoczone konturem, lecz półprzezroczyste i przenikające się twarze pięknych kobiet (jedna o oczach zamkniętych, druga otwartych).

Pod koniec lat 70. Erna Rosenstein też zaczęła malować takie twarze: męską i kobiecą. Twarze jej rodziców. Podczas ucieczki z getta we Lwowie, nocą, jeden z wozaków brutalnie wyciągnął Ernę do lasu. Gdy wróciła, zastała rodziców zamordowanych i ograbionych. Surrealizm *alla polacca*. Owszem, są inne w tonie wizje, choćby Kazimierza Mikulskiego, gdzie na ohydnym tle niedorobionego socjalizmu obrazy ciemnookich dziewczyn zapraszają do innego, czystego świata, w którym jest zawsze pogoda. A marzenie uzdrawia.

Przypadek Rosenstein, nieuzdrawiający, daje nam konkretną lekcję uważności: na mimowolne powtórzenia tropów, współbieżne układy gestów. Być może nasz los powtórzy taneczny układ czyjegoś losu – a choćby i nasze spojrzenie celować będzie w ten sam punkt, co „wtedy". Jeśli to nie jest biografią – po surrealistycznemu – nie jest nią nic. © ELIZA KĄCKA

Partnerem publikacji jest Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

Nieustanna walka

JAN BŁASZCZAK

MUZYKA | Bilety na ich koncerty na Stadionie Narodowym wyprzedały się niemal natychmiast. Choć System of a Down nie nagrywa od 20 lat, nie znaczy to, że postanowił milczeć.

Ameryka wciąż trwała w głębokim szoku. Minęły dopiero dwa dni od ataku na World Trade Center.

Artyści, sportowcy i celebryci dawali wyraz swojego patriotyzmu, ale nie ścigali się w reakcjach na tragedię, bo raz, że jej skala była trudna do objęcia, dwa – mówimy o erze sprzed mediów społecznościowych. A jednak jeden z muzyków nie mógł się powstrzymać i 13 września w sieci pojawił się komentarz zatytułowany „Understanding Oil".

Jego autor ukazywał terrorystyczny zamach na Nowy Jork jako dramatyczny rezultat amerykańskiej polityki na Bliskim Wschodzie. Pisał o zaaranżowanym przez CIA zamachu stanu na demokratyczne władze w Teheranie, o wspieraniu przez USA talibów w Afganistanie i Husajna w Iraku, o lobbingu przemysłu zbrojeniowego i paliwowego – to jest o wszystkim tym, o czym amerykańskie media głównego nurtu mówią dziś bez ogródek w kontekście wojny z Iranem.

W imię prawdy

Jednak we wrześniu 2001 r. stawianie takich tez było niebezpieczne, żeby nie powiedzieć: straceńcze. Nic dziwnego, że koledzy z zespołu autora felietonu obawiali się o życie. Wytwórnia Sony, która doprowadziła do zdjęcia tekstu, obawiała się natomiast utraty milionów dolarów. W końcu komentarz ukazał się na stronie grupy System of a Down, jednego z najpopularniejszych wówczas zespołów Ameryki.

Jego autorem był zaś Serj Tankian – urodzony w Libanie ormiański wokalista, aktywista i uchodźca, śpiewający z dziwnym akcentem i wyznający jeszcze dziwniejszą wiarę, że prawda zawsze się obroni. I może miał rację.

Drugi album System of a Down – „Toxicity" – ukazał się dokładnie tydzień przed atakami na World Trade Center. Kilka dni po publikacji głośnego komentarza zadebiutował na pierwszym miejscu listy Billboard 200. Płyta, która rozpoczyna się wykrzyczanym wykładem na temat patologii amerykańskiego systemu penitencjarnego, w ciągu pierwszego tygodnia sprzedała się w nakładzie ponad 220 tys. egzemplarzy.

Choć największy nadawca radiowy w USA sugerował, by w obliczu społecznej traumy nie emitować pierwszego singla z „Toxicity" (w refrenie pojawia się wątek samobójstwa), nie przeszkodziło to płycie pokryć się sześciokrotną platyną i sprzedać się w nakładzie 2,7 mln egzemplarzy w samych tylko Stanach. Zresztą drugi album System of a Down nie powiedział tu jeszcze ostatniego słowa – kiedy piszę ten tekst, po raz kolejny pojawia się na liście Billboardu. Prawie 25 lat po premierze.

Nic więc dziwnego, że bilety na koncert zespołu na Stadionie Narodowym wyprzedały się niemal natychmiast, a organizator nie miał problemu, by zapełnić go znów dzień później (grupa wystąpi w Polsce 18 i 19 lipca).

A przecież, umówmy się, to nie powinno było się udać.

W ormiańskiej szkole

Fiksację Tankiana na temat prawdy łatwo zrozumieć, gdy pozna się jego historię. Zarówno jego życie, jak i życie jego przodków kształtował jej brak. Mam na myśli trwające długie dekady milczenie, jakim liderzy światowych mocarstw i organizacje międzynarodowe zbywali apele Erywania o uznanie za ludobójstwo rzezi Ormian, której dopuścili się Turcy w 1915 r. W jej wyniku zginęli przodkowie Tankiana, a jego dziadek w wieku pięciu lat wylądował w domu dziecka w Bejrucie. ↦

eprasa.pl 1f261a212b

↦ Niestety, w tej części świata tragiczne historie mają to do siebie, że lubią się powtarzać. I tak Serj jako dziecko również został uchodźcą. W 1975 r. wyemigrował z rodzicami do Stanów Zjednoczonych, uciekając przed rozpoczynającą się właśnie libańską wojną domową.

Rodzina Tankianów wylądowała w północnym Los Angeles, w dzielnicy miasta nazywanej potocznie Małą Armenią. Począwszy od 1915 r. osiedlali się tu rodacy Serja, a o ich obecności świadczyły nie tylko liczne restauracje, sklepy i piekarnie, ale także lokalna szkoła i dom kultury. Przyszły rockman dorastał wewnątrz tej diaspory. Uczył się pilnie w ormiańskiej szkole, dorabiał w zakładzie jubilerskim wujka, a jego pierwszy zespół, Forever Young, w którym grał na klawiszach, wykonywał utwory zarówno po angielsku, jak i po ormiańsku. Przedstawiciele mniejszości trzymali się razem.

Dotyczyło to nie tylko członków zespołu, ale także muzyków, z którymi dzielili salę prób. W ten sposób Tankian poznał gitarzystę Darona Malakiana, z którym założył nowy zespół – Soil. Tym samym skręcił w stronę cięższego rocka, a nawet metalu – które zaszczepił mu starszy brat – i podjął obowiązki wokalisty. Niedługo potem do zespołu dołączył basista Shavo Odadjian – gdyby nie różnica wieku, cała trójka znałaby się z korytarzy ormiańskiej szkoły.

Po kolejnych personalnych i estetycznych turbulencjach trójka młodych muzyków opuściła Soil, by powołać do życia System of a Down. Jego skład ustabilizował się, gdy dołączył do nich perkusista John Dolmayan. Jak głosi plotka, jednym z powodów, dla których zespół obrał sobie taką właśnie nazwę, było marzenie, że jego płyty będą sąsiadować na sklepowych półkach z wydawnictwami Slayera.

Tym większa musiała być radość zespołu, gdy na ich koncercie w hollywoodzkim Viper Room pojawił się Rick Rubin – kultowy producent, znany między innymi z pracy przy „Reign in Blood", jednej z najważniejszych płyt tych ikon thrash metalu. To estetyczne pokrewieństwo nie ograniczało się jednak do Slayera. Począwszy od lat 80. Rubin pracował przy kamieniach milowych amerykańskiego hip-hopu, między innymi przy pierwszych płytach Public Enemy, których surowość i zaangażowany przekaz imponowały Tankianowi.

Takie zaplecze sprawiło, że Rubin świetnie odnalazł się w latach 90., pracując chociażby z Red Hot Chilli Peppers, którzy czerpali zarówno z alternatywnego rocka, funku, jak i hip-hopu. Ten *cross-over* szczyt swojej popularności osiągnął jednak dopiero na przełomie wieków, kiedy amerykańską popkulturą zawładnął nu metal.

A wraz z nim System of a Down.

Dziwnie i brzydko

Choć na przełomie wieków działało wiele bardziej interesujących artystycznie scen i postaci, to przecież fenomen nu metalu nie przestaje intrygować. W końcu nigdy później muzyka gitarowa nie cieszyła się tak wielką popularnością. Zespoły takie jak Limp Bizkit, Linkin Park, Slipknot czy System of a Down sprzedawały miliony płyt.

Największe gwiazdy popu – od Christiny Aguilery po Jaya-Z – puszczały do nich oko, a telewizje muzyczne rozwijały przed nimi czerwony dywan. Nu metalowe grupy charakteryzowały nisko strojone gitary, rapowane zwrotki i DJ'skie popisy w miejscu gitarowych solówek – ale tak naprawdę znacznie więcej je dzieliło, niż łączyło ze sobą.

I nie mam na myśli tylko samej muzyki, której w zależności od zespołu bliżej było do hip-hopu, thrash metalu czy emo. Choć scena ta cieszyła się ogromnym wzięciem wśród białych Amerykanów z nizin społecznych i nieraz oskarżano ją o prostactwo i mizoginię, to przecież zasilali ją zarówno reprezentanci tej właśnie klasy społecznej (jak Fred Durst z Limp Bizkit), jak też dzieci imigrantów, które współtworzyły nie tylko System of a Down, ale także Deftones, Linkin Park czy Ill Niño. Te biografie zaznaczały się czasem w działalności artystycznej nu metalowych zespołów w postaci afro-kubańskich rytmów, bliskowschodnich skal czy estetyki anime.

Nu metal eskalował też popularny w anglosaskiej popkulturze lat 90. zwrot w kierunku dziwności i brzydoty (filmy Davida Lyncha, teledyski Chrisa Cunninghama, image Marylina Mansona itd.), do którego podchodził z postmodernistycznym zacięciem. Ktoś nazwie to odwagą, ktoś inny narcyzmem, ale wielu z tych twórców działało zgodnie z maksymą „wszystko wszędzie naraz". I choć to łączenie ognia z wodą często przynosiło mizerne skutki, to po długich latach, kiedy muzyka rockowa działa pod dyktat algorytmów i nostalgii, mam dla tych prób więcej zrozumienia.

Bo czy to nie odświeżające słuchać basisty zespołu Korn tłumaczącego w wywiadzie, że dla nich muzyka zaczęła się od Faith No More – to jest jakieś dziesięć lat wcześniej? Oczywiście nie zgadzam się z taką tezą, ale może bez tego myślenia nie byłoby unikatowego brzmienia grupy odpowiedzialnej za płytę „Follow the Leader".

I pewnie też dlatego, kiedy Rick Rubin usłyszał System of a Down podczas wspomnianego wieczoru w Viper Room, jego reakcja mogła być tylko jedna – śmiech. Nie był to jednak śmiech ironiczny, była to naturalna reakcja na sytuację, w której nagle spotykamy się z czymś wysoce zaskakującym, absurdalnym, niespodziewanym. Oczywiście Rubin znał przynaj-

TP NA STRONIE „TYGODNIKA"

UOKiK zaopiniował ministerialny projekt ustawy o książce.
Dokument przedstawia jednak wiele tez, które są tożsame wyłącznie z interesami największych podmiotów na rynku książki. I niezgodne z faktami, które znajdziemy w dostępnych badaniach i raportach. Przeczytaj naszą analizę.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 1f261a212b

MATERIAŁY PRASOWE

SYSTEM OF A DOWN *zagra w Warszawie na Stadionie Narodowym 18 i 19 lipca 2026 r.*

mniej jeden zespół, który grał podobnie – ba, znali go wszyscy mieszkańcy Los Angeles. Mam na myśli Rage Against the Machine, które dzieliło z System of a Down nie tylko niektóre muzyczne inspiracje, ale też wiele politycznych poglądów.

Sęk w tym, że w grupie Tankiana wszystko działo się wówczas szybciej i bardziej. System of a Down było bardziej melodyjne i metalowe, wściekłe i kreskówkowe, jego wokalista growlował i śpiewał z akcentem zapowiadającym nadejście Borata, a jego gitarzysta kopiował raz to Slayera, raz melodie przodków wygrywane na oud. I to wszystko działo się zwykle w ciągu dwóch minut.

Kiedy włączam te płyty po latach, mam wrażenie, że słucham dwóch zespołów jednocześnie – System of a Down i grupy parodiującej System of a Down. I trudno powiedzieć, która jest lepsza.

Lekcja historii

Kiedy Rubin przestał się wreszcie śmiać, zaprosił zespół do studia i już następnego roku ukazało się debiutanckie „System of a Down". Płytę otwiera ciężki riff, jakby wyciągnięty z wczesnych nagrań noise-rockowej grupy Helmet, na tle którego Tankian rozprawia się z hipokryzją w Kościele, odnosząc się przede wszystkim do tematu pedofilii. Słowem, które organizuje cały ten czterdziestominutowy album, jest „intensywność". Tankian z podobną pasją śpiewa, krzyczy, skanduje i ozdabia melizmatami teksty przeciwko wojnie, narkotykom i konsumeryzmowi.

Kiedy włączam ich płyty po latach, mam wrażenie, że słucham dwóch zespołów jednocześnie: **System of a Down i grupy parodiującej System of a Down.** Trudno powiedzieć, która jest lepsza.

Nie byłoby jednak prawdą napisać, że wszystkie utwory z tej płyty ważą dla zespołu tyle samo. Debiut kończy piosenka zatytułowana „P.L.U.C.K.", w której SOAD podejmują wprost temat ludobójstwa Ormian. To nie tylko przejmujące zakończenie albumu, ale także lekcja historii dla milionów nastolatków, które sięgnęły wówczas po to wydawnictwo.

Podejrzewam jednak, że dla Ricka Rubina i jego wytwórni najważniejsza była inna piosenka. Mam na myśli „Spiders" – melancholijną, podniosłą balladę, która przypominała, że zanim zaczął słuchać thrash metalu, Serj Tankian śpiewał ormiańskie pieśni o wiernych bocianach powracających zawsze w to samo miejsce.

Jeśli System of a Down mógł zdobyć popularność czerpiąc ze Slayera, to jakie szczyty zdobędzie, nagrywając swoje „Nothing Else Matters" (czyli hit Metalliki)? Odpowiedź przyniosło „Toxicity" – drugi album zespołu, który promowały trzy względnie balladowe single.

Patos zaczął wypierać chaos.

Uciec snajperom

Tymczasem w zespole pojawiały się coraz mocniejsze tarcia wynikające nie tylko ↦

eprasa.pl 1f261a212b

↦ z różnic artystycznych, ale i ideowych. Na tym ostatnim polu muzyków trzymała przede wszystkim wspólna walka o doprowadzenie do uznania przez Stany Zjednoczone ludobójstwa Ormian.

Ten lobbing miał być zresztą bardziej niebezpieczny niż geopolityczne refleksje Tankiana opublikowane po zamachu na World Trade Center. Po latach wokalista wspominał, że był czas, kiedy jego żywiołowe poruszanie się po scenie było reakcją na informacje o planowanym zamachu na jego życie, które docierały do niego z wiarygodnych źródeł. Wyobrażał sobie, że w ten sposób utrudnia zadanie snajperowi.

Koniec końców, wszystkie te tarcia, napięcia i frustracje zrodziły album, który wpisał się na stałe do rockowego kanonu i na krótką chwilę uczynił z czwórki chłopaków z ormiańskiej diaspory jeden z największych zespołów świata. Fakt, później było gorzej. Kiedy minął efekt zaskoczenia, a zespołowi ubyło intensywności, teksty Tankiana objawiły nieznośną pretensjonalność, podobnie jak kompozycje Malakiana.

Po 2005 r. System of a Down przestał nagrywać, a solowe nagrania wokalisty sugerowały, że był to dobry pomysł. A jednak ta bezczelna pewność siebie opłaciła się nie tylko przez wzgląd na wczesne płyty zespołu. Kiedy w 2015 r. SOAD zagrali w Armenii, Tankian mówił ze sceny o konieczności daleko idących zmian w swoim rodzinnym kraju. W tłumie jego słów słuchał Nikol Paszinian, któremu tamto wydarzenie dostarczyło paliwa do rozpoczęcia ulicznej rewolucji.

I choć Paszinian jest dziś premierem, a Stany Zjednoczone ostatecznie określiły wydarzenia roku 1915 mianem ludobójstwa, to przecież podczas koncertów w Warszawie Tankianowi nie zabraknie tematów domagających się natychmiastowej rewolucji. Dosłownie kilka dni temu zrugał premiera Izraela za uznanie ludobójstwa Ormian w czasie, gdy jego naród sam dokonuje go na Palestyńczykach.

Bo System of a Down może nie nagrywać płyt od dobrych dwóch dekad, ale walka Tankiana nigdy się nie kończy. © JAN BŁASZCZAK

Więcej niż zagadka

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

KSIĄŻKI | „Zniszczona mapa" to powieść detektywistyczna na opak. Świadkowie zatajają najważniejsze wskazówki, fabrykują dowody i zmieniają wersje zdarzeń.

Największą zagwozdką dla szanującego się autora kryminałów jest to, jak przedstawić proces myślowy, który stoi za rozwiązaniem arcytrudnej zagadki. Twórcy filmów i seriali mają do dyspozycji tricki montażowe, manipulowanie tempem i perspektywą oraz muzykę, która obwieszcza, że na ekranie dzieje się wielki koncert dedukcji.

Pisarze mają tylko słowo. To za jego pomocą wyostrzają albo mącą wyobrażenia o tym, jak pracuje genialny umysł. Czasami też się ze swoich bohaterów podśmiewają.

„Mój umysł buntuje się w okresie nieróbstwa. Daj mi jakieś problemy, daj mi pracę, najbardziej skomplikowany szyfr lub dogłębną analizę do wykonania, a znów wrócę do formy. Wtedy sztuczne podniety nie będą mi do niczego potrzebne. (...) Rwę się do najwyższych uniesień umysłowych, dlatego wybrałem tę wyjątkową profesję lub raczej ją stworzyłem" – takie przechwałki wkłada w usta perorującego Sherlocka Holmesa, detektywa i kokainisty, Artur Conan Doyle w „Znaku czterech".

Zaginiony mąż

Bohater „Zniszczonej mapy", powieści Kōbō Abe z 1967 r., to prywatny detektyw, który nie wierzy w nagłe olśnienia. Jest wyznawcą skrupulatności i opanowania. Jednocześnie wie, że lwia część jego zawodu to pozorowanie tego, że ma się kontrolę nad sytuacją. „Nasza praca polega na tym, żeby zachowywać się tak, jakby wszystko było z góry wiadome, choć nie istnieją ustalone zasady postępowania dla każdej sprawy" – powtarza sobie, kiedy pierwszy raz odwiedza mieszkanie nowej klientki, pani Nemuro.

Używa techniki dokładnego do granic absurdu mapowania rzeczywistości. „Brzeg kawałka materiału zasłaniającego wizjer, znajdujący się mniej więcej na wysokości oczu, lekko się unosi, słychać dźwięk zdejmowanego łańcucha, obraca się gałka i drzwi otwierają się ciężko i powoli, jakby ważyły tonę" – rejestruje. „Nie widzę wyraźnie, bo w pomieszczeniu panuje mrok, ale to kobieta, i to młodsza, niż się spodziewałem".

W „Znaku czterech" z intrygującą sprawą zgłasza się do Holmesa młoda kobieta. Jest klientką idealną, wie, czego chce, starannie przechowuje dokumenty i przedmioty, które mogą pchnąć śledztwo na właściwe tory. Panna Morstan ma także inne przymioty i doktor Watson zakochuje się w niej po uszy. Natomiast pani Nemuro, która w „Zniszczonej mapie" zleca detektywowi poszukiwanie zaginionego męża, jest klientką wycofaną i niepewną własnego statusu.

Wydaje się osobą przezroczystą do tego stopnia, że detektyw początkowo nie jest w stanie nawet zapamiętać jej twarzy. Nie udziela mu istotnych informacji o mężu, tylko odsyła do swojego brata, który na własną rękę prowadził śledztwo w sprawie zaginięcia szwagra. Z jednej strony pani Nemuro na własne życzenie oddaje sprawy w ręce mężczyzn. Z drugiej, ma władzę, dawkuje tropy, jakby odmierzała je kroplomierzem.

W tej niejednoznaczności przypomina tytułową bohaterkę „Kobiety z wydm".

Manipulacje mózgiem

Przez długi czas Abe był w Polsce znany przede wszystkim jako autor tej właśnie powieści z 1962 r. Polski przekład Mikołaja Melanowicza ukazał się sześć lat później. W latach 70. w „Dialogu" opublikowano dwa dramaty Japończyka

eprasa.pl 1f261a212b

– „To ja jestem duchem” oraz „Przyjaciele: czarna komedia w trzynastu scenach”. Od końca lat 60. to teatr stał się dla Abe główną przestrzenią twórczości, przez prawie dekadę prowadził własne studio teatralne.

Ale wróćmy do Polski. W latach 90., już po śmierci pisarza, ukazały się w serii „Biblioteka Japońska” wydawnictwa Wilga powieści „Schadzka” i „Czwarta epoka” oraz zbiór dramatów, opowiadań i esejów pt. „Urwiska czasu”. Jednak te futurystyczne, dystopijne i surrealne fabuły chyba nie trafiły na swój czas.

Dopiero kiedy w 2025 r. Karakter wznowił „Czwartą epokę” (w przekładzie Melanowicza), napisana prawie siedemdziesiąt lat wcześniej fantastyka naukowa wybrzmiała aktualnie. Kiedy powstawała, Abe należał do Japońskiej Partii Komunistycznej (parę lat później opuścił jej szeregi). Trwa zimna wojna, myślące maszyny prognozują przyszłość. Sztuczna inteligencja wspomaga eksperymenty genetyczne i manipulacje ludzkim mózgiem.

Za tym wszystkim kryją się macki spisku, któremu Abe przygląda się przez pryzmat rozpadu egzystencji profesora Katsumiego, tak usilnie niechcącego mieszać się w politykę, że aż wpadającego w jej ramiona.

Dziś nie trzeba wybujałej wyobraźni, aby uznać scenariusz wymyślony przez pisarza za całkiem realistyczny.

Smak wielkości

„Zniszczoną mapę”, która właśnie ukazała się nakładem PIW-u w przekładzie Anny Zielińskiej-Elliott, Abe napisał w roku 1967, w okresie fascynacji nowofalową kinematografią. Po sukcesie ekranizacji „Kobiety z wydm” współpracował z reżyserem Hiroshim Teshigaharą przy adaptacji powieści „Twarz innego”, a potem „Zniszczonej mapy”. Zresztą już w tekście książki nie brakuje scen budowanych jak kadry gotowe do sfilmowania.

Zaginiony mąż, Hiroshi Nemuro, dosłownie zapadł się pod ziemię. Wyszedł z domu pod pretekstem przekazania asystentowi firmowych dokumentów. Żona obserwowała go z okna. Minął pobliską latarnię i dziesięć kroków dalej zniknął w studzience odpływowej. To nie jest historia, w którą skrupulatny detektyw mógłby uwierzyć. Jednak inne tropy, których jest tyle, co kotek *maneki-neko* napłakał, nie prowadzą do żadnych racjonalnych rozwiązań. Może pan Nemuro po prostu chciał zniknąć i nie zostać odnalezionym?

Kōbō Abe,
ZNISZCZONA MAPA,
przeł. Anna Zielińska-Elliott,
PIW, Warszawa 2026

Bezimienny detektyw jest sfrustrowany, potrzebną mu jak tlen mapę śledztwa wypełniają białe plany. Tytułowa mapa ma tu zresztą wiele znaczeń. Z jednej strony to labirynt dróg, ulic, skrótów i objazdów, jednym dający szansę na dotarcie do celu, a innych zwodzący. Z drugiej, to system ograniczonej przestrzeni, którą zna się jak własną kieszeń.

Przestrzeni bezpiecznej, bo nawet jej mroczne zakątki i ślepe zaułki zostały zmierzone i opisane. Można by życie z mapą przyrównać do nieopuszczania „strefy komfortu”. Dobra mapa nie przewiduje niewiadomych. Jednak prowadząc swoje nierokujące śledztwo, detektyw ze strzępami mapy w ręku zostanie zmuszony do wyjścia ze strefy komfortu.

Po „Czwartej epoce” porównywano Abe do Philipa K. Dicka, po „Kobiecie z wydm” do Franza Kafki i Alberta Moravii, po „Schadzce” znowu do Kafki oraz do Lewisa Carrolla, Hieronima Boscha i Mela Brooksa, a po „Zniszczonej mapie” do Alaina Robbe-Grilleta i Raymonda Chandlera. Japończyk nie odżegnywał się od zachodnich, zwłaszcza europejskich, inspiracji. Jednak sprowadzanie go do błyskotliwego kopisty byłoby niesprawiedliwe. Abe, który pisanie łączył z fotografowaniem, awangardowym teatrem i filmem, wypracował własną semantykę.

„Zdania Abe są nieskazitelne jak kryształy, lecz nigdy nie wiesz, jaki kształt lub kolor będzie miało następne. Nie można się na niego przygotować; jest pisarzem, którego wielkość wynika z tego, że – jak ujął to Wordsworth – tworzy smak, dzięki któremu będziesz się nim delektować” – trafnie opisał ten fenomen John Self w „Guardianie”. Te zdania i powstające z nich akapity są najczęściej zapisem egzystencjalnego i tożsamościowego rozpadu, ale formalnie są zwarte, a pod kątem stylu zapięte na ostatni guzik.

Kto jest winny

„Zniszczona mapa” to metonimia śledztwa na opak. Świadkowie zatajają najważniejsze wskazówki, fabrykują dowody i zmieniają wersje zdarzeń. „Fakty mają to do siebie, że są jak ostrygi. Im bardziej ich człowiek dotyka, tym szczelniej się zamykają, aż nie da się do nich dotrzeć. A jeśli próbuje się je na siłę otworzyć, zdychają i wszystko na nic” – mimo to detektyw brnie dalej w dochodzenie.

Zleceniodawczyni, jej szemrany brat czy młody asystent pana Nemuro – ktoś z nich wydaje się winny. Jedyne dowody, jakie ma detektyw, to dowody na to, że powinien czym prędzej rzucić zlecenie. Oczywiście tego nie robi, bo rozwiązanie zagadki nie jest tu stawką. Walka toczy się o niego samego.

Nierokujące śledztwo sprawia, że w każdym wymiarze jego osobowości jest go coraz mniej. Relacjonowanie zdarzeń, katalogowanie przedmiotów i mapowanie przestrzeni – to mu pozostanie, kiedy inne tryby dedukcji zawiodą. Choć jego rozum wywiesza białą flagę, on sam nie przestaje poruszać się po mapie. Z metodycznego detektywa zmienia się w rozedrganego kartografa.

Po przeczytaniu ostatniego zdania powieści długo można snuć domysły, co się wydarzy „zniszczonemu” detektywowi. A my życzmy sobie, żeby do wznowionej „Czwartej epoki” i premierowej „Zniszczonej mapy” wkrótce dołączyły polskie przekłady innych powieści Abe, jak „Twarz innego” czy „The Box Man”. ©

eprasa.pl 1f261a212b

Domówka

ANITA PIOTROWSKA

KINO | „Zaproszenie" zręcznie manewruje między spektaklem towarzyskich niezręczności, sprośną farsą a ukrytym dramatem. Z przebudzeniem na ciężkim kacu.

Nie od dziś wiadomo, że domowe przyjęcia mogą przypominać wielkie i małe spektakle, wymagające reżyserii i aktorstwa. Dobrze wiedziała o tym pani Dalloway, przeżywająca iście sceniczną tremę przed przybyciem swoich londyńskich gości. A im większe są starania, by przedstawienie się udało, tym bardziej bywa spektakularnie, kiedy w precyzyjną dramaturgię wśliźnie się czynnik chaosu, zazwyczaj po opróżnieniu kolejnego kieliszka.

Gdy jednak inscenizuje się ów chaos na scenie czy na ekranie, domaga się on szczególnej reżyserskiej kontroli – i jednocześnie odrobiny brawury. Taki jest właśnie film Olivii Wilde, w którym dwie pary małżeńskie spotykają się na sąsiedzkiej kolacji. „Zaproszenie" zręcznie manewruje między spektaklem towarzyskich niezręczności, sprośną farsą a ukrytym dramatem, z przebudzeniem na ciężkim kacu.

Teatr i kino kochają takie nieudane domówki: wystarczy kameralna sceneria oraz błyskotliwie napisany scenariusz dla kilkorga aktorów, żeby małym nakładem środków i w lekkiej konwencji prowadzić obyczajowe obserwacje czy stawiać społeczne diagnozy. Mistrzem takich zakłóconych posiadów przy stole był, oczywiście na zupełnie innym diapazonie, nieśmiertelny Luis Buñuel.

W dzisiejszym kinie punktem odniesienia stały się lżejsze komedie, w rodzaju „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie" (2016). I z góry wszystko wiadomo: gdy grupa dorosłych ludzi, najlepiej z tak zwanej klasy średniej i w średnim wieku, bo z takimi najłatwiej się utożsamić, spotyka się prywatnie w czterech ścianach, musi się to skończyć małym trzęsieniem ziemi.

Popisowy suflet w wykonaniu gospodyni też raczej nie może się udać. Tak jak w amerykańskim „Zaproszeniu", któremu zdecydowanie bliżej do filmu Paola Genovese niż do dyskretnych uroków burżuazji. Już sama obsada wskazuje, że czeka nas przede wszystkim występ gwiazdorskiego kwartetu. Odgrywającego z ikrą perypetie normalsów, aczkolwiek – zgodnie z konwencją – sprytnie wykadrowane ze społeczno-ekonomicznych realiów.

Stojąca za kamerą Wilde osobiście wciela się w Angelę, perfekcyjną panią domu, która zaprosiła sąsiadów na kolację, żeby przeprosić ich za wcześniejsze niedogodności związane z remontem. Jej mąż, Joe (Seth Rogen), chciałby jeszcze napomknąć o innych zakłóceniach miru domowego – ich sympatyczni goście, czyli Piña (Penélope Cruz) i Hawk (Edward Norton), czasem zbyt głośno wyrażają swoją namiętność.

Lecz choć Joe do subtelnych nie należy, Angela zaś przez cały czas wydaje się mocno spięta, atmosfera zaczyna nieco się rozluźniać. Albowiem goście okazują się wyjątkowo otwarci i bezpruderyjni, a wkrótce, z braku wina, wjadą na stół cięższe alkohole tudzież inne substancje. Kiedy więc sąsiedzi zaczynają opowiadać o swoich eksperymentach seksualnych, uruchamiając w skromnej Angeli i rubasznym Joem rozmaite uśpione chochliki i przy okazji innego rodzaju niespełnienia, czy trzeba dodawać, że brzmi to jak erotyczne zaproszenie?

Wszak świeżo upieczona i bezdzietna para to dla starego dobrego małżeństwa, które zapomniało, czym może być intymność i ciekawość drugiej osoby, ucieleśnione fantazje. Piña, z iście hiszpańskim temperamentem (i wyolbrzymionym przez Cruz akcentem), to seksowna seksuolożka, a Hawk, były strażak o wrażliwej duszy, owładnięty jest, podobnie jak Angela, pasją do orientalnych dywanów.

Z czym ta beztrosko swingująca para pozostawi swoich głęboko sfrustrowanych gospodarzy? Większych niespodzianek nie będzie, chociaż w tego rodzaju filmach bardziej liczy się finezyjna trajektoria (by nie rzec, gra wstępna) aniżeli sam punkt dojścia. Oraz autentyczność emocji, ukrytych w ociekających seksem szermierkach słownych.

Amerykańska reżyserka, która już jako licealistka w hołdzie dla Oscara Wilde'a przyjęła jego nazwisko, teraz zaczerpnęła z niego również motto, wskazujące na odwieczne paradoksy łączenia się w pary. Sięgnęła po scenariusz Willa McCormacka i Rashidy Jones, powstały w oparciu o nagradzany hiszpański film „Sentimental" (2020) Cesca Gaya i będący adaptacją jego sztuki. Znać w „Zaproszeniu" wiele zapożyczeń, szczególnie z kina o teatralnym rodowodzie, jak „Kto się boi Virginii Woolf" (1966) Mike'a Nicholsa czy „Rzeź" (2011) Romana Polańskiego.

Jednak i w tym przypadku ani literackość, ani teatralność nie przytłaczają, a kręcone na taśmie 35 mm zdjęcia Adama Newporta-Berry filmowo wy-

eprasa.pl 1f261a212b

MATERIAŁY PRASOWE

ZAPROSZENIE
(„The Invite”) – reż. Olivia Wilde. Prod. USA 2026. Dystryb. Monolith Films. W kinach.

Olivia Wilde z bardzo popularnej aktorki (seriale „Dr House”, „Vinyl” czy filmy „Tron: Dziedzictwo”, „Kowboje i obcy”, „Richard Jewell”) w ostatnich latach stała się cenioną reżyserką. Zadebiutowała z przytupem młodzieżową komedią „Szkoła melanżu” (2019), a potem był ambitny thriller „Nie martw się, kochanie” (2022) z Harrym Stylesem. Ma za sobą także doświadczenia teatralne.

Powyżej: Olivia Wilde, Penélope Cruz, Seth Rogen i Edward Norton w filmie „Zaproszenie”

zyskują ograniczoną przestrzeń. Oto scenka z życia małżeńskiego, której wystarczy, by lekkość i ciężar odmierzono w aptekarskich proporcjach, niczym w najlepszych filmach Woody-’ego Allena. Tych z czasów Diane Keaton i to właśnie jej pamięci zostało zadedykowane „Zaproszenie”.

Są tu rzecz jasna także nuty satyryczne. Rutynie i słabej komunikacji w związku Angeli i Joego przeciwstawia się wyzwoloną i zaprzyjaźnioną z „kulturą terapii” postawę Piñi i Hawka. Z kolei gospodarze muszą pochwalić się przed nimi swoim mieszkaniem, po inteligencku acz ze smakiem przeładowanym.

Ale choć świeżo po remoncie, skrywa dawno niewietrzone pokoje i wstydliwe zakamarki. Artystyczne dusze gospodarzy wspólna rzeczywistość skazała na życiowe kompromisy i wzajemne resentymenty. I tu udaje się temu filmowi rozbroić wszechobecną ironię. Okazuje się, że wykreowane przez Rogena i Wilde postacie nie są jedynie karykaturami współczesnych mieszczuchów, ale wrażliwymi istotami, zafiksowanymi na teatrze życia codziennego.

Pewnie można było te relacje rozpisać w sposób bardziej wyrafinowany i rozegrać mniej jednoznacznie owe „sąsiedzkie dźwięki”, kiedy jedni wolą robić remonty, a inni uprawiać seks. Głównych bohaterów wystawić można było na jeszcze większe ryzyko, niczym w niedawnej „Dramie” Kristoffera Borgliego, i na końcu zrobić im emocjonalną „rzeź”. Tyle że rozegrany w ciągu jednej nocy film Wilde zbudowany jest raczej ze świadomych (samo)ograniczeń niż niedostatków.

A jeśli nawet zaprasza do transgresji w związku, to chwilę potem przypomina, że bolące plecy czy bałagan w kuchni mogą skutecznie od nich odwieść. Dostajemy bowiem film, który wcale nie udaje, że miał być czymś więcej niż mieszczańską „obyczajówką” – średnio kaloryczną, za to z wdziękiem podaną i doprawioną szczyptą pieprzu. Nakręconą w figlarnej kontrze do nowego purytanizmu i równocześnie pozbawioną golizny. Ot, w sam raz na suchy sezon ogórkowy. ©

Lektor:
Sztuka życia

▪ *Kazimierz Wiśniak,* **ŚCISZONYM GŁOSEM. DZIENNIKI 1956-2021**, *wstęp i opracowanie Zdzisław Pietrzyk. Wydawnictwo Księgarnia Akademicka. Bibliotheca Iagellonica. Fontes et Studia. T. 50. Kraków 2026*

Kazimierz Wiśniak, znakomity scenograf, a także rysownik, grafik, malarz i pisarz, kończy w tym roku 95 lat. Jubileusz poważny, więc i księga właśnie wydana jest należycie potężna i pieczołowicie przygotowana (rozbudowany indeks osób). Choć zarazem bardzo prywatna.

Niech Was nie odstraszy pomnikowo brzmiąca nazwa wydawcy. *Fontes*, czyli źródła? Prywatne dzienniki też się przecież do nich zaliczają. A Kazimierz Wiśniak prowadzi swój dziennik z taką wrażliwością, ciekawością świata i taką życzliwością wobec ludzi, że jest to lektura wciągająca i krzepiąca. No i miłośnicy kronik towarzyskich będą mieli używanie – roi się na tych kartach od wielkich nazwisk polskiej i nie tylko sztuki i teatru, od anegdot, a nawet skandalików, tyle że wspominanych bez złośliwości, jeśli już, to z zakłopotaniem.

Te dzienniki nie są jednolitą, ciągłą opowieścią. To raczej *silva rerum*, mieszanina gatunków, wzbogacona wspaniałymi i wspaniale zreprodukowanymi ilustracjami. Nieciągłość też nie przeszkadza – mocniej akcentuje ważne epoki. Najpierw czas okołopaździernikowy, studia na krakowskiej ASP i narodziny Piwnicy pod Baranami, którą Wiśniak współtworzył („Po piosence następował strip-tease, pierwszy w Polsce podobno. Joannę Olczakównę rozbierano ze zboża, węgla, rudy oraz godności osobistej”).

Lata 70. i narastający kryzys, choć wbrew niemu życie towarzyskie bujnie się rozwija (20-lecie Piwnicy!). Solidarność i stan wojenny, gdy z Norwegii, od syna Kiki Szaszkiewiczowej, kiedyś piwnicznej gwiazdy, przychodzą paczki nie tylko z żywnością, ale i z materiałami niepotrzebnymi już w teatrze w Stavanger – bo u nas się przydadzą... Te dzienniki mimochodem jakby uchwytują sedno surrealistycznej rzeczywistości tamtego czasu: kryzys polityczny, cenzura, internowania – i szampańskie zabawy, brak papieru toaletowego czy mydła – i wielka sztuka.

Pokazują też całą złożoność machinerii teatralnej, w której natchnienie, talent reżysera, aktorów czy scenografa nie może istnieć bez rzemiosła. Polecam zwłaszcza fragmenty poświęcone pracy autora za granicą, na przykład we Włoszech. Ostatnie partie książki skupiają się na nadmorskich wyjazdach z przyjaciółmi już w nowym tysiącleciu. Kto ciekaw dowiedzieć się czegoś więcej o rozsławionym przez Michała Witkowskiego Lubiewie, może skorzystać. Finałem całości jest zaś koronawirus. *Memento mori*? ©℗

eprasa.pl 1f261a212b

PAWEŁ

Bravo:
Drożyzna drożdżówek

Szczęśliwy kraj, gdzie kolejka po darmowy obiad u sióstr felicjanek albo z kociołka Hare Kryszna przed stacją metra jest krótsza od tej po drożdżówki za 40 złotych. Widzę ją dobrze, starczy, że z okna kuchni się wychylę, czego mi się nie chce robić, bo za dużo rzeczy blokuje parapet, podręczna doniczka z bazylią, słoje z pęczkami koperku i pietruszki, tudzież sporo innych zawadzadeł, co to nie wiadomo za bardzo, gdzie odłożyć. Ale ona tam jest, wychodziłem zerkać na tę paradę ogłuszonych upałem istot nawet w najgorsze dni, kiedy w cieniu było prawie czterdzieści, i to w zielonej, nie bardzo betonowej dzielnicy.

Nawet nie wiedziałem, że aż tak się zgentryfikowała. No owszem, przez ostatnie lata przybyło parę kawiarni, gdzie jak otworzysz laptopa bez jabłuszka na klapie do owsianego latte, to popatrzą na ciebie trochę litościwie. Jest jakiś sklep ze zdrową żywnością w chorych cenach. Obowiązkowy wegański ramen, ale tylko jeden i wcale nie taki zły. Nie odnotowałem dotąd butiku Hermèsa gdzie kuszą oko szaliki wymalowane w piękne wzorki przez Jana Bajtlika, który – z czego możecie, drodzy Tygodnikowicze, być dumni – pokazał światu pierwociny talentu jako ilustrator na tych tu właśnie łamach. Może kiedyś zaprojektuje apaszkę dla naszych prenumeratorów, kto wie.

Hermèsa więc jeszcze nie ma, ale i tak jest gdzie wydać bez sensu pieniądze – w cukierence, którą czołowy nasz influencer gastronomiczny pokazał z konsternacją w filmiku o najdroższych drożdżówkach w kraju. Można słusznie twierdzić, że ta konsternacja tylko dla klików. Oburzenie i szok nam się tak zdewaluowały na rynku uwagi, że aż strach myśleć, na jakie prawdziwe zło okażemy się znieczuleni w chwili próby. Ale nieraz tu wspominany Książulo akurat ma takie zasięgi i moc przyciągania, że nawet rolka „etam, takie sobie bułki za dychę" też napędziłaby tłumy. W tym przypadku, trzeba rzetelnie odnotować, ten nieustraszony ogon, który w najgorszym żarze zawija za róg, mija sklep zielarski i dochodzi aż do sieciowej drogerii, wybrał wersję zgoła budżetową – drożdżowki z poziomkami. Influencer pokazał bowiem w tym samym nagraniu również wypieki z lokalu w centrum, ale za złotych aż 60. Mój wewnętrzny populista popędził tam z odbezpieczonym rewolwerem (chociaż stale mu tłumaczę, że martwy utracjusz to zmarnowana okazja dla wspólnoty, bo nie da się z niego zedrzeć podatku); skoro uwolnił nas od natrętnego towarzystwa, to możemy przestać zajmować się ceną, a zająć się smakiem.

Jeszcze tylko trzeba dla porządku odnieść to do rytualnej połajanki z sezonu ogórkowego na temat drożyzny jagodzianek; rozmawialiśmy już o tym, dlaczego to dobry znak z perspektywy społecznej. Przepyszne dzikie jagódki (dla uniknięcia sporów regionalnych trzymajmy się botanicznej nazwy *vaccinium myrtillus*) rosną wszerz i wzdłuż Polski bez ludzkich starań, ale wychodzą z lasu na rynek spożywczy tylko dzięki uciążliwej pracy, za każdą zgiętą w pałąk roboczogodzinę należy się zapłata. Poziomki, powiecie, równie leśne, rzadkie, cenne niczym jakieś słowiańskie trufle. Nieprawda. Dzięki pandemii, która zmusiła nas, by uważniej zająć się obejściem, zaprowadziliśmy poziomki na tarasie, zrazu sceptycznie (no bo jak to tak, leśnego duszka zaklinać w plastik), prędko to przeszło w entuzjazm. Rosną jak głupie, owocują szczodrze. Smak może mniej intensywny? Zapewne, ale dla potrzeb cukierni na pewno się nadają.

Oba kosztowne wypieki wyglądały jak karykatura. Ta bita śmietana czy mascarpone, ta piramidka poziomek... może to i smaczne, ale po co to nazywać drożdżówką? Sprzedawajcie to jako *galette aux fraises des bois*. Nie byłoby tyle szumu wynikłego ze zderzenia porządków, drożdżówka pozostałaby we własnej domenie – prostej, wręcz zgrzebnej, gdzie zwyczajność jest zarazem wymogiem, ale i szczytem możliwości. Za to ją kochamy. Pomimo próby wciskania jej w modne kaftany – z kremem pistacjowym ją nawet widziano – i tak wraca do klasyki, ser, jabłko, śliwka, truskawka. Czy coś tak powszedniego i nieambitnego można w ogóle nazwać klasyką? Jest przy tym arcy-

eprasa.pl 1f261a212b

PAWEŁ BRAVO

Kolejka po drożdżówki. Warszawa, lipiec 2026 r.

polska – jasne, w każdym kraju różne bulanżerie i baeckereje pieką pokrewne rozmaitości. Ale polską drożdżówkę poznasz w ciemno, zwłaszcza kiedy się zeschnie.

Przypomina mi w swej jedyności brytyjskie *fish and chips*. Danie przez ponad stulecie definiowało tam codzienny jadłospis. Było tak bardzo „narodowe", że czcicielom tożsamości nie przeszkadzało, iż w szczytowym okresie rozpowszechnienia budki rybne w Anglii zakładali często Żydzi, a w Szkocji niemal monopol na nie mieli Włosi (!). Przypadało to na czasy, kiedy jeszcze poważne imperium bez ceregieli narzucało jednej czwartej świata normy i obyczaje. Ale dorsza z frytkami (i octem!) nie znajdziecie nigdzie poza wyspami. Tam też już wycofał się do niszy, wypchnięty przez indyjskie i azjatyckie kuchnie uliczne. Jednak czy ktoś np. próbował ratować danie, sprzedając wersje z kawiorem? Albo w tutce z papieru w rzucik z torebki Vuittona? O, i to jest może kierunek dla cukierni z mojego sąsiedztwa. Nazwisko świetnego projektanta znajdziecie na początku tekstu. A tymczasem, jak już tam nieszczęśni stoicie, zajrzyjcie do sklepu zielarskiego po coś na obrzęk nóg. Jest tam przemiły i wybitnie kompetentny personel, na rozum też coś doradzi.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Ciasto cytrynowe na oliwie

I w tym miejscu powinien pojawić się przepis na bitą śmietanę (solimy lekko przed ubiciem, cukru mało, a może trochę mascarpone pod koniec?), bo co innego można jeszcze zrobić z poziomkami? Nie, żartuję, nawet tego wysiłku szkoda. Drożdżówki z definicji są wyrobem, który się kupuje w piekarni, a nie piecze samemu, nawet jeśli ktoś się lubi z drożdżami i jest niezły w zagniataniu. Ale żeby pozostać w temacie cukierniczym, opowiem Wam o cieście oliwno-cytrynowym, które znalazłem w „New York Timesie" i okazało się po paru przeróbkach wybitne w swym stosunku prostoty do efektu (bo przepisów owszem, ciekawych, ale niewartych próbowania lub za trudnych dla zapracowanego człowieka są tam, rzecz jasna, tysiące). To jedno z tych moich ulubionych ciast, które wymagają tylko jednej miski i trzepaczki (jakby się uprzeć, to nawet i widelec starczy). Mikser pomoże, ale nie jest wcale konieczny.

SKŁADNIKI:

120 g białej czekolady 5 jajek 150 g cukru
150 ml lekkiego jogurtu (nie bardzo gęstego)
125 ml dobrej oliwy z oliwek 100 g mąki migdałowej
1,5 łyżeczki proszku do pieczenia 140 g mąki pszennej
6 łyżek soku z cytryny ▪ skórka z 2 cytryn ▪ sól
▪ kapka ekstraktu waniliowego ▪ gałka muszkatołowa

Wstawiamy pokruszoną czekoladę w dużej stalowej lub szklanej misce do rozgrzanego piekarnika na kilka minut, żeby się stopiła. Wyjmujemy z pieca (ostrożnie) i trzepaczką rozbijamy ewentualne ostatnie grudki. Dajemy chwilę przestygnąć, ale nie całkiem, kiedy jest jeszcze ciepła, wlewamy oliwę i dokładnie mieszamy. Dodajemy po kolei jajka i mieszamy. Potem dodajemy po kolei cukier, jogurt, skórkę i sok z cytryny. Kiedy się wszystko połączy, wsypujemy mąkę migdałową i proszek do pieczenia. Wreszcie porządna szczypta soli i gałki muszkatołowej. I na koniec mąka. Mieszamy starannie, by nie zostały grudki, ale jak najkrócej. Przelewamy do tortownicy o średnicy 22-24 cm wysmarowanej oliwą i wyłożonej na dnie krążkiem papieru do pieczenia. Po przelaniu podnosimy i stukamy tortownicą o blat, żeby uwolnić ewentualne bąbelki powietrza. Pieczemy w 160 stopniach ok. 40 minut, aż się zezłoci, a wbity patyczek wyjdzie względnie suchy. Studzimy kwadrans, potem ostrożnie wyjmujemy z tortownicy i dalej studzimy. Na wydaniu można posypać cukrem pudrem. ©℗

KATYINSF / SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1f261a2

ZMYSŁY

MESSI, VOZINHA, CABRAL I STARY ATLAS

Mecz Argentyna-Republika Zielonego Przylądka nieoczekiwanie okazał się najlepszym meczem mundialu. Ale zaraz: co to właściwie znaczy „najlepszy”?

MICHAŁ OKOŃSKI

Leo Messi, Sidny Lopes Cabral i Diney Borges podczas meczu Argentyny z Republiką Zielonego Przylądka. Miami, 3 lipca 2026 r.

Najgorsze, że mi nie uwierzycie. Nie tylko dlatego, że kiedy to wszystko się działo, spaliście snem ludzi z pewnością sprawiedliwszych niż ja. Także dlatego, że zwyczajnie nie mam słów, żeby to doświadczenie opisać. Skoro w naszym świecie wszystko jest wyjątkowe, historyczne, legendarne, absolutne i jakich to jeszcze przymiotników się używa w podobnych okolicznościach, to czego ja właściwie doświadczyłem?

Jak nie zasnąć

Co gorsza: istoty tego przeżycia nie odda teraz żaden skrót, żadna rolka, żadna fotografia, gif ani mem. Żeby można je było przeżyć w pełni, żeby zadziałało z całą siłą, żeby momenty kulminacyjne miały odpowiednią moc, trzeba było wysiedzieć prawie trzy godziny, przez pierwszą i spory kawał drugiej walcząc z sennością po serii nieprzespanych nocy. Nocy – dodajmy – również spędzonych na oglądaniu meczów, które przed rozpoczęciem spotkania w Miami wydawały się zresztą całkiem dobre i które po jego zakończeniu zaczęły się nagle wydawać tak mało istotne, a wrażenia tego nie osłabia nawet kolejny nocny thriller, późniejszy o dwie doby mecz Meksyk-Anglia, z pięcioma golami, dwoma rzutami karnymi i jedną czerwoną kartką.

Dzisiejsze konsumowanie piłki nożnej w telewizji, nie ukrywajmy, polega także na skrolowaniu w ich trakcie mediów społecznościowych – owej namiastki interakcji, którą można mieć na prawdziwych trybunach, zwłaszcza jak nie weźmiesz ze sobą telefonu; nic dziwnego, że z czasem zaczynasz się robić przed monitorem coraz bardziej otępiały. Co do mnie: zasypiałem podczas starcia Argentyna-Republika Zielonego Przylądka co najmniej kilka razy, ostatni raz z drzemki wyrwał mnie krzyk Macieja Iwańskiego po golu reprezentującego Cabo Verde Sidny’ego Lopesa Cabrala na 2:2; trwała już wtedy dogrywka.

Jakkolwiek to zabrzmi: spory kawałek jednego z najlepszych meczów, jakie obejrzałem w życiu, obejrzałem w półśnie.

Jak pojechać na mundial

Inna sprawa, że jedna z uczestniczących w tym meczu drużyn – drużyna, której kapitanem jest najlepszy piłkarz w dziejach futbolu, drużyna broniąca tytułu mistrzów świata – przez długi czas grała w sposób zaiste usypiający. I w sumie trudno się dziwić: jej rywalem była debiutująca na mundialu reprezentacja półmilionowego zaledwie kraju, w ostatnim rankingu FIFA zajmująca 68. miejsce – czyli 65 miejsc poniżej Argentyny. To powinno wygrać się samo, czyż nie?

Piłkarzy reprezentujących Republikę Zielonego Przylądka światowe media zdążyły odkryć i opisać przy okazji ich sensacyjnego remisu w fazie grupowej z Hiszpanią. Na przykład obrońcę Pico Lopesa, kaperowanego do gry za pośrednictwem serwisu LinkedIn (działacze piłkarscy z Republiki Zielonego Przylądka

eprasa.pl 1f261a212b

NATHAN RAY SEEBECK / REUTERS / FORUM

wiedzieli, że występuje w Irlandii zawodnik, którego ojciec urodził się na archipelagu, a ten napisaną po portugalsku wiadomość początkowo uznał za spam), a zwłaszcza 40-letniego bramkarza, którego wzrost zasięgów na Instagramie stał się ponoć jednym z dowodów na nieprzemijającą magię mundialu (wolałbym jednak, by dowodem magii mundialu stał się ten mecz).

Jak zyskać zasięgi

„Gdybyś kojarzył Vozinhę, bramkarza Wysp Zielonego Przylądka z drugiej ligi portugalskiej, byłbym pod wrażeniem. Mam nadzieję, że będzie miał kilka świetnych interwencji" – mówił w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego" historyk futbolu Jonathan Wilson jeszcze przed rozpoczęciem mistrzostw świata; kilkanaście dni później nazwisko „Vozinha" było już na ustach wszystkich.

Matki bramkarza nie było stać na kupienie sobie biletów na turniej, a o wizie wjazdowej do USA nie mogła nawet marzyć – dziś zasiada na honorowych miejscach stadionowych lóż, pokazywana podczas przebitek w telewizyjnych transmisjach na równi z dziesiątkami osób znanych z tego, że są znane. Zważywszy, że w obecnym klubie skończył mu się kontrakt, podczas obecnego okienka transferowego Vozinha – człowiek, który obronił na mistrzostwach świata osiemnaście strzałów, z czego lwia część pochodziła od piłkarzy z tytułami mistrzów świata i Europy – będzie jednym z najgorętszych nazwisk.

Jasne, Kabowerdeńczycy zdołali wyjść z grupy, jasne, oprócz Hiszpanii zremisowali jeszcze z Arabią Saudyjską i mającym na tym turnieju potężne kłopoty Urugwajem, ale teraz mieli się zmierzyć z Argentyną – i wszyscyśmy się spodziewali bezproblemowego zwycięstwa mistrzów świata. Ileż można mieć szczęścia, ileż można nadrabiać walecznością, ileż można liczyć na to, że bardziej rozpoznawalny rywal cię zlekceważy? ↦

eprasa.pl 1f261a212b

Jak uwierzyć w równość

↦ Rywal zlekceważył, rzecz jasna, albo chciał zapewnić sobie awans do kolejnej rundy najmniejszym nakładem sił – a tego bogowie futbolu nie wybaczają. I choć można czasami narzekać na nudę tego sportu, w którym przez długie minuty postronni obserwatorzy mówią, że nic się nie dzieje; choć można szukać sposobów na przyspieszenie boiskowych zdarzeń (obserwujemy to także podczas mundialu 2026 dzięki nowym przepisom, wymuszającym np. szybsze wznawianie gry z autu czy płynniejsze dokonywanie zmian), to jednego w tym wszystkim zakwestionować się nie da: kiedy dwudziestu dwóch ludzi wychodzi na boisko, jest ono równe dla obu stron. I nie wiadomo, jak skończą się ich zmagania.

Jedenastu z nich może być milionerami pracującymi na co dzień dla największych globalnych marek, a jedenastu – pochodzącą po części z internetowej łapanki zbieraniną, błąkającą się po marginesach światowego futbolu; zbieraniną, której nazwiska brzmią anonimowo nawet dla zawziętych graczy w „Football Managera" (społeczność skupiona wokół tej gry sieciowej dysponuje wiedzą o futbolu zawstydzającą osoby żyjące z opowiadania o nim w mediach). Ci pierwsi mogą być o niebo lepszymi piłkarzami od tych drugich. Mogą mieć lepszych trenerów i lepsze zaplecze, zarówno kulturowe (trudno znaleźć bogatszą w wielkie gwiazdy i wielkie historie futbolową tradycję niż argentyńska), jak, by tak rzec, infrastrukturalne (największy stadion na liczącym pół miliona mieszkańców archipelagu może pomieścić ledwie 15 tysięcy kibiców; na stadiony Buenos Aires, ze słynną Bombonerą na czele, turyści z Europy pielgrzymują równie chętnie jak do klubów tanga).

Ale kiedy zaczynają grać, naprawdę nie wiadomo, kto wygra.

Jak przeżyć dogrywkę

Jerzy Pilch napisał kiedyś, że mecze bez dogrywek (bądźmy precyzyjni: dodawał jeszcze rzuty karne...) są jak miłość wyłącznie platoniczna – „może ona być wielka, ale bez słynnego napięcia w końcówce nie ma o czym gadać", więc gdybym był reżyserem filmowym, chciałbym pewnie zacząć od napięcia w końcówce.

Od tych ostatnich minut dogrywki (dogrywka w meczu Argentyna-Republika Zielonego Przylądka, jak to w ogóle brzmi?!), kiedy Argentyńczycy po raz trzeci w ciągu ostatnich godzin bronili prowadzenia, ataki Kabowerdeńczyków sunęły na ich bramkę jeden za drugim, a niemal niezatrudniany dotąd golkiper Emiliano Martínez, ikona poprzedniego mundialu, uwijał się jak w ukropie, broniąc uderzenia z dystansu, z rzutu wolnego, a nawet sam na sam.

Tak, doliczony czas dogrywki dobiegał końca i gdybyście włączyli ten mecz właśnie wtedy, z nadzieją na obejrzenie kolejnej w dziejach mundiali dramatycznej serii rzutów karnych (skądinąd: czy argentyński sztab w ogóle przygotował swoich piłkarzy do strzelania jedenastek temu akurat rywalowi, mocno wątpię, pod koniec dogrywki panika wśród asystentów trenera Lionela Scaloniego musiała być naprawdę nielicha), nie mielibyście pojęcia, która z drużyn jest „tą lepszą".

Ba, pomyślelibyście pewnie, że „lepsi" są ci grający bardziej zespołowo, atakujący z większym rozmachem, biegający szybciej, naciskający intensywniej – niż ci zepchnięci do defensywy, niezdolni do utrzymania się przy piłce i sapiący z wysiłku. Pomyślelibyście tak, gdyby nie fakt, że nawet nie oglądając piłki na co dzień, twarze tych broniących się i sapiących znacie. Jednym z nich jest wszak Leo Messi.

Jak spacerować z Messim

W podstawowym czasie mecz zakończył się wynikiem 1:1. I przyznajmy: z początku działo się w nim niewiele, a jeśli się działo, to właśnie za sprawą Messiego. Dopiero w 29. minucie, wkrótce po pierwszej przerwie na nawodnienie, czytaj: na emisję reklam, ale też na pierwsze przekazanie uwag piłkarzom przez trenerów, kapitan Argentyńczyków wybiegł za linię obrońców, dopadł do dalekiego podania od Lisandro Martíneza, przyjął piłkę w sobie tylko znany, czytaj: genialny w swojej prostocie sposób i zapewnił drużynie Albicelestes prowadzenie.

Jako się rzekło: i przedtem, i potem mistrzowie świata próbowali zapewnić sobie zwycięstwo najmniejszym nakładem sił. Znamy to ich oblicze aż za dobrze – cztery lata temu na mistrzostwach w Katarze ceną za minimalizm była porażka w fazie grupowej z Arabią Saudyjską i wypuszczone dwubramkowe prowadzenie z Holandią na późniejszym etapie, o roztrwonionej przewadze podczas finału z Francją nie wspominając. O tym, że Messi przez większość meczu po boisku tylko spaceruje, również napisano w ostatnich latach sporo – także na tych łamach. Do tego zdołaliśmy przywyknąć, ba: to w tym spacerowaniu rodzą się genialne myśli, czytaj: akcje. Argentyński problem zaczyna się wtedy, gdy w tryb spacerowy wchodzą towarzysze Messiego.

Wspomniałem, że faworyci uznający, że mecz już się wygrał, to coś, czego futbolowi bogowie nie wybaczają. W sumie nic dziwnego, że choć Kabowerdeńczycy swój pierwszy strzał oddali w 53. minucie, to sześć minut później mieli już wyrównującego gola – i Argentyńczycy, którzy wyszli na boisko, żeby zaoszczędzić energię na ćwierćfinał, musieli grać przez dodatkowe pół godziny.

Jak wykonywać rzuty rożne

Jednak o tym, czy Argentyna ma problem z mentalnością, czy z taktyką, czy jest nadmiernie uzależniona od Messiego, czy próbuje być nadmiernie pragmatyczna – niech piszą eksperci od mentalności lub taktyki. Sam Messi przyznawał w pomeczowym wywiadzie, że kiedy rywale atakowali, jego drużyna nie była w stanie za nimi nadążyć; że wydawało się, iż grają w przewadze jednego zawodnika – w istocie grali, bo przecież on sam w pressing i uganianie się za rywalami bynajmniej się nie angażuje, a wykonujący czarną robotę za niego pozostali gracze ofensywni nie zawsze mają w związku z tym siłę na przeprowadzenie szybkiego ataku.

Co ciekawe: o zwycięstwie Argentyny ostatecznie przesądziły dwa gole po stałych fragmentach gry. Nie cudowny drybling, nie jeszcze jeden błysk geniuszu Messiego, ale dwie piłki zagrane przezeń z rzutu rożnego, najpierw do Lisandro Martíneza, a potem do Cristiana Romero. To dzięki główce tego ostatniego i późniejszemu rykoszetowi od Dineya Borgesa Argentyna po raz trzeci wyszła na prowadzenie – i ostatecznie zwyciężyła 3:2.

Jak strzelić gola turnieju

Do meczu z Argentyną symbolem reprezentacji Republiki Zielonego Przylądka był Vozinha, pod niebem Miami jednak naro-

eprasa.pl 1f261a212b

dził się kolejny narodowy bohater tego kraju. Gol Sidny'ego Lopesa Cabrala w 102. minucie spotkania, gol dający jego drużynie wyrównanie na 2:2, był jak iluminacja: mistrzostwa świata to najlepsze, co nasza kultura ma dziś do zaoferowania.

Czy potrafię to opisać? Nieniepokojony przez Argentyńczyków Cabral ma piłkę na połowie boiska i przed sobą kilkadziesiąt metrów otwartej przestrzeni, oddaje futbolówkę truchtającemu przy linii bocznej Vareli; obaj zawodnicy wymieniają się pozycjami, po czym Cabral odgrywa w kierunku środka boiska do Jamiro Monteiro; Argentyńczycy, przesuwając się, tracą go na moment z oczu, więc kiedy piłka wraca znów na lewe skrzydło do Cabrala, ten ma przed sobą tylko jednego przeciwnika, Thiago Almadę. Wymija go dość prostą sztuczką. Ścina do środka. Jest tuż za linią pola karnego. Uderza prawą nogą w długi róg bramki Martíneza, idealnie poza zasięgiem rąk golkipera, a potem pędzi w stronę fanów, łapiąc się za głowę, jakby do niego również nie docierało, co tu się właściwie wydarzyło.

Naprawdę nie chodzi tylko o zachwycający z perspektywy neutralnych kibiców moment, w którym po bitych dwóch godzinach gry – tyle już upłynęło, doliczając minuty, o które sędziowie przedłużali obie połowy – wciąż nie wiadomo, jak to się skończy. Chodzi o to, że na turnieju obfitującym skądinąd w efektowne bramki nie było chyba gola bardziej obfitującego w znaczenia.

Cabral w uniesieniu wpadł aż na trybuny i przez kilka sekund czekał, aż dobiegnie doń siedząca wyżej jego dziewczyna; po meczu mówił, że ma nadzieję, iż ktoś zrobił mu kilka zdjęć dokumentujących fakt, że przebywał na jednym boisku z Messim – ale doprawdy będzie miał z tego dnia pamiątkowe fotografie, na których niepotrzebni są statyści, nawet jeśli mieliby na koncie osiem Złotych Piłek.

Jak cofnąć czas

„Pod pewnym względem są symbolem tego mundialu – rozgrywanego w świecie zmieniających się hierarchii, świecie mobilności i postkolonialnych przetasowań" – napisał o reprezentacji Cabo Verde, niemal w całości złożonej z piłkarzy wychowanych na emigracji, publicysta „Guardiana" Barney Ronay. „Czym właściwie jest Republika Zielonego Przylądka? Archipelagiem liczącym zaledwie 600 tysięcy mieszkańców, a jeśli spojrzeć wstecz, dawną placówką handlową, punktem przeładunkowym, przechodzącym z rąk do rąk między mocarstwami kolonialnymi, z diasporą rozsianą po Stanach Zjednoczonych, Holandii i Francji. Piłka nożna stała się sposobem na naciśnięcie przycisku »cofnij« i ponowne pozszywanie rozproszonych fragmentów narodu w jedną całość".

To była noc, podczas której można było zapomnieć o świecących na futbolowym firmamencie gwiazdach: o golach Mbappé, Haalanda, Kane'a, o wchodzących w smugę cienia Modriciu i Ronaldo, o przeprowadzającym się właśnie do Chicago Lewandowskim, ba, chwilami można było zapomnieć nawet o Messim, choć na tym boisku grał i choć zszedł z niego jako zwycięzca. Interwencje i nonszalancki drybling 40-letniego bramkarza Vozinhi, a bardziej jeszcze ów strzał Cabrala, na kilka bezcennych minut przywracający poczucie, że w futbolu i w życiu naprawdę wszystko jest możliwe – zostaną już na zawsze, i to nie tylko na zakurzonych półkach bibliotek w sekcji Historia sportu.

Jak odnaleźć Curaçao

O tym, po co jest mundial, również napisano wiele. Jego pomysłodawca Jules Rimet wierzył, że dzięki mistrzostwom świata zobaczymy świat bardziej pojednany – mylił się. Późny wnuk Rimeta, obecny prezydent FIFA Gianni Infantino wierzy, że dzięki mistrzostwom świata osiąga się gigantyczną władzę i gigantyczne zyski – nie myli się, nawet jeśli czasem musi iść na rękę Donaldowi Trumpowi (np. za pomocą kruczków prawnych anulując dyskwalifikację amerykańskiego piłkarza za czerwoną kartkę). Ale wciąż pozostaje coś jeszcze.

Kiedy jesteś dzieckiem i oglądasz swój pierwszy mundial, nie masz oczywiście pojęcia, gdzie leżą te wszystkie krainy o egzotycznie brzmiących nazwach. Moje pokolenie ślęczało nad atlasami, dziś wystarczy aplikacja w smartfonie (ale zwyczaj rysowania i kolorowania flag szczęśliwie oparł się cyfryzacji). „Republika Zielonego Przylądka, państwo wyspiarskie na Oceanie Atlantyckim, położone ponad 450 km na zachód od zachodnich wybrzeży Afryki" – sylabizujesz z wysiłkiem, tak jak sylabizowałeś wcześniej: „Curaçao, kraj autonomiczny Holandii w Ameryce Południowej i jedna z wulkanicznych Wysp Zawietrznych w archipelagu Małych Antyli", zastanawiając się przy okazji, co to może być ów „kraj autonomiczny".

Bez futbolu niczego by nie było. Tego momentu, w którym wydaje się, że naprawdę można cofnąć czas (napisał ktoś do mnie po meczu w serwisie X, że rzadko się zdarza, by jedna akcja pozwoliła na przeniesienie nas do dzieciństwa – a więc nie było to tylko moje wrażenie...). Tego poczucia, że wszystko jest jeszcze możliwe, i że są jeszcze w świecie miejsca, w których wszyscy są równi i mają równe szanse. Doświadczenia epifanii, w mgnieniu oka uwalniającej od zmęczenia i trosk ostatnich dni – ale przeczucia kruchości także, bo nawet jeśli tym razem wygrał, to ile jeszcze będziemy mogli Messiego oglądać?

Qué hermoso es el fútbol. Dziękuję, dziadku, że zabrałeś mnie wtedy na mecz Okocimskiego. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

TP NA STRONIE „TYGODNIKA"

Mundial w „Tygodniku"

Piłka, polityka, FIFA, wielki biznes i kibice.
Piszemy o turnieju, w którym gra nigdy nie jest tylko grą.

www.tygodnikpowszechny.pl/mundial-2026

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 1f261a212b

TOMASZ

Stawiszyński:
Pies nie do zastąpienia

Nie ma chyba bardziej przygnębiającego symbolu ogołocenia, jakiego w naszym emocjonalnym i duchowym świecie dokonuje technologia, aniżeli roboty udające psy. Kto to w ogóle wymyślił – konstruować sztucznego psa? Zamiast autentycznego, żywego, jedynego w swoim rodzaju psiego przyjaciela, fundować sobie mechaniczną imitację? Doprawdy, jest to przygnębiające aż do poziomu przepastnej rozpaczy.

Przyznam, nie wiedziałem, że psie cyborgi istnieją, dopóki na łamach portalu Unherd nie przeczytałem świetnego tekstu Marylin Simon „Robo-dogs will ruin your life" („Robotyczne psy zrujnują nam życie"). To znaczy, owszem, widywałem od czasu do czasu filmiki, na których jakieś artefakty wykonywały na czterech syntetycznych łapach cokolwiek pokraczne akrobacje – a to w trybie militarnym, a to rozrywkowym. Nie przyszło mi jednak do głowy, że ktoś mógłby wpaść na pomysł zastępowania czymś takim prawdziwych psów.

Simon słusznie zwraca uwagę, że relacja pomiędzy człowiekiem a psem jest czymś absolutnie wyjątkowym i niemożliwym do podrobienia. Po prostu – psa nic i nigdy nie jest i nie będzie w stanie zastąpić. Sama idea wytwarzania jakichkolwiek fragmentarycznych lub całościowych ekwiwalencji psa jest z gruntu absurdalna. Ktokolwiek z Państwa ma ten przywilej, że się z jakąś psią postacią bliżej zaznajomił, ten doskonale przecież rozumie, o czym tu mowa.

Każdy pies to swoista, pełnowymiarowa osobowość i indywidualność. Niepowtarzalna kompozycja humorów, predylekcji, specyficzności i przekonań. No i oczywiście rytuałów. Wiadomo, psia egzystencja układa się wedle kilku żelaznych punktów dnia. Wśród nich, istotnie, znajdują się kwestie wspólne wszystkim psom, a mianowicie – jedzenie, spacerek, zabawa i spanie. No ale już ich konkretna realizacja wygląda u każdego osobnika inaczej. W jakim się to robi tempie, w jakiej kolejności, czy się przy tym podskakuje, powarkuje, popiskuje, czy też zamaszyście merda ogonem, a może charakterystycznie kręci dupką – na to, jak wiadomo, nie ma w psim uniwersum dwóch takich samych scenariuszy.

Równie zindywidualizowany jest przebieg psich interakcji z innymi przedstawicielami ich własnego gatunku. Nawiasem mówiąc, najbardziej bodaj różnorodnego w królestwie żywych istot. Jak to się dzieje, że zarówno chihuahua, jak i dog niemiecki są psami, tego w zasadzie nie sposób racjonalnie pojąć, nieprawdaż? Tak czy inaczej, jest coś bardzo specyficznego w tym, że pies niebywale wprost się przejmuje obecnością innego psa. Ludzie, rzec by można, wręcz przeciwnie, mijają się zazwyczaj na ulicy obojętnie i starannie unikają nadprogramowych interakcji z nieznajomymi. Psy natomiast na swój widok zaraz dostają kompletnego, nomen omen, kota.

Choć nie zawsze, rzecz jasna. Jak wspomniałem, nie ma tu dwóch identycznych scenariuszy. Są więc i takie psy, które swoich krewniaków ostentacyjnie ignorują. Przeważa jednak reakcja w postaci wielkiego poruszenia. Jakby to była jakaś niebywale wprost skandaliczna albo radosna okoliczność, że gdzieś tam na horyzoncie biega sobie drugi pies. Uszy stają wtedy sztorcem (o ile się zdolne do tego uszy posiada, naturalnie), ogon idzie w ruch, dokonuje się jakichś podskoków, a nawet tańców, szczeka się radośnie, a niemiłosiernie. Albo też właśnie na odwrót – sierść się stawia na sztorc, zęby groźnie odsłania, z gardła zaś dobywa charakterystycznego gulgotu, który jasno dać ma do zrozumienia, kto tu rządzi i nadaje ton wszelkim społecznym relacjom.

Ano właśnie – to też jest wielka zagadka: kryteria stosowane w psich interakcjach społecznych. Zaiste nie sposób zrozumieć, dlaczego jeden pies drugiego od pierwszego wrażenia lubi, innego zaś od pierwszego wrażenia nie cierpi. Co o tym decyduje? Na to pytanie nie znają odpowiedzi nawet najwięksi mędrcy tego świata.

Opowiadać o psach można by jeszcze długo, każdy ich miłośnik ma w bród podobnych historii, a morał ze wszystkich jest jeden. Otóż nie da się przy pomocy najnowocześniejszej nawet technologii symulować najprawdziwszej i najgłębszej psiej miłości, przyjaźni i lojalności. Całego tego psiego oddania, uwielbienia i wierności ukochanemu człowiekowi. A także jedynie psom właściwej, spontanicznej, rdzennej radości istnienia, wynikającej z samego faktu, że się jest.

Jeśli istnieje w ogóle coś takiego jak absolutna i bezwarunkowa afirmacja bytu jako takiego, bez względu na dowolne wpisane weń niedogodności, to wyrażają ją psie podskoki, zarzucanie łapkami, robienie dziwnych min i wydawanie równie dziwnych dźwięków, które z całą pewnością są pełnoprawną mową, choć my chwytamy z nich wyłącznie ogólne sensy. I niech nas nie zwiodą zapewnienia, że mianowicie ów cyborg spełniać będzie jakieś szlachetne zadania, np. pomoc osobom z demencją czy też coś równie szlachetnego. Po pierwsze, niech to robią roboty, ale niby czemu miałyby być psiokształtne? Po drugie, wiadomo, że żywy pies poradzi sobie w tej sytuacji nieskończenie lepiej. Nie oszukujmy się, żaden cyborg nie zbliży się do niego nawet o milionową część centymetra. Aseptyczny, pozbawiony apetytu i świadomości, niezdolny do kochania, a zarazem udający, że jest tym, kim nigdy pod żadnym pozorem się nie stanie. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 1f261a212b

Poznajmy się, porozmawiajmy i zostańmy Partnerami!

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY

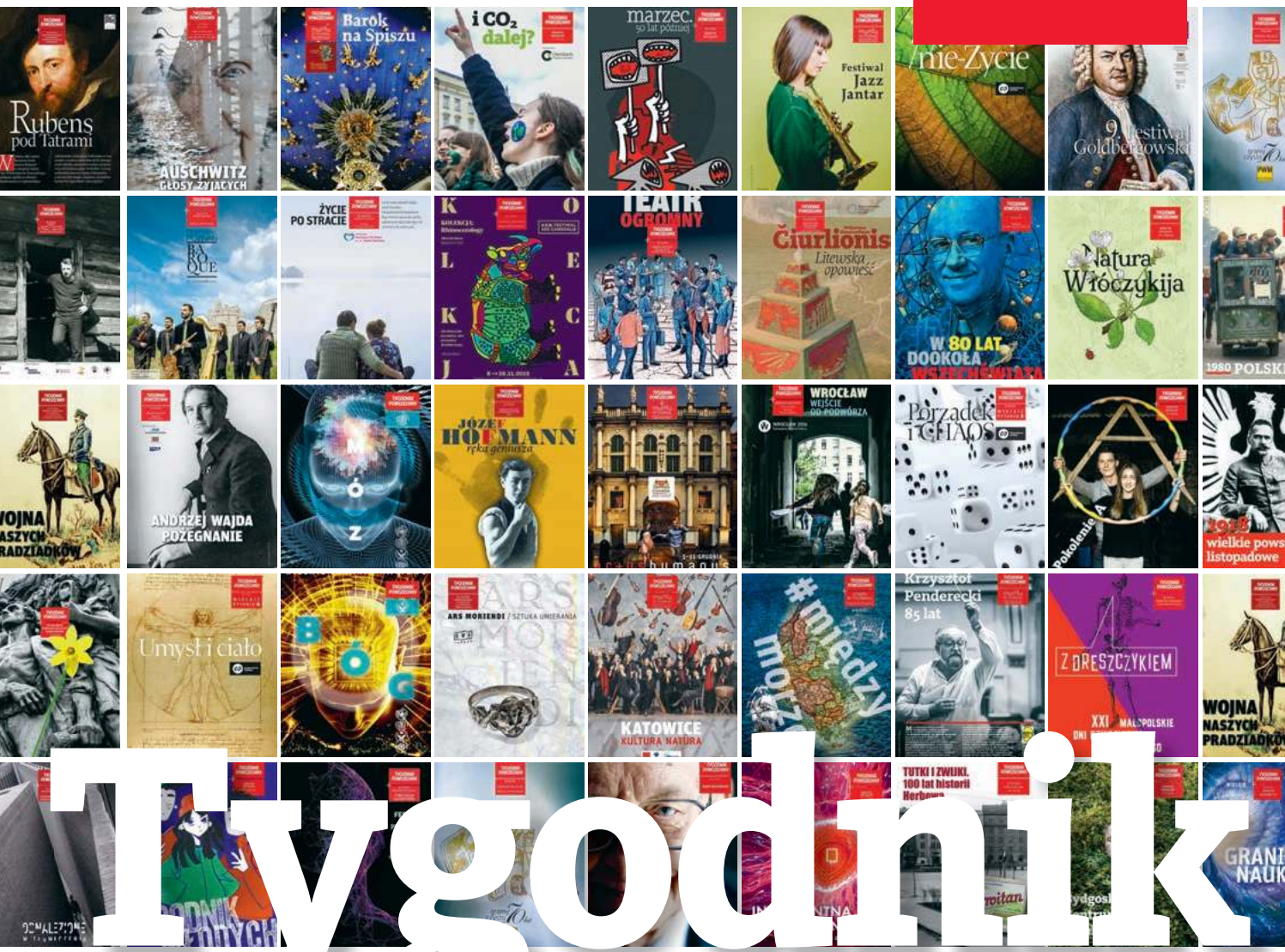

Tygodnik to doskonały partner dla Twojego wydarzenia!

Od lat towarzyszymy instytucjom kultury, samorządom, firmom oraz NGO w podejmowanych inicjatywach, oferując wsparcie redakcyjne i promocyjne. Wspólnie z naszymi Partnerami wydaliśmy dziesiątki publikacji, dodatków tematycznych i specjalnych serwisów internetowych, robiąc to z największym profesjonalizmem i z pełnym zaangażowaniem.

Odwiedź naszą stronę i poznaj dotychczasowe realizacje:
TygodnikPowszechny.pl/dodatki-tematyczne

Napisz na **promocja@tygodnikpowszechny.pl**

lub zadzwoń do nas:

Anna Pietrzykowska tel. 602 590 416
Mateusz Gawron tel. 602 331 791

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 1f261a212b

NAJLEPSI PIŁKARZE W HISTORII FUTBOLU!

BESTSELLEROWE BIOGRAFIE JUŻ W KSIĘGARNIACH.

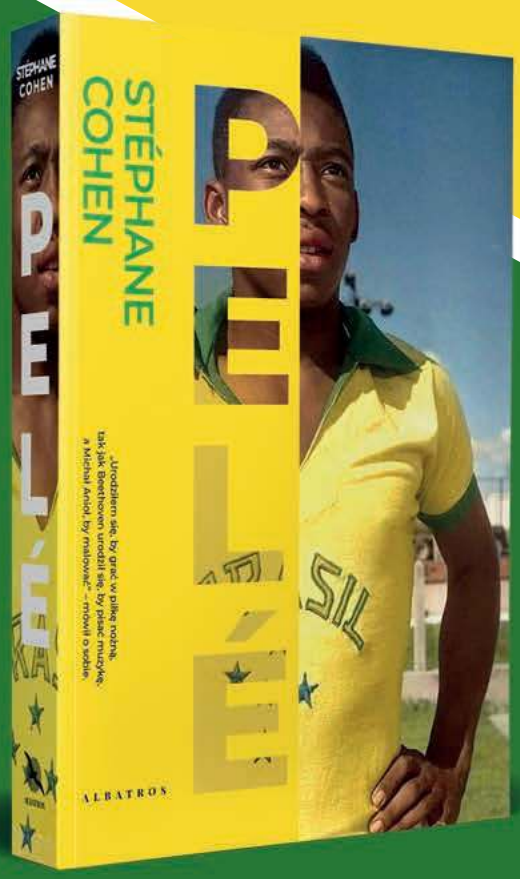

WYDAWNICTWO ALBATROS

PELÉ ZDOBYŁ 1283 GOLE W 1367 MECZACH.

Jako jedyny piłkarz w historii trzykrotnie sięgnął po mistrzostwo świata w piłce nożnej.

Jest uważany za najlepszego piłkarza XX wieku, obok Diega Maradony.

Pelé jako „Król Futbolu" nie był człowiekiem, był zjawiskiem.

„Urodziłem się, by grać w piłkę nożną, tak jak Beethoven urodził się, by pisać muzykę, a Michał Anioł, by malować" – mówił o sobie.

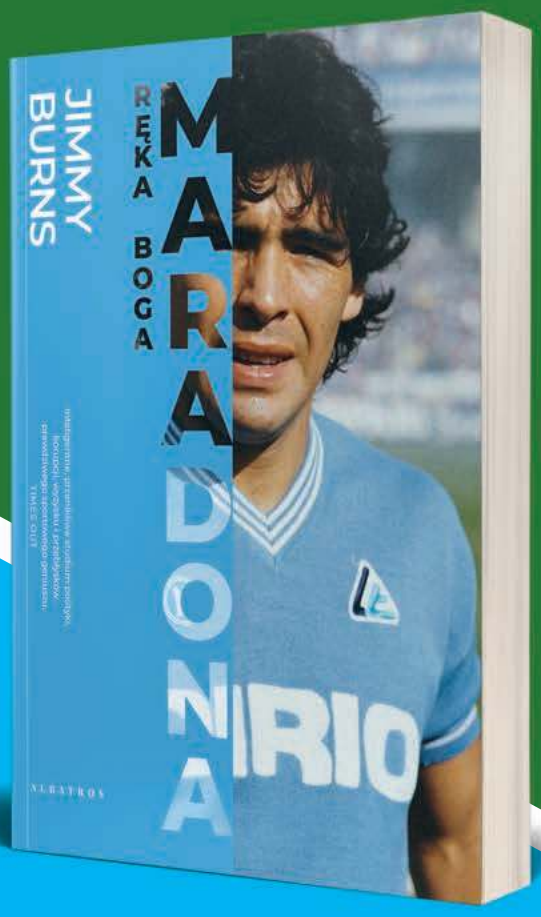

SPORTOWA KSIĄŻKA ROKU 2023

Kultowa, a jednocześnie kontrowersyjna biografia jednego z najsłynniejszych piłkarzy w historii światowego futbolu, Diego Armando Maradony.

Świetnych piłkarzy było i jest wielu, ale bogiem był tylko jeden.

Maradona to nie tylko genialny zawodnik, to przede wszystkim symbol i legenda.

To coś więcej niż tylko biografia, to także opowieść o świecie korupcji, intrygi i wyzysku.
„AS", HISZPANIA

REKLAMA

eprasa.pl 1f261a212b